

32
JERZY PHNET.

Iskry

3166463-1

3166467-2

KAMELEON.

POWIEŚĆ W 2 TOMACH.



339
TOM I.

~~BIBLIOTEKA~~

~~URZĘDNI: TOW. WŁ. S. S. KRAKÓWIE~~

~~SERWA~~

GRÓDEK.

NAKŁADEM I Drukarnią J. CZAJŃSKIEGO.

1902

~~Skład główny w Krakowie
BIBLIOTEKA~~

247

A-19276/1-2



1000174333

Literat. Bd

BIBLIOTEKA

UMCS
LUBLIN

K. 1160/56/850

I.

W pałacu ministerjum wojny przy ulicy Św. Dominika, pierwszy minister chodził szybko po swoim gabinecie, gryzł wąsy, obracał nerwowo monokl w palcach, a cała jego postawa i ruchy nie obiecywały miłego przyjęcia pierwszemu, który przed nim stanie.

Oficerowie jego wiedzieli co trzymać o przyczynach złego humoru swego zwierzchnika, cisza bowiem niezem nieprzerwana panowała w biurach sąsiednich i tylko ptaki z ogrodu mąciły swoim świergotem samotność wielkiego ministra.

W końcu stracił cierpliwość, zbliżył się do kominka i nacisnął guzik od dzwonka.

Zjawił się woźny.

— Pulkownik Vallenot powrócił? rzekł minister takim tonem jak komenda do ataku.

Służący zgiał się w kabłąk jak gdyby chciał się pod ziemię schować i wyjąkał drżąc ze strachu:

— Panie ministrze, nie sędzę... dowiem się...

Generał sponsował. Pierwsze przekleństwo wyleciało jak granat, za niem drugie, trzecie stało się niepotrzebnem. Drzwi się zamknęły... sługa zniknął.

— Co ten przeklęty Vallenot może robić od czasu jak wyjechał? mruknął minister rozpoczynając swój

wściekły spacer. Ah! dobrze jestem obsłużony! Sacré...

Nie miał przyjemności dokończenia, rozpromieniony woźny otwierał drzwi mówiąc donośnie:

— Pan pułkownik Vallenot!

Mężczyzna pięćdziesięcioletni, wysoki, smukły, o błękitnych oczach, z blond wąsami, wszedł szybko, oddał ukłon wojskowy swojemu szefowi, a potem zaczął poufale:

— Zdaje się, żeś stracił cierpliwość, mój generale? Zastałem oficera czatującego na mnie przy drzwiach ministerjum. Bo widzisz, nie była to wcale pierwsza lepsza sprawa... Przysięgam, nie traciłem czasu na próżno...

— Do rzeczy! przerwał minister niecierpliwie. Przybywasz z Vanves?

— Tak, mój generale.

— Sam?

— Nie. Przywiozłem z sobą jednego z naszych agentów. Najrzęczniejszego z tych którymi się posługujemy. Nie miałem od ciebie rozkazu, lecz wziąłem na siebie odpowiedzialność za użycie tego człowieka.

— Dobrze zrobiłeś. Lecz czy pewny jesteś jego uczciwości?

— O ile pewnym być można... Jest to dawny podoficer... Wreszcie nie odkryłem mu prawdziwego celu mojego śledztwa... Nie wie nic z tego co nas zajmuje. Powinien myśleć jedynie, iż był moim pomocnikiem w poszukiwaniu prawdziwej przyczyny katastrofy do-
tąd jeszcze niewyjaśnionej... Jesteśmy zatem bezpieczni z tej strony.

— No więc jaki rezultat waszych poszukiwań?

— Mój generale, jeżeli pozwolisz, podzielimy śledztwo na dwie części. W pierwszej uszeregujemy fakty materialne, w drugiej okoliczności moralne. Sprawa ta więcej jest skomplikowana, niż myślałeś z początku, a skoro się wytłomaczę, prawdopodobnie niepokój twój zamiast zmniejszyć się, wzrośnie.

— *Sacrébleu!*

Usiadł przy biurku, podparł brodę na ręce i wskazawszy pułkownikowi fotel obok siebie, rzekł:

— Siadaj, proszę, słucham.

— Dom, w którym mieszkał generał de Tremont, stoi w górze wsi Vanves, w małej odległości od fortu, nawet straż nocna zrobiła alarm a garnizon zorganizował pierwszą pomoc kiedy pożar wybuchnął.

Eksplozja materiałów wybuchowych nagromadzonych w laboratorium wysadziła nawet fundamenty, a skutek był straszny... Kamienie wyrzucone w powietrze znajdowano więcej niż o dwa kilometry, ogrody zaś sąsiednie, należące do ogrodników podmiejskich, zasypane zostały szczątkami... Gdyby... Gdyby domy były w pobliżu, spustoszenie byłoby ogromne.

Minister przerwał:

— Jednem słowem, skutki melinitu?

— Oh! mój generale, zupełnie co innego! Pomnóż przez sto siłę prochu używanego do naszych granatów, a może będziesz miał równomierną siłę niszczącej, wynikłej przy eksplozji laboratorium generała de Tremont.

Minister potrząsnął głową.

— Tak. To samo mówił de Tremont, ostatnim ra-

zem kiedy widziałem go w komitecie artyleryjskim. Był na drodze do odkrycia, które miało dać naszym armatom wyższość tak niweczącą, że stalibyśmy się na bardzo długo panami zwycięstwa. Walka przeciwko nam odznaczałaby się taką rzezią z naszej strony, dokonaną z absolutną dokładnością, iż przewaga nasza wojenna byłaby pewną. Czy dla tego katastrofa nastąpiła?

— Więc, mój generale, przypuszczasz, że złe chęci mogą nie być obce przy tym wypadku?

— Nic nie przypuszczam, Vallenot, i wszystko podejrzewam. Skoro skończysz objaśnienia, porozmawiamy. Mów dalej...

— Otóż, mój generale, po przybyciu zastaliśmy, podług rozkazu wysłanego natychmiast z ministerjum, kordon wojska pilnującego dostępu do posiadłości. Było tam już do czterystu mieszkańców okolicznych, ciekawych i gadatliwych, nie rachując około dwudziestu dziennikarzy przybyłych powozami lub na rowerach, którzy sami więcej robili hałasu niż reszta obecnych. Kłęli oni głośno, że nie chciano ich dopuścić na miejsce eksplozji, na dymiące gruzy willi. Lecz trzymał tam komendę młody porucznik energiczny, który przepędził wszystkich gdzie pieprz rośnie, powołując się na swoją władzę wojskową. Prawdopodobnie prasa niepochlebnie o nas się odezwie, lecz tymczasem da nam spokój. To już coś znaczy. Wewnątrz kordonu był tylko sekretarz prefektury policji, prokurator rzezypospolitej i szef bezpieczeństwa. Przybyliśmy, ja i mój agent w dobrą chwilę po nich. Rozpoczęły się poszukiwania.

— Gdzie? W domu?

— Na miejscu tego co było domem i co przedstawiało się jak wielki otwór, w głębi którego była piwnica z zapadniętem sklepieniem, w której na dnie z popękanych beczek z winem zrobiło się bagnisko czerwone. Schodów ani śladu, stopnie gdzieś znikły. Kamienie poszarpane na drobne kawałki jak jajka gołębie. Nigdy nie podobnego nie wyobrażałem sobie. A przez dziwny traf w całym tym kataklizmie, kawał ściany, zapewne od pralni, stał jeszcze, z oknem wązkim, pomiędzy kratami żelaznymi którego tkwił jakiś łachman. Wszyscy jednocześnie spojrzeliśmy na ten jedyny szczątek pozostały po zburzeniu, a szef bezpieczeństwa zbliżył się ostrożnie do tego kawałka muru grożącego upadkiem. Końcem laski dotknął łachmana, zrzucił go, podniósł z okrzykiem zdziwienia i, wracając do nas prędko, pokazał... Była to ręka jeszcze w rękawie ubrania, ucięta na wysokości łokcia, zakrwawiona i z pięścią zczerniałą, jak gdyby zwapnioną.

— Oh! Ależ to nadzwyczajne! wykrzyknął minister.

— Straszne przede wszystkim, mój generale, ciągnął pułkownik Vallenot. Dużo trupów widziałem na polu bitwy, masy rannych w ambulansach... W Gravelotte widziałem granat pękający, który urwał głowę dowódcy oddziału, a głowa ta potoczyła się pod moje nogi i mrugnęła oczami w pyłe piasku. W Tonkinie znalazłem żołnierzy poćwiertowanych przez Czarne Choraągwie, którzy drgali jeszcze. Nigdy nie na mnie nie zrobiło takiego wrażenia jak ta ręka ludzka położona

na kamieniu, jedyny ślad dramatu, który staraliśmy się odtworzyć i zrozumieć.

— Prokurator rzeczypospolitej, ciągnął pułkownik, odzyskał pierwszy krew zimną i rzekł: „Panowie, jest to dowód wielkiej doniosłości. Ręka ta wyrzucona została widocznie pomiędzy kraty przez wybuch. Lecz do kogo należała? Czy to ręka nieszczęśliwego generała de Tremont? Generał nie sam mieszkał w willi, zrobił uwagę szef bezpieczeństwa. Miał kucharkę i służącego... Odsuńmy odrazu przypuszczenie o służącej, odezwał się agent. To jest ręka mężczyzny. Należała zatem do generała albo do jego lokaja. Chyba że...” Zapanowało milczenie. Nasz agent bowiem pierwszy raz przemówił. Prokurator zwrócił się do niego i rzekł: „Niech pan kończy... Chyba że należy do sprawcy katastrofy.”

— Ah! rzekł minister. Ten chłopak także przypuszczał, że wypadek mógł mieć powód zbrodniczy.

— Tak, mój generale, a jednocześnie kiedy mówił, badał z bliska i z wielką uwagą rękę zczerniałą i zwęgloną. Bardzo delikatnie rozsunał palce, z małym wysiłkiem zdjął pierścioneł, którego nikt z nas nie zauważył i tryumfalnie podniósł go w górę: „Jeżeli ta obrączka należy do generała, będziemy wiedzieli co o tem trzymać. Jeżeli nie, posiadamy wskazówkę drogocenną, która pozwoli nam rozwikłać tę sprawę”.

— Obrączka, *sacrébleu*! Nie przypominam sobie, żebym kiedy widział obrączkę u Tremonta! Nie... przysięgnę, że nie nosił nigdy w życiu żadnego klejnotu, tembardziej pierścionka... Człowiek, który od rana do

wieczora miał do czytuienia z preparatami chemicznymi... byłoby to śmiesznem!... Żaden metal nie byłby się ostał przy tem, czego on używał przy swojej pracy. Lecz co to za rodzaj obrączki, Vallenot?

— Ślubna, mój generale. Wytarta z sadzy kawałkiem skórki z rękawiczki odzyskała blask złota. Agent nasz obracał ją chwilę, następnie nacisnął palcem i obrączka się rozdzieliła: „Patrzcie, panowie, zawołał. Są wewnątrz litery wyryte. Co bądź się stanie, mamy już dowód.“

— To prawdziwie zręczny człowiek, Vallenot, z tego chłopca, rzekł generał, dotąd widzę, że tylko on dawał inicjatywę... Trzeba będzie dać mu gratyfikację.

— Zaczekaj, mój generale, jeszcze nie koniec. Prokurator rzeczypospolitej wziął obrączkę i oglądał. Włożył ją spokojnie do kieszeni mówiąc: „Zbadamy to później“. A my wszyscy spojrzeliśmy po sobie trochę zbici z tropu tem dziwnem wmieszaniem się prokuratora, które zawiodło zupełnie naszą ciekawość! Rozważywszy, może miał rację, pozostawiając śledztwu objaśnienia, jakie powinny wypaść z tego odkrycia i nie publikując dowodów mogących mieć ważność stanowczą. Lecz, jeśli chciał utrzymać tajemnicę śledztwa, to mu się nie udało, w tej samej bowiem chwili nasz agent prowadził dalej poszukiwania, zdjął podwójny rękaw z ręki urwanej i odkrył ciało. Tym razem niepodobna było ukryć przed nami tego co znalazł. Po między ręką i łokciem, na mięśni pokazało się tatowanie niebieskie, wyobrażające serce z płomieniem a

dokoła wypisane te słowa: „Hans und Mina,“ u spodu zaś: „Immer“, co znaczy po niemiecku: Zawsze.

— „Panowie, odezwał się prokurator rzeczypospolitej, przykładając do oczu lornetkę, proszę o najściślejszą dyskrecję. Jedno słowo wypowiedziane o tem cośmy odkryli, może mieć bardzo poważne następstwa. Być może, mamy przed sobą zamach anarchistyczny. Może będziemy musieli poszukiwać wmieszania się w to zagranicy. Sprawa nabiera rozmiarów zupełnie nieprzewidzianych... Prawdopodobnem jest, że tu zbrodnia została spełniona z namysłem.“

— Tam do diabła! rzekł minister. Powiedz sam, Vallenot, strasna sprawa! Może wypadaloby zawiadomić natychmiast prezesa rady.

— Mój generale, sekretarz prefekta policji zapewne już to zrobił. Widząc jaki obrót rzeczy biorą, wsiadł do powozu i kazał zawieźć się na plac Beauvau.

— Najpierwsza rzecz przeszkodzić żeby prasa głupstw nie rozsiewała. Jeżeli będziemy mieli do czynienia z agentami zagranicznymi, gdyż prace Tremonta podejrzewano w Europie, zależy nam najbardziej, żeby nie zwracać uwagi, i żebyśmy mogli ująć sprawców zbrodniczego usiłowania.

— Tego samego byliśmy zdania, mój generale, i odnośne rozporządzenia zostały wydane. Trzeba było koniecznie zwrócić opinię publiczną na fałszywą drogę. Sama z siebie nastęrczała się wersja o wydarzeniu przypadkowem. Zaraz na miejscu postanowiono, że doniesienia do dzienników będą w tym sensie. Generał de Tremont będzie rodzajem oryginała, zajmującego

się doświadczeniami chemicznymi dla zdobycia pieniędzy; przez nieostrożność spowodził katastrofę, którą życiem przypłacił.

— Biedny Tremont! Taki poważny, taki szlachetny uczony! Wreszcie... interes kraju przedewszystkiem. Lecz boleśnie jest przyczyniać się do spotwarzania starego i dzielnego kolegi!

— Mój generale, przerwał pułkownik Vallenot z uśmiechem, nie śpiesz się i nie martw. Dalszy ciąg wypadków zachowuje niespodzianki, które, nie wątpię, złagodzą twój żal!

— Co ty utrzymujesz? rzekł generał marszcząc brwi. Nie będziesz przecie mówił źle o moim przyjacielu od dzieciństwa, o towarzyszu broni?

— Niech mnie Bóg strzeże, mój generale. Ograniczę się na zdaniu sprawy z faktów, o jakich kazałeś mi się zawiadomić. Jeżeli będę o tyle nieszczęśliwym, że ci się to niepodoba, nie moja w tem wina; zanadto jesteś na to sprawiedliwy.

— Co znaczą takie zastrzeżenia? Mów do końca, pułkowniku, i mów śmiało!

— Taki mam zamiar, mój generale. Tak tedy sekretarz prefekta policji podjął się opowiedzieć to cośmy ułożyli licznym reporterom, którzy wściekali się, powstrzymywani jedynie przez kordon wojska, i zawiadomić ministra spraw wewnętrznych, gdy naraz wielki tumult powstał na drodze do wsi prowadzącej. Dały się słyszeć krzyki, nawoływania. Porucznik gotował się już przekonać co się dzieje, kiedy jakiś człowiek wdarł się przemocą przez linję wojska, przybiegł do

nas, z gołą głową, z twarzą zmienioną, jęcząc boleśnie: „Mój pan! Oh! mój Boże! Mój dobry generał! Lecz co się z domem stało? Kamień na kamieniu nie pozostał!” Rzucił się na zgłiszcza i płakał gorzko. Patrzyliśmy na niego w milczeniu, wzruszeni jego boleścią, wzburzeni zachowaniem i przeczuwając objaśnienia pożądane i natychmiastowe w tej ciemnej sytuacji. „Kto jesteś, przyjacielu?” zapytał prokurator rzeczypospolitej. Człowiek podniósł głowę, obtarł ręką łzy z oczu i zobaczyliśmy twarz inteligentną i energiczną: „Ordynans generała, proszę pana, jego służący od lat dwudziestu!... Ah! gdybym ja tu był, może uniknęłoby się tego nieszczęścia! A przynajmniej byłbym z nim razem zginął!”

— To Baudouin! wykrzyknął minister. Dzielny chłopiec uniknął śmierci... Ah! jak to szczęśliwie... Przez niego dowiemy się czegośkolwiek!

— Tak, mój generale, lecz to cośkolwiek, mówił pułkownik, nie będzie tem objaśnieniem, jakiegośmy się spodziewali. Przeciwnie.

— Jako! przeciwnie?

— Sam osądzisz, mój generale. W przeddzień około szóstej godziny po południu, generał de Tremont spacerował w ogrodzie po dniu spędzonym na pracy w swoim laboratorium, kiedy naraz telegrafista z Vanves przyniósł mu depeşe. Przeczytał, chodził niejakiś czas z głową opuszczoną na piersi, jak gdyby zamyślony głęboko, potem przywołał Baudouina: „Pojedziesz do Paryża, rzekł do niego, mam pilny obstalunek do mojego dostawcy produktów chemicznych, na placu

Sorbonny. Doręczysz mu ten list, potem pójdziesz do pana Baradier, pokłonisz się odemnie... Zjesz obiad, jeżeli chcesz, spędzisz wieczór w teatrze; masz na to pozwolenie i sto su na zapłacenie miejsca... A jutro rano powrócisz ze sprawunkami.“

Baudouin, który wiedział co to znaczy, zrozumiał, że generał wyprawiał go z domu na dwanaście godzin. Nie był z tego zadowolony, ponieważ, mówił, nie pierwszy to raz miało miejsce i zawsze w jednakowych okolicznościach: depesza przychodziła i zaraz rozkaz usunięcia sługi z domu.

Jednak generał pozostawiał kucharkę, której nie tyle niedowierzał co służącemu, ponieważ kobieta miała zwyczaj bardzo wcześnie udawać się na spoczynek i przez to nie mogła podglądać co się w domu dzieje.

Generał potrzebował zatem od czasu do czasu sam zostać... I wtedy starał się usunąć wiernego sługę, na którego miał prawo liczyć w każdym wypadku. Dla czego to robił? To właśnie nie dawało spokoju Baudouinowi i pobudziło jego niezadowolenie. Tak mało był przyzwyczajony ukrywać co myśli przed swoim panem że ten zauważył jego zły humor, i rzekł: „Co to znaczy? Przykro ci, że jedziesz do Paryża? Masz czego się krzywić, jadąc na zabawę!“ „Nie chodzi mi o zabawę, odpowiedział Baudouin, chodzi mi o wypełnienie służby“. Otóż wypełniasz ją, kiedy słuchasz mojego rozkazu, żeby jechać po produkty niebezpieczne do przewiezienia, których potrzebuję, i załączyć pozdrowienie mojemu przyjacielowi Baradier... Lecz dosyć tego! Potrzebuję ciebie jutro, a nie dziś wieczór... Podług rozkazu, mój generale.“

Lecz Baudouin nie był spokojny. Poszedł do kuchni i rzekł do kucharki: „Ostatnim razem kiedy generał wysłał mnie do Paryża, co tu się działo wieczorem? Czy generał jadł obiad jak zwykle? Zamykał się w swoim gabinecie, czy też poszedł do ogrodu? Wcześniej udał się na spoczynek? Nie nadzwyczajnego nie zwróciło twojej uwagi?”

Kucharka oświadczyła, że o niczem nie wie, nie zauważyła i bardzo była zdziwiona pytaniami.

Poznał, że była o sto mil od podejrzenia cze-
gokolwiek i nie nalegał więcej. Lecz choć przyzwyczajony szanować wolę swego pana, przywiązanie właśnie do tegoż, zdecydowało go do nieposłuszeństwa przynajmniej w części, i zamierzył udawać, że wyjeżdża, potem zostać po za domem i w ten sposób widzieć co się będzie działo, skoro generał upewni się, że nie ma już niedyskretnych oczu.

Wieczór był ciepły, rozkoszny. Wiatr ustał zupełnie, a z ogrodu rozchodził się zapach róż kwitnących.

Baudouin ubrał się, poszedł pożegnać generała, dostał spis tego co ma kupić, parę słów do pana Baradier i wyszedł. Poszedł aż do kolei, zjadł obiad w pobliżu dworca w małej restauracji, a skoro noc zapadła powrócił i umieścił się w okolicy domu swego pana. Nieśmiało wszedł do ogrodu, w obawie żeby generał go nie spostrzegł. Wślizgnął się do sąsiedniej posiadłości ogrodnika, której właściciel był jego przyjacielem, i schował się do budy, służącej na skład narzędzi ogrodniczych.

Ztąd mógł naglądać wejście do willi i wzdłuż ży-

wopłotu gęstego zbliżyć się aż do parkanu podwórza generała. Usiadł, zapalił fajkę i czekał. Było już około ósmej godziny wieczorem, kiedy na drodze dał się słyszeć turkot powozu. Poprzez żywopłot Baudouin zobaczył przy świetle latarni, przejeżdżający ładny powóz zaprzężony w parę koni. Instynkt ostrzegł go, że tym powozem jechał, albo jechali ci, na których generał oczekiwał. Wybiegł tedy za powozem aż do parkanu willi i znalazł się tam w chwili kiedy powóz stanął przed bramą. Lecz nie on sam czatował, gdyż zaledwie spienione rumaki stanęły, wysoka postać generała wystąpiła z cieniów nocy. Jednocześnie niecierpliwa ręka otworzyła portjerę i głos męski z silnym akcentem cudzoziemskim mówił: „Ah! generale, trudziłeś się i wyszedłeś na nasze spotkanie?” Pan de Tremont odpowiedział tylko: „Czy jest baronowa?” „Tak, bez wątpienia, odpowiedział śmiało głos kobiety, czy możesz o tem wątpić?...” Mężczyzna wysiadł pierwszy. Lecz generał nie pozwolił mu pomódz wysiąść kobiecie; posunął się z żywością zakochanego, który przyjmuje swój ideał i biorąc prawie na ręce swojego gościa, zawołał z niezwykłym zapalem: „Chodź, pani, nie potrzebujesz się obawiać, nikt nas nie może zobaczyć...” Mężczyzna odezwał się głosem gardłowym, z grubym śmiechem: „Niech państwo mną się nie zajmują, idę za wami...” I wszystko troje znikli w ogrodzie.

Baudouin zaledwie zdążył przystawić drabinę do parkanu. Kiedy mógł już patrzeć w ogród swego pana, aleje były puste, lecz duże okno w laboratorium jaśniało wśród nocy. Zaczny chłopak mówił do siebie:

„Co robić? Wejść do domu? Szpiegować mojego generała? Nie słuchać rozkazu? I dla czego? Czyż niema prawa przyjmowania kogo mu się podoba? Co ja mu powiem? Czy jest prawdopodobnem, żeby ludzie, których przyjmuje byli podejrzani? Czyżby w takim razie miał z nimi stosunki? Powóz czeka przed bramą, dówód, że długo nie zabawią i powrócą do Paryża. Łamię sobie głowę napróżno zapewne. Jedno mi pozostaje, być posłusznym generałowi.“ Zlazł z drabiny, poszedł wzdłuż żywopłotu, i udał się prosto na stację kolei. Wykonał co do joty polecenia swego pana, oprócz tego, że sklep był już zamknięty i że musiał załatwić obstalunek nazajutrz przed wyjazdem. Powrócił rano do Vanves po to, aby zastać dostęp do posiadłości generała strzeżony przez wojsko, wilę w winach, a pana swojego zabitym w katastrofie.

Pułkownik Vallenot zamilkł. Zapanowała w gabinecie ministra cisza, którą tylko mąciły ptaki swym świergotem na gałęziach wielkich drzew w ogrodzie.

Stary żołnierz, oparty na biurku, rozmyślał.

Po chwili westchnął ciężko:

— Rzeczywiście, to jest zadziwiające i tu bezwątpienia jest klucz całej sprawy. Te dwie osoby nieznane, przybywające tajemniczo w nocy, do Tremonta, a po odwiedzinach następuje straszny kataklizm; co to wszystko znaczy? Do czego to się odnosi? Czy mamy przed sobą wypadek czy zbrodnię? A jeżeli zbrodnię; dla czego?

Podniósł się i poszedł do okna z miną zafrasowaną, wrócił potem do biurka, usiadł z powrotem i spojrzawszy znów na pułkownika, rzekł:

— A potem, Vallenot, po opowiadaniu tego dzielnego sługi, co się stało? Coście robili?

— Mój generale, sprowadzono oddział żołnierzy z fortu i, pod nadzorem policji przetrząsnęto zgliszcza starannie. Lecz nic nie znaleziono. Zniszczenie absolutne... Z wyjątkiem kawałka ściany stojącej jeszcze, nie pozostało nic w całości. Jednak po dwugodzinnem poszukiwaniu w szczątkach, z których dobywał się silny odór azotanu rtęci, wygrzebano kuferek żelazny o zawiasach rozbitych i z dnem podziurawionem gęsto, jak gdyby świderkiem, symetrycznie...

— To jest skutek wybuchu, przerwał minister. Wiesz, że mamy w naszych szrapnelach takie same wypadki przy wybuchu... To jest fakt do zanotowania. Prawdopodobnem jest, że wybuch początkowy nastąpił w tym kuferku. Czy go zachowano?

— Oddano prokuratorowi rzeczypospolitej.

— Zobaczymy, czy nie będziemy musieli go zażądać, ażeby zrobić analizę substancji, które sprowadziły eksplozję. Lecz kończ, pułkowniku... Co się stało z powozem czekającym przed bramą?

— Powóz musiał odjechać przed wypadkiem. Niema ani śladu po nim w okolicy willi. Urzędnicy akeyzni badani, oświadczyli, że koło godziny jedenastej powóz w parę koni wrócił do Paryża. Urzędnik cłowy, który spełniał zwykłe formalności, przypomina sobie, iż to była kobieta, która na jego zapytanie: „Czy pani co deklaruje?“ odpowiedziała: „Nie“. Eksplozja zaś po-
dług raportów straży na fortach, nastąpiła około godziny trzeciej rano.

— Mężczyzna z akcentem cudzoziemskim miałaby zostać po odjeździe powozu?

— To jest bardzo prawdopodobne.

— Więc nie jesteś pewny?

— Nie czekałem końca badań. Odjechałem, żeby tobie, generale, donieść czego się dowiedziałem, pozostawiając agenta, z poleceniem aby wracał prosto do ministerjum, skoro tylko ostatnie sprawdzenia będą skończone.

— Może on tu już jest? Zadzwoń z łaski swojej.

Pułkownik nacisnął dzwonek.

Wszedł woźny.

— Laforet powrócił?

— Właśnie w tej chwili, mój pułkowniku.

— Przyprowadź go tutaj.

Krok pewny, drzwi zamknięte ostrożnie, kaszel donośny, postawa wojskowa, głowa do góry; takim był agent, który przedstawił się zwierzchnikom.

Minister patrzył chwilę na twarz marsową i otwartą agenta, następnie rzekł:

— Pułkownik Vallenot zdał mi sprawę z tego, co było do jego wyjazdu z Vanves. Uzupełnij jego opowiadanie tem, czego dowiedziałeś się potem. Siadaj, Vallenot.

— Panie ministrze, rzekł agent, zacznę najpierw od najważniejszego: ciało generała de Tremont zostało odnalezione.

— W gruzach? zapytał pułkownik Vallenot.

— Nie, mój pułkowniku, w ogrodzie. Zajęto się

tylko domem i gruzami. A dopiero przeszukując ogród, w pobliżu małej bramy ciało generała odkryto.

— Jakto? Eksplozja aż tam go wyrzuciła?

Agent odpowiedział:

— Ciało generała nie było wcale wyrzucone przez eksplozję. Zostało na miejscu, na którym dostał pchnięcie nożem w lewy obojczyk... Generał nie żył już kiedy wybuch nastąpił, a ten co go sprowadził, jest zabójcą.

— Mężczyzna z akcentem cudzoziemskim?

— Towarzysz pani, którą generał nazwał: baronową?

Agent ani mrugnął na te zapytania. Zdawał się namyślać sekundę, potem rzekł:

— Tak, ten, który zostawił rękę na gruzach willi, i który, odbijając kuferek, cudem tylko uniknął śmierci. Ten, nazywający się Hans.

— Lecz zkąd twierdzisz, że uniknął śmierci? zapytał minister.

— Ponieważ odnalazłem jego ślady po za ogrodem, na drodze, którą szedł, skrapiając ją krwią swoją... Człowiek ten musi posiadać energję niezwalczoną, skoro miał siły uciekać, z urwaną ręką wydostać się na pole, i tam trafić na wózek jakiego ogrodnika, który z pewnością odwiózł go z powrotem do Paryża... Lecz to jest śledztwo dodatkowe, dopiero do zrobienia i ślad do odszukania.

— Więc, podjął generał, podług ciebie, ten człowiek, który przyjechał z kobietą zabił generała?

— Tak, panie ministrze, i bardzo prawdopodobnie wtedy, jak generał odprowadzał ich do powozu. O dwa kroki od bramy dostał nożem. Piasek jest zdeptany

jak gdyby było mocowanie się, a ciało generała przeciągnięte za klomb drzew... Ślad nóg wlekących się po piasku jest widoczny... Może kobieta pomagała. W każdym razie odjechała po spełnionem morderstwie. Mężczyzna pozostał. Zabrał generałowi klucze, które nigdy go nie opuszczały i których nie odnaleziono. Zabrał zegarek i pugilares, ażeby upozorować zabójstwo chęcią rabunku, potem wrócił do willi i zajął się laboratorium... Do laboratorium on miał interes...

— Zkąd wiesz o tem?

— Z odezwania się służącego, Baudouina. Pokazuje się, że raz, jak sprzątał gabinet, generał wszedł, powracając z laboratorium. Generał chodził po pokoju zacierając ręce, potem wymówił półgłosem: „Tym razem majątek w rękach! Zobaczymy co Hans powie.“ Otóż, generał przez cały tydzień zawzięcie robił jakieś doświadczenie, które przedtem nieudawało się, a po którym oczekiwał wielkich rezultatów... Kilka razy w różnych odstępach czasu oddalał swego służącego, z pewnością dla przyjmowania gości tajemniczych.

— Przypuśćmy, że masz rację w tem, co dotyczy mężczyzny, rzekł minister, zainteresowany opowiadaniem agenta. Lecz co myśleć, według ciebie o roli jaką odegrała kobieta?

— To panie ministrze, to jest daleko widoczniejsze, a wskazówek, dowodów nawet, wcale nie brakuje. Pewnik jest, że romansowość była podkładem całego zdarzenia i że generał de Tremont, którego skłonność do kobiet bardzo była znana, stał się ofiarą miękkiego swego serca. Nie wiem nic o tajemnicach generała,

nie wiem czego poszukiwał w swoim laboratorium. Dzienniki jednak, po kilkakroć pisały o jego pracach. Był członkiem Akademii umiejętności, i miał ustaloną opinię człowieka uczzonego. Przypuśćmy na chwilę, że pan de Tremont zrobił odkrycie, dotyczące przyszłości armii europejskich i że jedno z mocarstw zagranicznych chciało przekonać się o wartości tego wynalazku, może dostać go dla siebie... Czyż nie wiemy, że bardzo często kobiety były najlepszymi agentami politycznymi, używanymi w naszym kraju? Generał był, pomimo swego wieku, uprzedzającym dla kobiet... Nasyłają na niego kobietę młodą, ładną, inteligentną. Spotyka ją przypadkiem, zajmuje się nią... Lecz „pani“ nie jest wolna; w domu mąż zazdrosny. Nie może wielbiciela przyjmować u siebie... Musi przyjeżdżać do niego... Usłużny przyjaciel, kuzynek, brat może, pod płaszczykiem nauki, wkręca się, ułatwia schadzki, towarzysząc pięknej pani, aby odwrócić uwagę zazdrośnika... Podczas kiedy stary amant czuli się, dobroduszny towarzysz obserwuje, bada zręcznie, zdobywa zaufanie tego, któremu oddaje przysługi. Miłość usypia obawy. Słodki uśmiech i spojrzenie pieszczące wywołują zwierzenia. I pewnej nocy, generał de Tremont, który bezwątpienia ukończył swoje odkrycie, odbiera wizytę tej pary nieznanej. Kobieta stara się zdobyć tajemnicę; nie może tego osiągnąć. Wtedy przyjaciel w ostateczności decyduje się zabić... Generał umiera od sztyletu. Spółniczka ucieka. Zabójca wraca z kluczami, przeszukuje laboratorium, próbuje otworzyć kuferek, w którym są drogocenne rzeczy... Lecz proch straszny, niezręcznie

poruszony, mści się za tego, który go wynalazł i w zabójczym wybuchu, zaprzepaszcza jednocześnie receptę, i tego który chciał ją ukraść. Oto, panie ministrze, w jaki sposób można odtworzyć wypadki, które pana zajmują. Lecz ja się nie łudzę, to jest tylko przypuszczenie. Mogą być inne i pewniejsze, jeżeli nie prawdopodobniejsze. O tem tylko nie można wątpić, że generał de Tremont został zamordowany, że mordercą była jedna z osób przybyłych tej nocy do willi i że eksplozja, która nastąpiła po zbrodni, była skutkiem nieostrożności tego, którego możemy nazwać „Hansem,” a który został ciężko raniony.

Minister i pułkownik Vallenot spojrzeli na siebie w milczeniu, następnie generał rzekł do agenta:

— Dziękuję ci... Nie zajmuj się już tą sprawą, jest ona teraz w rękach sądów cywilnych. Jeżeli będziemy potrzebowali twojej pomocy, wiemy gdzie cię szukać. Odejdź, i ani słowa przed nikim...

Agent Laforet oddał ukłon wojskowy i z równym spokojem jak przyszedł, wyszedł z gabinetu ministra. Generał i pułkownik zostawszy sami, przechodzili w myśli przebieg tego dramatu, który materialnie stawał się jasny, lecz moralnie był ciemny jak noc. Ostrożności przedsięwzięte przez dwoje współników, mężczyznę i kobietę, zdawały się tak dobrze obmyślane, iż wątpliwem było dowiedzenie się o nich prawdy. Jedna została nadzieja: ranny, z oderwaną ręką mógł być odnaleziony, na pół żywy, gdzieś na polu, lub na drodze. Badając mieszkańców okolicznych, przekupniów jadących do miasta, można się spodziewać, że go się znaj-

dzie. Policja zapewne była już w ruchu i wypuściła na poszukiwanie najzręczniejszych agentów.

— Przeklęty Tremont! odezwał się minister. Wiesz, Vallenot, że był odemnie starszy. Wziął dymisję w stopniu generała brygady, ażeby swobodnie oddać się poszukiwaniom naukowym, a to dla tego, iż zawsze potrzebował pieniędzy. Kobiety, mój kochany, to straszna klęska dla oficera. Wszystkie kariery złamane, wszystkie samobójstwa, od porucznika aż do wielkiego wodza, wszystko przez kobiety!

— Kobiety, tak, tak właśnie, rzekł pułkownik Vallenot. Do tego zmierzałem, kiedy mówiłem ci, mój generale, na początku mojego raportu, że po zbadaniu faktów materialnych, zajmiemy się znaczeniem moralnem tej sprawy... Zbadanie świadków ukończone: śmierć człowieka, usiłowanie kradzieży, i w końcu zburzenie kompletne domu mieszkalnego. Lecz w jakich zamiarach wszystkie te zbrodnie zostały spełnione?

— Tego to przedewszystkiem trzeba dochodzić! Rozumiem dobrze myśl twoją... Widzisz w tej sprawie co innego niż zamach zbrodniczy. Podejrzewasz knowanie z wyższego rozkazu, bardzo zręcznie obmyślane bardzo niebezpieczne...

— Tak, mój generale, dla tego, iż w tym wypadku nie mamy swobody w poszukiwaniu przyczyn, związani jesteśmy względami dyplomacji, polityką a często nawet spółnictwem tak nieoczekiwanem, iż musimy lawirować najpierw, cofać się następnie i ostatecznie wyrzec się ukarania... Chcesz, mój generale, żebym ci

wyliczył wszystkie sprawy, z którymi nie mogliśmy przyjść do końca od lat kilku?

— Mówisz o szpiegostwie i zdradzie?

— Tak, mój generale

— Niepotrzeba... Jestem dość obznajmiony z położeniem, aby domyślać się, co posiadasz w archiwach... Jak długo jesteś w ministerjum, Vallenot?

— Mój generale, spędziłem dziesięć lat na różnych stanowiskach, przeplatanych służbą czynną w pułkach... Znam też przeróżne służby. Nigdy nie przedstawiliśmy być wyzyskiwani przez zagranicę, ze zręcznością, zuchwalstwem i wytrwałością, o które rozbiły się wszystkie nasze wysiłki... A zawsze, najwięcej mające doniosłości fakty, wywołane były przez kobiety. To też kiedy służący generała de Tremont mówił o tej damie przybyłej w nocy, w tej chwili zwróciło to moją uwagę...

-- Wytlómacz się Vallenot.

— Mój generale, z tą kobietą tajemniczą, która przechodzi zostawiając po za sobą krew i ruiny, przysięgłbym, że nie pierwszy raz mamy z nią do czynienia. Sposób jej postępowania zawsze jest jednakowy: zarzuca sieci na człowieka o którym wie, iż może wydać jej ważną jaką tajemnicę, ujma je go zwodniczym powabem, roznamiętnia, dopóki nie zdradzi on tej tajemnicy. Potem, odrzuca go jak sprzęt niepotrzebny. Straszna istota, jeżeli sądzić po skutkach jakie już otrzymała... zaszczepiająca zepsucie... Żadne serce nie oprze się jej zręcznym pokusom. Umie stopniowo powiększać dozy swej trującej miłości, i najszlachetniejsze umysły, najstalsze charaktery, najbardziej wypró-

bowana odwaga chwieją się i kapitulują przed jej potęgą. Pamiętasz nieszczęśliwego kapitana Cominges, który odebrał sobie życie pewnego wieczora, i nikt nie mógł się dowiedzieć dla czego?... Ta kobieta tam przeszła... Cominges stał się jej niewolnikiem... A część naszej mobilizacji została poznana. Cominges przysiągł zanim się zabił, że dokumenty skradziono podczas kiedy był u niej. Poważne nadużycie zrobił zabierając je z biura do domu, żeby nad nimi pracować, a jeszcze większe powiedziawszy, że są u niego... Ale biedny chłopak wierzył swojej kochance... Był to człowiek honorowy, dzielny żołnierz... Wystrzałem z pistoletu zakończył tę sprawę...

— Jak się nazywała ta kobieta?

— Pani Ferranti... Odwiedzała Cominges'a z nieskończonemi ostrożnościami, wrzekomo z powodu swojej rodziny... Jeden z naszych agentów znał ją jednak... Zginął też z wypadku w przeciągu pół roku... Pewnego wieczora wracał z Auteuil na wierzchu wagonu... Znalaziono go zamordowanego w tunelu... Może przechylił nadto głowę...

— Do licha!

— W następnym roku, młody kapitan Fontenailles, śliczny chłopiec, którego wszyscy kochaliśmy, obalamucony został przez kobietę, którą koledzy jego nazywali „Kameleon“. Wymogła, że zdradził tajemnicę pisma cyfrowego... Zrozumiawszy całą ohydę swego postępowania, wyznał wszystko przed swoim szefem, który zdołał naprawić nieopatrzność, zmieniawszy cyfry... Kapitan Fontenailles odplynał do Tonkinu i zginął śmiercią wa-

leczych przy ataku na Bach-Ninh... Spłacił dług za winę...

— A kobieta zawsze ta sama?

— Takie było zdanie tych panów. Ferranti w sprawie z Cominges'em, była Kameleonem z kapitanem Fontenailles... A panią Gipson w sprawie balonów, nie mówiąc już o tem czegośmy nie widzieli i to co nam niedokładnie odkryto... Zawsze ta sama „Kameleon“, ze swoim jednakowym sposobem: zepsucie A po za nią zgłiszcza, łzy, krew...

— Od jak dawna prowadzi ona ten swój proceder?

— Mój generale, zapewne od dziesięciu lat. A pod wszystkimi przemianami pozostała nieuchwytną.

— Straszna kobieta! Trzebaby ją pochwycić koniecznie!

— Chyba niema nic trudniejszego. Skoro swoje zrobi, niknie. Wszystkie mosty za sobą pali... To jej zwyczaj. Zobaczysz, generale: w tej nowej sprawie będziemy się obracać jak w błędnem kole... Będą poszukiwania przez jakiś czas... Nie znajdą żadnej wskazówki. Wspólnicy zapadną się w ziemię, tak samo jak główny autor... Powoli zwolnieją poszukiwania, zajmą się czem innem. W ten sposób kończy się to u nas zwykle, chyba, że...

— Chyba?... Ah! pułkowniku, ty masz jeszcze nadzieję!

— Chyba, że tym razem wspólnik z urwaną ręką, da nam wpaść na ślad... Niech tylko mamy najmniejszą nitkę przewodnią, a przysięgam, mój generale, mu-

simy doprowadzić do rezultatu... Choćby dla pomszczenia biednych naszych kolegów!

— I dla uprzedzenia powrotu podobnych wypadków! Gdyż, Vallenot, przyznasz, że trochę to zanadto, żeby zagranica знаła nasze najtajniejsze sprawy, jak gdybyśmy je traktowali na placu publicznym.

— Tak samo my dobrze znamy sprawy zagranicy, mój generale, rzekł pułkownik Vallenot.

◇ Trzebaby zacząć tedy od nakazu milczenia prasie, mruknął minister.

— A to jest niepodobieństwo! rzekł Vallenot. Lecz w obecnym, zupełnie wyjątkowym wypadku, trzeba wszystko robić, aby dojść do pożądanego końca...

— Eh! to należy teraz do sądów.

— Urzędownie, mój generale, lecz w naszym kółku, możemy także szukać, dyskretnie, i ja nie ustane...

— Pułkowniku, główna rzecz to, że wojskowi zanadto lubią kobiety!

— Mój generale, rzekł Vallenot śmiejąc się, jeżeli znasz sposób zakazania tego, to mi go powiesz.

— I pomyśleć, że ten stary Tremont!... W sześćdziesięciu latach! Prawda, nie wyglądał na więcej niż pięćdziesiąt!.. Dziarski, prosty, zdrów! I cóż mu z tego przyszło! A w jakim położeniu zostawił córkę!

— Generał de Tremont był wdowcem?

— Oh! Oddawna. To go tłómaczy! Lecz ma córkę, w klasztorze jeszcze. Ośmnaście lat i żadnego posagu. Na szczęście, został Baradier...

-- Czy ten Baradier et Graff, bankier?

— Ten sam. Dawny żołnierz z roku 1870, patryjota

szczerzy, ja za niego ręczę, a syn jego Marceli, bardzo ładny chłopiec, po skończeniu szkoły centralnej, pracował z generałem de Tremont... Marceli Baradier zajmował się przedewszystkiem poszukiwaniem barw, farb roślinnych, z powodu przedzalni wełny, którą ojciec jego posiada w Aube. Lecz generał dawał mu wolny wstęp do swego laboratorium i można przypuszczać, iż obznajmiał go ze swojemi pracami. Myślę że przez tego młodego człowieka będzie się można dużo dowiedzieć.

— Rodzina Baradier bardzo bogata?

— Bardzo. Majątek zrealizowany, który rośnie z każdym dniem za pomocą przemysłu i banku. Graff, szwagier Baradiera, zajmuje się specjalnie interesami finansowemi, a Baradier fabrykami. Lecz jeden i drugi, pracują od rana do nocy. A miliony gromadzą się na milionach, pomimo rywalizacji domu bankowego Lichtenbach, któremu solą w oku dom Baradier et Graff.

— Rywalizacja jako bankierów?

— Oh! gorzej! Nienawiść osobista, która z dawna pochodzi i rośnie wściekle... Mówią, że przed laty Lichtenbach chciał żenić się z panną Graff, i nigdy nie mógł strawić afrontu, jaki Graff mu uczynił, nie przyjmując jego oświadczenia i oddając siostrę przyjacielowi swojemu, Baradier... Pomiedzy temi dwoma rodzinami jest cała serja nieporozumień i pretensji nagromadzonych latami, które czynią ich nieprzejezdnymi.

— W każdym razie, mój generale, nie widzisz chyba nic wspólnego pomiedzy temi niesnaskami i śmiercią generała de Tremont?...

— Nie zupełnie... Lichtenbach jest gorliwym katolikiem, oddany całą duszą partji orleanów i niezdolny, jak sądzę, do czynu podejrzanego... W dodatku, co mu na tem mogło zależeć czy Tremont żyje czy nie żyje?

— Odkrycia generała czy nie mogły być pożądane dla domu bankowego Lichtenbacha?

— Bezwątpienia! Lecz czy my jesteśmy pewni, że Tremont zajmował się, przedewszystkiem w ostatnim czasie, fabrykacją prochu strzelniczego, którego straszne skutki widziałeś przy eksplozji w Vanves... Prawdą jest, że proch ten mógł stać się źródłem wielkich dochodów zastosowany do przemysłu, z inną formułą, mniej niszczącą. Naprzykład przy eksploatacji węgla kamiennego i kopalniach kamienia, zastąpiłby napewno dynamit... Były w nim miliony, Tremont wiedział o tem dobrze... Lecz wszystko, mój drogi, poszło z dymem, a generał zabrał tajemnicę do grobu.

— Jeżeli tylko nie udzielił jej synowi pana Baradier.

— Zaiste! byłoby to ciekawe!

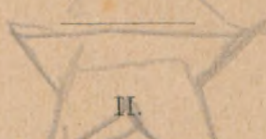
Wybiła trzecia godzina Minister wstał z krzesła i wziął kapelusz, rękawiczki i laskę.

— Odchodzisz, mój generale?

— Tak, pójdę do Baradiera, pomówić z nim o wszystkich tych sprawach... Pani Baradier zajmowała się specjalnie panną de Tremont; chcę osobiście wyrazić temu dziecku żal mój i współczucie... Kochałem jej ojca... Był on moim kolegą szkolnym... Odbyliśmy razem kampanię w Meksyku i nad Loarą, a podczas cofania się z pod Mans, Tremont ocalił nas wszystkich osłoniwszy baterją nasze tyły, które zatrzymały w miejscu pogoń

za nami prusaków... Waleczny żołnierz!... sacrebleu, który zasłużył, żeby umrzeć na polu bitwy!... Lecz i na to trzeba szczęścia... Nie wszyscy mogą sobie śmierć wybierać!... No, do jutra, Vallenot!... A jak będziesz miał co nowego, telefonuj do mnie...

Pułkownik odprowadził swojego szefa do schodów, pożegnał go, a sam wrócił do biura.



II.

Przy ulicy de Provence, w starym domu wznoszącym się w głębi podwórza, mieści się więcej niż od lat pięćdziesięciu dom bankowy „Baradier et Graff”. Po wojnie roku 1870, przyzwyczajono się oznaczać ten zakład finansowy mianem Towarzystwa Alzacko-Lotaryńskiego. Mówiono nawet przez skrócenie „Lotaryngia”. Baradier et Graff nie uznają urzędownie tego tytułu, lecz prywatnie, pozor protestacji jaki nadaje on ich domowi, pochlebia im i sprawia przyjemność.

Są to dobrzy, żarliwi patryjoci. Od czasu aneksji nie byli nigdy w Metz. Lecz nie chcieli sprzedać żadnej ze swoich posiadłości. Zachowali sobie własność na ziemi wydartej Francji, jak gdyby nie wątpili, że kiedyś tam powrócą jak właściciele, po długiej i smutnej nieobecności.

Baradier ma lat pięćdziesiąt pięć, gruby, przysadkowaty, czerwony, z twarzą wesolą, rozjaśnioną, jasnobłękitnymi oczami.

Graff jest wysoki, szczupły, brunet, z twarzą zwiędłą,

długie włosy za uszami, blady, przeciwstawienie zupełne współnika pod względem fizycznym i moralnym.

Baradier bowiem, ze swoją przyjemną fizjognomią jest człowiekiem lubiącym rządzić i praktycznym, podczas kiedy Graff z pozorami chłodu i zamknięcia w sobie, tkliwy jest i poetyczny.

Wybornie wreszcie dobrani; wyobraźnia jednego miarkowana przezornością drugiego, a to co jest ostrego w charakterze pierwszego, zawsze bywa mitygowane życzliwą łagodnością drugiego. W świecie finansowym dobrze znają tę szczęśliwą różność usposobień. I nigdy klient, któremu nie udało się u Baradiera, nie wyszedł z banku, nie wstąpiwszy wpierw do gabinetu Graffa, aby odwołać się do jego pośrednictwa, i nie otrzymawszy: „niech pan to mnie zostawi, już ja to ułożę“, jako pierwszego balsamu na ranę niezadowolenia, po którym następowało po większej części porozumienie korzystne dla stron obydwóch.

Z biegiem czasu bowiem, dwaj szwagrowie doszli do tego, iż ciągnęli korzyści z różnych swoich charakterów, a Baradier przybierał pozory wielkiej surowości, wiedząc doskonale, że Graff znajdzie się zawsze, ażeby mieć przyjemność naprawienia złego.

Tłusty i krotochwilny Baradier ma dwoje dzieci, bardzo dobrze wychowanych przez matkę: syna dwudziestosześcioletniego i córkę ośmnastoletnią. Ponury zaś i sentymentalny Graff, jest starym kawalerem.

Marceli Baradier mawiał wesoło, że będzie to najrozkoszniejszy wuj z sukcesją, jak Francja długa i szeroka.

W rzeczywistości, brat pani Baradier kocha tych dwoje dzieci jak swoje własne i każdym razem kiedy Marceli popełni jakie grube szaleństwo, zawsze zwraca się do wuja Graffa, ażeby tę rzecz załatwił, ojca jego bowiem „trudno było naciągnąć“.

Pomiędzy Baradier ojcem i Baradier synem, na nieszczęście były już nieraz poważne zatargi. Marceli urodzony w zbytku, świadom wartości swego nazwiska na targu finansowym, nie dużo sprawiał zadowolenia rodzinie, a przynajmniej nie tyle ileby sobie taż rodzina życzyła.

„Nie ważnego, jak mówi wuj Graff, sprawy pieniężne!“

Tak to milczący i skromny bankier, nie mający żadnych potrzeb, który nie potrafiłby wydać centima po za swoim budżetem na co innego jak na miłosierne uczynki, nazywa długi, jakie od czasu do czasu płaci za Marceliego.

Kiedy siostrzeniec przyjdzie do niego wieczorem, po obiedzie, zanim wyjedzie do Klubu dróg żelaznych, używać rozkoszy skromnego bakara, wuj Graff wie natychmiast co się święci.

Robi minę jedną z najmelancholijniejszych, zagłębia się w wielkim fotelu, patrzy wzrokiem zamglonym na swojego spadkobiercę nieco znudzonego i głosem grobowym zapytuje:

— Cóż tam znowu?

A podczas kiedy Marceli śpiewa zwykłą piosenkę: Nadzwyczajne nieszczęście na wyścigach, lub prześladowający go los w bakara, jeżeli nie co gorszego: sza-

lone uczucie dla ładnej blondyneczki z „Variétés,” którą gwałtem chce mu wydrzeć bogaty cudzoziemiec, Graff patrzy na syna swojej siostry i nie słuchając ani słowa z tego co młody człowiek opowiada, mówi do siebie w duszy:—

— „Jakiż to śliczny chłopiec! Jakżeby mógł z taką twarzą szaleństw nie robić? Wszędzie jest poszukiwany, dla swego ułożenia i rozumu. Ma zaledwie dwadzieścia sześć lat; kiedyż będzie używał? Czyż to nie jest naturalne, że się bawi? Dla czegoż Baradier i Graff cały dzień w swoim gabinecie sumują całe kolumny liczb, pracują w banku, eskontują, wymieniają i troszczą się o to, co się dzieje na giełdzie londyńskiej, tak samo jak berlińskiej, nie przestając czuwać nad giełdą pańską, jeżeli nie dla tego, żeby ten ładny blondyn, elegancki, dystyngowany, zachwycający, bawił się, miał wszystko na co ma ochotę, podczas kiedy oni pracują? Dalej, mój Marcelku, używaj przyjemności, za twojego wuja, który nie nigdy nie użył i nie potrafił użyć. On jest twoim intendentem, bądź jego panem, wielkim panem. Kochaj ładne dziewczęta, o których ten wuj w głębi duszy ciągle myślał, lecz znalazłszy się wobec nich, czerwienił się zawsze i wstydził. Jedź na wyścigi w pięknym powozie zaprzężonym w dzielne rumaki i rywalizuj z synami rodzin najwyżej postawionych; środki twoje, które są środkami domu Baradier i Graff, pozwalają ci na to... Tylko, nie za bardzo puszczaj się przy zielonym stole, nie zapalaj się przy zakładach na wyścigach, bo to jest brzydka namiętność, szkodząca nawet takim, którzy mogą sobie na nią pozwolić. Co

do reszty, nie żenuj się, mój książę, i dzięki jeszcze tobie, iż robisz przyjemność twojemu wujowi, żądając od niego przysługi“.

Lecz wszystkie te refleksje, które rozpierały mu piersi ukontentowaniem, wuj Graff chował dla siebie. Głośno zaś mówił, z akcentem lotaryńskim, którego nigdy nie mógł się pozbyć.

— Mój Marcelku, jesteś głupi! Dajesz się wyzyskiwać całej zgrai darmozjadów i kobiet z półświatka. Nie tak prowadzi się młody człowiek, kiedy jest synem Baradier i Graffa. Gdyby ojciec dowiedział się o twojem prowadzeniu, wściekałby się, a ty nasłuchałbyś się pięknych rzeczy! Co chcesz żebym odpowiedział, kiedy obwinia mnie, iż zachęcam cię do wybryków? On ma rację, ja nie, dając ci pieniądze, z których taki zły użytek robisz. Czy wiesz ileś dostał odemnie od nowego roku?

A że stary kawaler zrobił ruch jak gdyby chciał szukać w biurku, Marceli zawołał błagalnie:

— Oh! wuju kochany, to już ostatni raz!

— Zawsze ostatni raz! odpowiedział zacny człowiek. A więc... ta mała blondynka taka ładna? Opowiedz mi o niej!

Marceli tedy z uniesieniem zakochanego, rozpałał czułą duszę starego kawalera i kończył na tem, że otrzymał wszystko czego pragnął.

Wuj Graff miał jednak wymówkę. Marceli Baradier, chociaż szalał, nie opuszczał się jednak w pracy. Zdolny nadzwyczajnie, młody człowiek, jakby bawiąc się, posunął bardzo daleko swoje wiadomości. Był to jeden

z tych blondynów odpornych i wytrwałych, jakich wschodnia kraina dostarcza Francji, żeby z nich robić wyborowych żołnierzy i obrońców kraju. Marcelego wojskowość nie pociągała. Oparł się generałowi de Tremont, który chciał go zwrócić do szkoły politechnicznej, a potem pchnąć do artylerji. Marceli wolał szkołę centralną i laboratorium chemiczne generała.

Pod nadzorem przyjaciela swojego ojca, robił zajmujące poszukiwania nad farbami mineralnemi i sprawiał staremu Baradierowi przyjemność, iż tenże mógł mówić: „Mamy dla naszych fabryk farby wynalezione przez mojego syna, jakich nikt nie posiada.“

Był to także najsilniejszy argument wuja Graffa, kiedy potrzebował bronić Marcelego w chwilach stanowczych: „Wiesz sam dobrze, że syn twój jest człowiekiem niepospolitym, a nasze fabryki dużo mu zawdzięczają.“ Na co Baradier odpowiadał ze złością: „Oh! gdyby on chciał być poważnym! Nie na środkach mu zbywa! Lecz on ich nie umie używać! To jest trzpiot, który pracuje przez jeden miesiąc na rok, a przez jedenaście szaleje!“

Jednak od niejakiegoś czasu, zdawało się, że Marceli ustatkował się trochę, lub może absorbowало go doświadczenie, zajmujące go więcej niż zwykle. Wy rzekł się klubu, nie wychodził prawie z domu wieczorami, i gdyby nie to, że w niedziele jeździł jeszcze na wyścigi, możnaby sądzić, iż ustatkował się zupełnie.

Baradier i Graff jednakowo zdziwieni, patrzyli na takie przeobrażenie, ojciec z zajęciem, wuj z niepokojem.

Zwierzyli się przed generałem, a ten im powiedział:

— Chłopek ten jest prawdziwie nadzwyczajny; z nim można się spodziewać ciągłych niespodzianek, lecz nie martwcie się, będzie to człowiek niepospolity. Jakie zdolności! Pracuje w tej chwili nad utrwaleniem fotografii kolorowych. Otrzymał już rezultaty zadziwiające. Pozwólcie mu robić co chce, nie sprzeciwiajcie się... a zobaczycie!

Graff tryumfował głośno, Baradier po cichu.

Co do Marcelego, ten nawet nie widział wzruszenia rodziców. Zniknął prawie zupełnie z Paryża. Od trzech tygodni mieszkał w pobliżu Troyes, w fabryce Ars, zamknięty w laboratorium; przyjeżdżał tylko ucałować matkę i biedz do Vanves dla zdania sprawy generałowi z postępu swojej pracy.

Stary chemik i młody wynalazca spędzali wtedy dnie rozkoszne na sprawdzaniu formuł, na robieniu doświadczeń.

Pierwszy komunikował swoje wyrachowania części składowych prochu, drugi tłumaczył, układanie płyt dla dojścia do klisz doskonałych.

Potem jedli razem śniadanie, a generał mając tak samo gorące serce jak jego młody przyjaciel, opowiadał towarzyszowi badań naukowych dawne swoje miłości, a być może i teraźniejsze, wyciągał z niego zwierzenia, zazdroszcząc młodości, podziwiając siłę, i inteligencję tego pięknego chłopca, stworzonego zarówno do pracy jak do przyjemności.

Życie Baradiera i Graffa, pomimo kilku burz z powodu wybryków Marcelego, byłoby płynęło szczęśliwie,

gdyby przeznaczenie nie postawiło na ich drodze Lichtenbacha.

Elias, syn Mojżesza, głowy tej rodziny, żyda, handlarza starem żelaztwem w Passy-sur-Moselle, był przed laty na pensjonacie w Metz, razem z Graffem.

Ojciec Graff, który był piwowarem, miał interesy z Mojżeszem Lichtenbachem „handlarzem skórkami króliczemi“, jak go ze śmiechem nazywał, i sprzedawał mu wszystko szkło potłuczone, wszystkie beczki w złym stanie.

Na ulicach Metz można było spotkać Mojżesza Lichtenbacha, prowadzącego za uzdę konia zaprzęzonego do wózka, w którym handlarz żelaztwem gromadził towar najrozmaitszy, lecz wszystko to były rzeczy zużyte.

Mojżesz był rodzajem gałganiarza hurtownika, zabierał on bowiem wszelkie naczynia i narzędzia niezdatne. Kupował tanio, lecz nie brał nic darmo. A kiedy prawie ze wstydem patrzono jak wynosił stare rury przepalone, imbryki popękane, łopaty połamane, nawet starą słomę lub wióry od opakowań, mówiono do niego: Ojciez Mojżeszu, przyjmij to za fatywę. Mojżesz zaś odpowiadał: Nie! nie! wszystko ma swoją wartość... Mało płacę, ale płacę!

Był to jego punkt honoru płacić za wszystko.

Dużo ludzi wzruszało ramionami, i śmiejąc się z niego mówili: Stary warjat! Co on może zrobić z temi gratami?

Nie mieli słuszności.

Wszystko ma wartość, jak zapewniał Mojżesz, i dał tego dowód, kiedy po wojnie opuścił Metz i zamieszkał

w Paryżu przy ulicy Chaussée-d'Antin, w małym sklepiku z szyldem po nad drzwiami: Lichtenbach, kantor wymiany pieniędzy.

W tym to skromnym kantorze, handlarz żelaztwarem w Passy, opuściwszy Lotaryngję, która stała się krajem cesarstwa niemieckiego, założył swój nowy handel, zaprzestał kupować i sprzedawać żelazto, żeby kupować i sprzedawać pieniądze.

Lecz poważne wypadki przyczyniły się niemało do przeniesienia rodziny Lichtenbach z Passy do Paryża i do zmiany handlu starego Mojżesza.

Pierwsze strzały armatnie dane w Forbach, były hasłem ucieczki dla większej części mieszkańców miast pogranicznych.

Fermierzy tylko i chłopci przywiązani do ziemi, pozostali na wsiach.

Wszyscy, którzy mieli swobodę działania, popakowali rzeczy swoje na wozy i udali się do dużych miast, ażeby uchronić się przed wrogiem, którego pochód znaczyły klęski i porażki francuzów.

Drogi, prowadzące z Thionville, Metz, Verdun pokrywały wozy i stada bydła.

Największa część uciekających dążyła do środka kraju, oddalała się forsownym pochodem od najazdu, który, miano pewną nadzieję, powinien się zatrzymać, dotarłszy do fortec.

Przeciwnie ogólnemu prądowi, Mojżesz, zdecydowany opuścić Passy, nie skierował się ku środkowi Francji.

Zamiast oddalić się od najeźdźcy, szedł ku niemu.

i pozostawiwszy wszystko co było bez wartości w swoich składach, przybył do Metz z sześcioma furgonami starannie zamkniętymi i zainstalował się w małej uliczce w pobliżu katedry, z żoną i z synem Eliaszem.

Mojżesza przyjęto sympatycznie.

Znali go wszyscy, kiedy jeździł starym wózkiem po mieście.

Mówiono żartując:

„Ojciec Mojżesz dowcipny. Jeżeli Metz będzie oblężony, będzie kupował skorupy od bomb niemieckich na stare żelaztwo i dalej poprowadzi „sвій mały handel“.

Lecz mylili się ci, co tak mówili.

Nie o stare żelaztwo szło teraz Lichtenbachowi.

Odgadł on, że silna forteca oblężona, będzie się bronić energicznie, że żywności zabraknie niedługo dla ludności cywilnej, i że ten, który w danej chwili będzie rozporządzał artykułami żywności zbytkownej, sprzedając je drogo, wielki otrzyma zarobek.

Wprowadził tedy do miasta sześć pełnych furgonów, i schował starannie w piwnicy swojej wódkę, kawę, cukier, szynki i dziesięć wielkich beczek soli.

Użył część gotówki na kupienie tych prowiantów i czekał na wypadki.

Przez ten czas wszystka młodzież lotaryńska wychodziła w pole.

Chłopcy nieletni, których nie zaciągano do armii i do oddziałów ruchomych, sami szli walczyć z zaborcą.

Stara krew rycerska kipiała w sercach francuzów, i syn Graffa powracał pewnego dnia z merostwa z kokardą przy kapeluszu, kiedy spotkał na placu Eliasza

Lichtenbacha, który spacerował z fajeczką w ustach.

Od dawnych lat, podczas kiedy ojciec Mojżesz stał z wózkiem przed drzwiami domu Graffa i ładował żalaztwa, lub kupował skórki zajęcze, dwaj mali chłopcy bawili się z sobą.

Mały Antos prowadził małego Eliasza do ogrodu, i obydwaj, ku wielkiemu niezadowoleniu pani Graff, ogoławali szpalery obciążone niedojrzałymi winogronami.

Grywali często w bilard, a Eliaszowi, choć używał wszelkich sposobów, nie udało się jednak zamienić swoich kul szklanych na agatowe kule Antosia.

Było to jedyne dziecko w mieście, którego nie potrafił wyzyskać.

Pewnego dnia nawet, Antos dowcipniejszy, winował w Eliasza starą szablę złamaną, w zamian za nową tabliczkę z marmuru.

A Mojżesz musiał przyznać ze wstydem, że syn Graffa oszukał syna Lichtenbacha.

Co prawda, że tego dnia Katarzyna Graff była obecna zabawom i że, dla olśnienia siostry swego towarzysza Eliasza chciał się pokazać niezwykle hojnym.

Dziewczynka ta miała już wtedy dar wprowadzania w pomieszenie małego chłopca.

Zobaczywszy przechodzącego dawnego towarzysza zabaw, dumnego z postanowienia walczenia za kraj, Eliasz zaczął go:

— Gdzie idziesz z taką paradą, Antoni?

— Połączyć się w Chalons z 27 liniowym...

— Jako? zaciągnąłeś się do wojska?

— Tak: jak wszyscy chłopcy w moim wieku. Czy ty nie zrobisz tak samo?

— Nie wiem, ojciec nie mi jeszcze nie kazał...

— Czyż powinienes słuchać rozkazu ojca, żeby spełnić powinność?

Eliasz podrapał się w głowę; na twarzy jego wybiła się niepewność i zaambarasowanie.

— Bo widzisz, ojcule jestem potrzebny do pomocy w handlu.

— Francja także ciebie potrzebuje, i gwałtowniej niż ojciec.

— Mam dopiero lat dziewiętnaście.

— A ja nie mam dwudziestu.

— Tak; masz rację; pójde pomówić z ojcem.

— Żegnam cię, jeżeli się już nie zobaczymy.

— Życzę ci szczęścia.

Eliasz wzruszony jak nigdy, powrócił do sklepu rodzicielskiego, i zastał starego Mojżesza w piwnicy, w trakcie nalewania wódek w butelki.

Zapomniał stary przez nieuwagę czwartej części wody w każdym litrze, po umyciu go starannem. Może to był jedyny powód, że sam mył butelki?

Ojciec przyjął Eliasza z widocznem zadowoleniem, napełnił kubek i podał swemu jedynakowi.

— Spróbuj tego koniaku, przyjemny jest do picia! Litro sprzedaje się za dwanaście franków, jak nie... My tylko, chłopcze, będziemy go pili darmo!

— Ty może, ojczule, rzekł Eliasz ze wzruszeniem, ty będziesz pił, lecz ja...

— A gdzież ty będziesz, jeżeli łaska?

— Tam gdzie wszyscy młodzi chłopcy z miasta: przy armii!

— Przy armii, ty, Eliaszu? Co tam będziesz robił?

— Będę się bił jak drudzy.

Ojciec Mojżesz przy świetle zapalonej świecy spojrział na syna z przerażeniem.

Nie wierzył własnym uszom.

— Bić się? Z jakiego powodu? zapytał.

— Żeby bronić kraju...

— Jakiego kraju?

— Ależ Francji, gdzie żyłem, wychowałem się, której językiem mówię, gdzie są nasi klienci, wszyscy moi przyjaciele.

Ojciec Lichtenbach pokiwał głową i milczał chwilę. Następnie rzekł głosem stanowczym:

— Mój chłopcze, prowadzimy handel w tym kraju, ale w nim się nie urodziłeś. Byłem w Szwajcarji z twoją matką, w Genewie, kiedyś ty przyszedł na świat. Ja jestem rodem z Hanoweru, a twoja matka z Baden. Nie figurujesz na żadnej liście urzędowej, i wolno ci robić co ci się żywnie podoba. Jesteśmy Niemcy urodzeniem, Francuzi przyzwyczajeniami i stosunkami codziennymi, nie należymy ani do jednego ani do drugiego stronnictwa. A co najlepszego mamy do zrobienia, to jest nie mieszać się do kłótni. Co na tem zarobimy? Ty, rany, my, zmartwienie. A co świata z tego przybędzie, jak Elias Lichtenbach da się zabić w mundurze żołnierskim, a stary Mojżesz umrze samotny? Czy wiadomo dla czego ci ludzie się zarzynają? Czy oni sami nawet o tem wiedzą? Pokłócili się jak pijaki

przy wyjściu z piwiarni, kiedy mają za dużo w głowie, i rzucają się na siebie. Co Niemcy ci zawinili, że chcesz przeciwko nim walczyć? A co ci z tego przyjdzie, że będziesz bronił Francuzów?

— Ależ, ojcze, wszyscy młodzi tam idą. Antoniego Graffa spotkałem, idzie także...

— Głupiec!

— A syn rabina Zacharjasza też wychodzi.

— Daj mu Boże szczęście!

— Jutro w mieście pozostaną tylko kaleki a mnie palcami będą wskazywali.

Stary Mojżesz westchnął.

— Tak, ty posiadasz miłość własną i wychowałeś się w szkołach francuzkich, a tam opowiadają wielkie historie o honorze. Wszystko to, Eliaszu, zapamiętaj sobie na całe życie: wszystko to blaga! Honor, to jest płacić za to, co się kupuje, i nie spóźniać się z wykupieniem weksli. Po za tem, wszystko fałsz... wierz twojemu ojcu. Legendy patriotyczne wymyślono tylko dla tego, żeby ludzi prowadzić na rzeź śpiewając Marsyljanke. Są w nich tylko słowa pięknie brzmiące, którymi oszukuje się ludzkość, w interesie panujących lub rządów. Nie trzeba dać się brać na te fajerwerki... Bo się zostanie oszukanym. A potem, żaden z dowcipniejszych, którzy popchnęli drugich naprzód, a sami starannie się ukryli, nie znajdzie słowa pożałowania dla ciebie. Widziałem dużo świata, znam życie. Strzeż się entuzjazmu. To jest rzecz najniebezpieczniejsza i najfałszywsza na naszej ziemi.

Zrobiła się cisza w piwnicy ciemnej, tylko twarze

dwóch ludzi oblewało czerwone światło drżącego płomienia świecy. Szelest wódki spadającej kroplami z dużego lejka w beczkę, jedynie było słyhać. W chłodnym cieniu jaki go objął, Eliasza czuł stygnący zapach z którym przyszedł do ojca. Stary Mojżesz po chwili mówił dalej:

— Wreszcie pojmuję, że przykro ci będzie zostać tu samemu, kiedy wszyscy twoi znajomi odchodzą. Ty także pójdziesz... Lecz ty masz co innego do roboty, niż nadstawiać głowę, lub osłaniać głowy innych. Dużo można zarobić na dostawach. W niedługim czasie cała Alzacja i Lotaryngia będą zajęte. Armiom trudno będzie o żywność... Armiom francuzkim, ma się rozumieć, niemcom bowiem, jako zwycięzcom, niczego nie zabraknie. Trzeba zająć się nagromadzeniem żywności od strony Chalons, ku Paryżowi. Nie jesteś pełnoletni, przeto nie masz dla nikogo obowiązków, a wreszcie usługi, jakie możesz oddać, w stokroć razy przewyższają usługi tych głupców, którzy pójdą z bronią na ramieniu. Chcę ci dowieść zaufania i dać możność pokazania czego wart jesteś. Chodź tu poświęć mi...

Mojżesz poszedł w kąt piwnicy. Odsunął dwie beczki, wykopał łopatą dziurę w ziemi i odkrył szkatułkę żelazem okutą. Uniósł ją z trudnością; wziął z kieszeni pęk kluczy, otworzył zamek i pokazał synowi wewnątrz pełne rulonów starannie ułożonych. Rozdarł papier na jednym i wysypał zawartość w rękę syna. Były to same dwudziestofrankówki.

— Jest tu, rzekł Mojżesz, czterdzieści tysięcy franków w złocie. Tyś silny, zaniesiesz tę szkatulę. Jutro

rano pojedziesz koleją do Troyes. Złożysz twój kapitał u Baradiera, bankiera, i nie przyjmiesz ani papierów bankowych, ani przekazów w zamian. Nie długo złoto pójdzie w górę, będziesz miał agio. Za kapitał jaki dajesz ci do dyspozycji, nakupuj baranów i wołów, i zrób układ z intendenturą o dostawę mięsa. W zamieszaniu najścia prusaków kultura upadnie, i wtedy bydło będą sprzedawać ze stratą sześćdziesiąt procent. W kłopotach w jakim armia znajdzie się w braku żywności, dostawcy odprzedawać będą z korzyścią sto procent. Rozumiesz ten interes? Idź i rób podług tych danych... a zrobisz więcej przyczyniając się do żywienia wojska, niż gdybyś się włóczył z kąta w kąt w czerwonych pantalonach, pod rozkazami głupiego kaprała. Ty także pojedziesz bronić twojego kraju. A nie zapomnij iść dziś wieczór do piwiarni i krzyczeć o tem głośno.

— A jak kto zapyta, w którym korpusie będę służył, co odpowiedzieć?

— Powiesz: Udaję się do Rhetel. Tam mną rozporządza.

— Dobrze, ojcze.

— Weź szkatułę za jedno ucho, przeniesiemy ją do sklepu.

— Zostaw mnie to, ojcze.

Eliasz uchwycił obydwoma rękami ciężką szkatułę, pełną złota, zarzucił na szerokie ramiona, i poprzędany przez Mojżesza, ze świecą, niósł, nie ugiąwszy się nawet, cały majątek ojcowski.

Podwójna kombinacja starego Lichtenbacha nie zawiodła, jak wszystkie pomysły proste.

W Metz obleżonem i zapchanem wojskiem, artykuły żywności podniosły się w cenie.

Sól Mojżesza przeszła w cenie cukier.

Brak soli sprawiał straszne cierpienia żołnierzom, jedzącym z obrzydzeniem końskie mięso.

Wódka należycie ochrzczona, stanowiła także dobry przychód.

Lecz zyski ojca Mojżesza nie pocieszały go w braku wiadomości od jedynaka.

Ostatni list Eliasza datowany w dzień bitwy pod Borny, donosił o przybyciu młodego człowieka do Paryża.

Pozostawił on trzydzieści tysięcy franków w banku Baradiera w Troyes i wybierał się do Orleanu, nie czując się bezpiecznym w Paryżu, który niezawodnie będzie obleżony.

Wprowadził do miasta pięć tysięcy baranów. Lecz nie zamierzał prowadzić dalej interesów z rządem, który był „zanadto ścisły i we wszystko wglądający.”

Począwszy od tego, 14-go sierpnia, ani słowa więcej.

I podczas nocy bezsennych słuchając huku armat z Saint-Julien lub z Plappeville, które grzmiały w długich odstępach, myślał z goryczą, że syn jego bardzo młody, bardzo niedoświadczony, że może dać się okraść, i że suma, jaką mu powierzył, przedstawiała dwadzieścia lat włóczęgi po drogach Lotaryngii, przy wózku i siwym koniu, dla skupywania starego żelaztwa na prowincji.

Miał jednak jedną pociechę, myśląc, że jego Eliasz nie należał do strasznych i krwawych zapasów, o któ-

rych bolesne i rozpaczliwe wieści dochodziły po przez przednie straże do miasta oblężonego.

Patrzył na sąsiadów, na swoich klientów, chodzących z głowami w dół spuszczone, zapytujących się wzajemnie z niepokojem:

— Jakie wiadomości? Dowiedziałeś się czego o twoim synu? Gdzie on teraz? Żeby tylko wszysej nasi chłopcy nie wyginęli!

On, Mojżesz, mógł przynajmniej odpowiedzieć: nie wiem; będąc prawie spokojnym.

Lecz inni?

Przedewszystkiem serce krajało się patrząc na starego Graffa.

Myślano, że dostanie oblędu.

Pewnego wieczora chodził po mieście z gołą głową, podczas mroźnego powietrza, mówiąc wszystkim napotkanym: „Jeżeli Antoni nie powróci, to ja go na śmierć skazałem! Potrzebnie wysyłałem syna na wojnę! Nie miał lat jeszcze. Powinien być tu, przy mnie. Przez cały ten czas bili się dokoła Paryża. Mam przecucie, że syn mój nie żyje!”

I płakał gorącemi łzami.

Musiano go gwałtem odprowadzić do domu, gdzie mała Katarzyna, przerażona, chowała się za matkę.

Mojżesz winszował sobie w duszy roztropnego postanowienia ze swoim Eliaszem i wysilał się, żeby jeździć z drugimi nad niebezpieczeństwem na jakie narażona była ta dzielna i waleczna młodzież, oddana na obronę ojczyzny.

Jednego wieczora, wracając do domów, mieszkańcy

dzielnicy katedralnej zastali wozy ambulansowe w ulicach i infirmierów, rozmieszczających rannych w domach prywatnych.

W szpitalach zabrakło już łóżek.

Wszystkie mieszkania puste zostały już zabrane, obecnie władze wojskowe zwracały się do patriotyzmu mieszkańców dla umieszczania ofiar ostatniej potyczki.

Do Mojżesza przyniesiono kapitana wołytyżerów gwardji, a Graff przyjął kapitana artylerji, pana de Tremont. Sprowadzając swoją baterję ze wzgórz Servigny, młody oficer dostał kulą w udo.

Troska o zdrowie rannego, lekarstwa podawane mu, robiły dywersję w nieustannym niepokoju ojca Antoniego.

Patrząc na tego pięknego chłopca, który walczył bohatersko i który przy usilnych staraniach przychodził do zdrowia w jego domu, Graffowi zaczęła powracać nadzieja. Mówił sobie: Dla czegożby mój syn, jeżeli jest ranny, nie miał być tak szczęśliwy jak kapitan de Tremont? Dostawiono go z bardzo daleka, z postrzałem w udzie, a za sześć tygodni będzie już zdrów. Nie wszyscy, których kula trafi na wojnie, umierają.

— Antoni powróci, czuję to teraz.

I nabierał odwagi do życia, odżywała w nim nadzieja.

Kapitan, przy pomocy Graffa i jego żony, zaczynał wstawać z łóżka, a po obiedzie, wieczorem, opowiadał o swoich wyprawach w Algierze i Meksyku.

Tłumaczył swoim gospodarzom dla czego po stronie Francji była przegrana w tej nieszczęsnej kam-

panji, przypisując przewagę Niemców, ich organizacji znakomitej i doskonałości materiałów wojennych.

— Cała przyszłość wojny, mówił, leży w narzędziach. Zwyciężają nas armaty nabijane z tyłu, które od pierwszej potyczki okazały swoją wyższość nad naszymi, z lufami karbowanymi w środku. Wrażenie moralne, odniesione przez wojska, było stanowcze. Pierwsza rzecz do zrobienia po wojnie, będzie konstrukcja armat nowego modelu. Kwestja prochu będzie także konieczna. Oto jaki powinien być nasz cel, cel artylerzystów.

Tłumaczył niesłuchanie jasno, jakie nowoczesna chemia przedstawiała pierwiastki dla kombinacji uczonych, które powinny dać zwycięstwo temu z przeciwników, co będzie pewny naukowo, że po jego stronie jest „rzeź“ i „śmierć“ niechybna.

I w ciszy nocnej wielkiej fortecy, oblężonej przez nieprzyjaciela zwycięzkiego, już zwyciężeni zajmowali się przygotowaniem odwetu.

Oblężenie skończyło się, a wszyscy waleczni żołnierze, którzy broniliby Metz, do ostatniej kropli krwi, zostali wydani żywi w ręce wroga.

Sztandary przez głód zdobyte, poszły tworzyć trofea zwycięstwa w Niemczech.

Paryż upadł z kolei... potem ostatnie armie Francji, odepchnięte po przez śniegi zakrwawione, wyczerpane wojną, znużone śmiertelnie, rzuciły broń na głos kraju. I z tego wielkiego pola bitwy, wielkiego na dwieście mil kwadratowych, okrzyk tryumfu zwycięzców mieszał się z okrzykiem rozpaczyny zwyciężonych.

Powoli nadchodziły wieści, żałobne dla jednych, radosne dla drugich.

Dużo zabitych z pomiędzy walecznych chłopców, którzy wyszli z zapalem i dumą, dużo jeńców wyblądłych i smutnych, rannych cierpiących i wyczerpanych.

Graff jednego rana pił kawę w sali jadalnej z rodziną i kapitanem de Tremont, który został na rekonwalescencję w Metz, kiedy drzwi wchodowe otworzyły się po zadzwonieniu, potem szybki krok rozległ się na schodach, a ojciec, matka i mała Katarzyna spojrzeli po sobie błędnie nagle.

Nie przemówili ani słowa, słuchając tego biegu po schodach, jak gdyby radosnego. Jedną myśl wszyscy mieli: ten co tak biegnie do nas, nie pyta o nic nikogo, wchodzi jak pan tego domu, i przeskakuje po cztery stopnie znanych widać schodów, to jest Antoni!

Nie mieli czasu myśleć więcej, drzwi się otworzyły, duży mężczyzna, zarośnięty, czarny, chudy, straszny, którego nie poznali, lecz po którego policzkach łzy się toczyły, stanął przed nimi.

— Ojcie! Katarzyno! Mamo!

Graffowie podnieśli się bezprzytomni z radości, głos bowiem nie mógł ich zawieść, i dziecko oplakiwane, oczekiwane, zostało pochwycone, całowane, pieszczone wśród wykrzykników, zapytań rodziców, służących, i kapitana uśmiechniętego na widok tego powitania rodziny.

Antoni w końcu wyrwał się z uścisków, i pierwsze słowa jakie wymówił:

— Boże mój! jaki ja głodny!

I, wzrokiem zgłodniałego rozbitka patrzył na kawę z mlekiem i na bułki.

Posadzono go zaraz, podsuwano, zmuszano do jedzenia, tak, aż w końcu musiał prosić żeby mu dano spokój.

Wtedy zaczęły się opowiadania, przerywane zapytaniami: Co się stało z tym? A tamten czy żyje? i o zabitych i o rannych, i o tych co zginęli bez wieści!

On, Antoni, walczył najpierw pod Sedanem, uszedł szczęśliwie przez Mezieres, dostał się na Północ, gdzie z generałem Faidherbe odbył całą kampanię.

Od trzech miesięcy nie spał w łóżku.

Lecz bił się w Pont-Noyelles, w Bapaume i w Saint-Quentin. Był o tyle szczęśliwy, że wyszedł cało i powracał starszym sierżantem, lecz zniechęconym do stanu wojskowego na całe życie.

Ojciec powiedział mu:

— Ta sprawa skończona... Nigdy już jej nie rozpoczniesz! Nieszczęśliwy nasz kraj w niwecz obrócony, dwadzieścia lat będzie trzeba żeby wszystko do porządku przyprowadzić. Ah! mój biedny Antosiu, jak ja źle sypiałem przez te sześć miesięcy! Mogę powiedzieć, że jednej godziny nie miałem spokojnej odkąd ty wyszedłeś. Lecz powróciłeś! Wszystko zapomniane!

I znów zaczęły się opowiadania.

Kapitan de Tremont wypytywał młodego żołnierza o epizody kampanii na Północy, Antoni zaś nie mógł się nachwalić cnót pełnego spokoju i niezmordowanego Faidherba, odwagi swoich kolegów, i usług oddanych przez jednego ochotnika, jak on, Franciszka Baradier,

syna bankiera z Troyes, który mu życie ocalił, i wyrwawszy go z rąk prusaków z pod komendy Manteufla, wieczorem w Bapaume, w fermie, podpalonej bombą, gdzie był osaczony z dwunastoma kolegami.

— Przyjedzie do was, przyrzekł mi, i sami ocenicie tego miłego i dzielnego chłopca.

— Ocalił życie mojemu synowi! Niech przybywa, przyjmijmy go jak należy! Lecz pozwól, niech ci się przypatrzę. Moje drogie dziecko! Ktoby cię był poznał! Wyglądasz jak zbójca! Mógłbym cię spotkać: przeląkłbym się tylko!

Przez cały dzień była u Graffów procesja krewnych i przyjaciół, winszujących rodzicom, podziwiających powróconego, słuchających po raz setny epizodu z Bapaume, a piwo i kirsch podnosiły rozrzewnienie do szczytu.

Nazajutrz inne wzruszenie w mieście.

Elias Lichtenbach przybył kabrioletem, zaprzężonym w dużego konia, Eliasz tłusty, świeży, z miną uroczystą, i po przywitaniu z rodziną, zaczął zaraz narady, w komendanturze z władzami pruskimi.

Rozeszła się szybko pogłoska, że syn Lichtenbacha poleconą miał misję przez rząd z Bordeaux i że podczas wojny stał się osobistością wpływową.

W rzeczywistości szło o kwestję zasilania armji żywnością przez granice Wschodnie.

A delegat wojskowy, który miał sposobność ocenić usługi, oddane przez Eliasza, jego zręczność jako pośrednika i spryt wśród tylu trudności, wysłał swego agenta do głównej kwatery nieprzyjacielskiej

Przybył tedy z instrukcjami, dumny swoim znaczeniem, i patrzył z góry na współziomków, zbiedzonych prywacjami, lecz wściekłych z powodu przegranej.

Po pierwszych dniach zdziwienia, ciekawość wzięła górę.

Zkąd wraca ten Elias, taki świeży, różowy? On jeden z tych, którzy wyszli jednocześnie, zjawił się tłusty i wesół.

Inni byli wynędzniali i ze spojrzeniem dzikiem prawie.

Lecz na zapytania w tym względzie, przedstawiciele rządu odpowiadali ostrożnie, że pan Lichtenbach oddał krajowi znakomite usługi, i że delegat wojskowy protegował go z życzliwością, pełną szacunku.

Jakie usługi?

Dopiero Baradier, syn, który przyjechał do Metz odwiedzić Antoniego i jego rodziców, zaczął rzucać nieco światła na ciemne czyny dumnego Eliasza.

Sierżant Baradier, rudawy, opalony, krwisty, z oczami niebieskimi, był o tyle silnego charakteru o ile Antoni był słodki i łagodny.

Podobał się ze swej otwartości, i odrazu był jak u siebie, w domu zacnej rodziny.

Nie upłynęło dwadzieścia cztery godzin, kiedy był już za pan brat z kapitanem de Tremont i kiedy zgromadził koło siebie wszystkich ochotników w Metz, na bankiecie, na cześć ich powrotu.

Elias zę spokojną beczelnością podpisał się jak wszyscy koledzy, i poszedł na ten bankiet do hotelu „Pod Niedźwiedziem“.

Lecz przyjęcia doznał chłodnego.

Wszyscy którzy tam byli obecni, chociaż po cywilnemu, gdyż władza pruska zabroniła mundurów, wiedzieli z kąd przybywali, gdzie służyli i w jakich bitwach odnieśli rany.

Jeden tylko Eliasz płatał się w opowiadaniach niejasnych.

Słuchając go, musiał być wszędzie: z armią generała Chanzy, z armią generała Bourbaki, w obozie w Conlie, przy Garibaldim.

Taki dar bycia naraz wszędzie, zadziwiał.

Lecz sierżant Baradier podjął się dostarczyć lepszych wyjaśnień, niż wszystkie te, jakich Eliasz udzielał.

— Czy pan nie jesteś tym Lichtenbachem, który miał interesy z domem bankowym Baradier w Troyes? zapytał bez żadnych ogródek syna starego Mojżesza. Czy to nie pan skupowałeś i zgromadzałeś barany w Ardenach i przeprowadzałeś przez Belgię do Francji?

— Tak, to ja, rzekł Eliasz ostrożnie.

— Aha! więc nie dziwnego, żeś pan był wszędzie potrosze podczas wojny, ponieważ skupowałeś mięso na rachunek intendenty.

A że Eliasz mieszał się i bladł:

— Uważaj pan, iż nie czynię ci z tego zarzutu, tylko stwierdzam fakt. Ci panowie, zdawało się, że nie rozumieli przed chwilą pana roli. Ja im ją tłumaczę. Pan Lichtenbach jest patryotą na swój sposób. Zamiast się bić, zajmował się żywieniem walczących. Jest to urząd pożyteczny, jeżeli nie chwalebny.

— Ja także przecie ryzykowałem głowę, tak samo

jak inni! zawołał Elias, czerwony ze złości. Gdybym się był dostał w ręce Niemców, byłiby mnie rozstrzelali!

— Dziwnem jest nawet bardzo, że pozwolili panu tak swobodnie cyrkulować, po przez swoje linje bojowe, gdyż oni wcale ufnością nie grzeszą. A ułatwienia, jakie pan znalazł z ich strony, mogłyby nawet co najmniej dziwnemi się wydawać.

— Co pan chce powiedzieć? ryknął Elias.

— Tylko to, co mówię, odparł Baradier chłodno. Lecz jeżeli pan chce żebym cokolwiek dodał, zrobię uwagę, że być bezpiecznym podczas gdy inni walczą, nie odmawiać sobie niczego, być w cieple, kiedy koledzy mrą z zimna i nędzy, widzieć w nieszczęściach kraju tylko sposobność zrobienia majątku, to nie jest tem, co można nazwać szczerem bohaterstwa!

— Pan mi ubliża!

— Gotów jestem służyć panu w każdej chwili!

— Dobrze! Będziesz pan miał zemną do czynienia!

— Nie krzycz, mój panie. Mnie łatwo znaleźć. Mieszkam u pana Graffa, a jestem synem pana Baradier, pańskiego bankiera z Troyes, a teraz dosyć w tym przedmiocie.

W tej chwili Elias znalazł się odosobniony i widział plecy kolegów jedynie. Spojrzał na swego przeciwnika złym wzrokiem i wyszedł. Po za sobą usłyszał Graffa mówiącego głośno:

— Teraz, kiedy jesteśmy sami dobrzy patrjoci: Za zdrowie Francji!

Nazajutrz Baradier z kapitanem de Tremont i przy-

jacielem swoim Graffem czekali niecierpliwie, żeby Lichtenbach się odezwał.

Nikt nie przyszedł.

Przezorny Eliasz zdawał się zdecydowany, skoro uniknął strzałów podczas wojny, nie narażać się na dostanie takowych podczas pokoju.

Lecz, jak gdyby trafem, pan Baradier w Troyes otrzymał do swego domu dodatek dwudziestu huzarów heskich do umieszczenia i żywienia, a ojciec Graff był wzywany trzy razy w przeciągu jednego tygodnia do komendantury, dla tłumaczenia się, ponieważ były na niego denuncjacje, że obelżywie odzywał się o armii niemieckiej.

W końcu Baradier dostał rozkaz opuszczenia Metz w przeciągu dwunastu godzin.

Być może, traf tylko był przyczyną powiększenia ciężaru kwaterunku u bankiera w Troyes, a rozkaz wypędzenia młodego Baradier z Metz mógł być następstwem bankietu, na którym głowy nad miarę się rozgrzały.

Lecz ojciec Graff pozostał w przekonaniu, że syn jego sąsiada Lichtenbacha był agentem rządu nieprzyjacielskiego i że ten gruby łotr zadenuncjował go po prostu.

Jednak Eliasz z niezwykłym uszanowaniem zdejmował przed nim kapelusz na ulicy, i nie było grzeczności z jakąby nie wybiegał do Antoniego.

Łagodny i małomówny syn starego Graffa unikał o ile mógł dawnego kolegi. Nie zrywał głośno, gdyż natura jego nie znosiła gwałtów. Lecz zaledwie parę

słów z nim zamieniał, kiedy już nie mógł go ominąć i unikał wchodzenia z Eliaszem w jakiegokolwiek interesy.

Dom handlowy Graffa miał składy wełny w wielkich ilościach i sprzedawał przędzalniom w Szampanii i w Ardenach. Baradierowie, którzy kupili fabrykę w Ars, byli najznacześniejszymi ich odbiorcami.

Eliasznów prowadząc dalej handel ojca na wielką skalę, kupował i sprzedawał wszystko co nadawało się do tranzakcji, i robił często Graffiom oferty wełny z Niemiec.

Lecz nigdy takowe nie zostały przyjęte.

Pomimo tak widocznej złej woli, Eliasznów się nie zrażał i z wytrwałością, która jest jedną z cnót jego rasy, odwiedzał perjodycznie Graffa i jego syna, starając się zawiązać stosunek handlowy.

I stało się, że po dwóch latach spędzonych przez pannę Graff na jednej z najlepszych pensji w Nancy, pewnego pięknego poranku, Eliasznów znalazł się naprzeciw niej w ogrodzie podczas gdy czekał na Antoniego.

Stał olśniony, osłupiały... Dziecko przemieniło się w młodą dziewczynę, dużą, wysmukłą i zachwycającą, z czarnymi oczami, wielkimi blond włosami i płcią olśniewającą.

Powróciwszy do ojca, opowiedział swoje spotkanie i w bujnym stylu biblijnym, odmalował młodą dziewczynę jak Rebeke ukazującą się Jakóbowi.

Nie ukrywał przed ojcem, że odrazu na śmierć się zakochał, i że gdyby trzeba było, jak ów pasterz u Labana, służyć u Graffa aby zostać jego zięciem, zdecydowałby się na to przez miłość dla pięknej Elizy.

Stary Mojżesz zrobił uwagę synowi, że jako żyd niema najmniejszej szansy zostania zięciem Graffa chrześcianina, pominąwszy już uprzedzenia, jakie mieli do niego od czasu wypadków wojny.

Lecz Eliasz odpowiedział, że religja przodków nie przyrosła do niego i że nie umrze jeżeli się jej wyrzeknie. Że przez nawrócenie zasłuży się religji katolickiej. Co się zaś tyczy handlu, prowadzonego podczas kampanji, żeby wybrali chwilę do robienia mu z tego zarzutu wtedy, kiedy Metz stało się krajem cesarstwa Niemieckiego.

W dodatku zarobił dosyć pieniędzy swoją obrotnością, ażeby drożyli się i że chłopiec dwudziesto-dwu letni, który położy na stół czterysta tysięcy franków w dniu podpisywania umowy ślubnej, nie jest pretendentem, któremu bez namysłu córki się odmawia.

Mojżesz, który trzeźwo na wszystko patrzył, przepowiedział synowi, że zaczyna niekorzystny interes. Nie odradzał mu zmiany religji, ponieważ zdawało mu się to użytecznem. Lecz zaręczał, że nie dostanie panny Graff ani jako chrześcianin, ani jako żyd, a tylko pozostanie mu wstyd za apostazję.

Nie nie pomogło. Eliasz miał wolę żelazną.

Zadziwił arcybiskupstwo swoim postanowieniem, zbudował pobożnością, zjednał hojnością.

Gdyby Eliasz był mniej znany, mógłby się stać popularnym.

Lecz pomimo wszystko, dostał głośną odmowę od Graffów, i dla zaakcentowania afrontu, jaki mu zrobiono,

niedługo potem piękna Eliza poślubiła dawnego sierżanta, Baradier.

Jednocześnie rozeszła się pogłoska, że rodzina Graffów opuszcza Metz. Antoni wyniósł się za swoim szwagrem do Paryża i razem z nim wstąpił do domu bankowego Baradier ojca.

Tego było za dużo dla Eliasza.

Stracił sen, kwitnąca twarz wybladła, a kiedy spotkał Graffów, udających się na dworzec kolei, odprowadzanych przez wszystkich przyjaciół, powrócił do ojca, wszedł do pokoju za sklepem i zemdlął.

Stary Mojżesz przerażony, położył syna do łóżka, przyzywał doktora i dowiedział się z rozpaczą, że nowonawrócony był na progu śmierci.

Straszna maligna nim zawładnęła, podczas której rozmawiał z imaginacyjnymi kupcami, interesantami, o bajecznych tranzakcjach, w których przesuwali się szalone dostawy jakich podejmował się podczas wojny.

Mojżesz słuchał z osłupieniem syna, nakładającego ceny na mięso, mąkę, trzewiki, sukna, naboje, cygara, cukier, a wszystko przeplatane łapówkami, które dawały ciekawy pogląd na szachrajstwa, w jakie mieszał się agent obrony narodowej.

Elias odzyskiwał chwilową przytomność na to tylko, żeby złorzeczyć i grozić Baradierom i Graffom.

Uspokajał się tylko wtedy, jak ojciec mówił mu z przekonaniem :

— Tak, Eliaszu, zemścisz się na tych łotrach! Zrujnujesz ich, zmiażdżysz!

Wtedy uśmiech szczęścia ukazywał się na ustach chorego, spał parę godzin i budził się zdrowszy.

Jeżeli Eliasz nie umarł, to można zaręczyć, że chęć zemsty go ocaliła.

Zamiary odwetu nawiedzały ten mózg rozpalony gorączką, a kiedy doktor oświadczył wreszcie, że młody człowiek wstępuje w rekonwalescencję, pierwsze słowa Eliasza były: Tem lepiej!

„Baradier ojciec i syn, i rodzina Graffów zanadto byliby szczęśliwi, gdybym umarł!

Baradier i Graff, prawdę powiedziawszy, nie zaprzatali sobie głowy Eliaszem, ani jego urazami.

Objęli kierunek domu bankowego i prowadzili ze znajomością rzeczy biuro swoje przy ulicy de Provence w którym dwudziestu urzędników pracowało od rana do wieczora.

Rozszerzyli interesy, zachowali i powiększyli przedsiębiornie wełny, któremi Graff zajmował się specjalnie.

Przyszło na świat dwoje dzieci, Marceli Baradier i siostra jego Eliza.

Zdawało się że dobry los opiekuje się tą rodziną tak ściśle z sobą połączoną, kiedy naraz po śmierci starego Mojżesza, Eliasz Lichtenbach przybył i osiedlił się w Paryżu.

Dziwna zmiana w nim zaszła. Z hożego, tłustego i próżnego Eliasza, nic nie pozostało. Kiedy pierwszy raz Baradier i jego rywal spotkali się na giełdzie, bankier nie poznał Lichtenbacha. Potrzebował, żeby mu go nazwano, aby wiedział z kim ma do czynienia. Zobaczył mężczyznę zgarbionego, chudego, z czołem wy-

lysiałem, spojrzeniem chłodnem z po za okularów złotych. Głos nawet był zmieniony.

Pan Lichtenbach mówił mało, tylko to co konieczne, ręce, która się do niego wyciągała, podawał zaledwie jeden palec, i pozostawał obojętny wobec najważniejszych wiadomości. Jedynie ściągnięcie szczęk zdradzało wzruszenie, nadając wyraz niezwykłego okrucieństwa całej jego twarzy.

Zetknięcie się Lichtenbacha z domem Baradier i Graff zaznaczyło się niezwykle. Naraził ich na stratę trzystu tysięcy franków w przeciągu paru godzin na partji wełny na giełdzie w Troyes.

Eliasz sprzedał wełnę po tak niskim kursie, że Baradier i Graff zaangażowani zanadto na zwyczaj, zlikwidowali swoją nagle, żeby zmniejszyć ryzyko.

To był pierwszy piorun wypadający z chmury. Oświecił on położenie. Odtąd nieprzyjaciel, zawsze czujny, czyhał na dom Baradier i Graff, gotów uderzyć w słabą stronę.

Złe chęci Lichtenbacha, choć ukryte, niemniej przeto były pewne. Wszystko je zdradzało. Baradier i Graff czuli się ciągle pod obserwacją, a ta głucha wojna, pobudzająca ich zdolności nie była bezowocna.

Atakowani, wysilali umysł na obronę, przedsiębiorali wszelkie możliwe ostrożności, i nie spuszczaali się nigdy na traf szczęśliwy.

Oddany partji klerykalnej, przyjmowany w najściślejszych kółkach arystokracji, Lichtenbach, przez sztywną surowość ułożenia, śmiałość swoich pomysłów, zyskał wielką powagę w tem stronnictwie. Ożeniony

w Alzacji, owdowiał, pozostała mu tylko córka, którą wychowywał w Sacré-Coeur, w zasadach najsurowszej pobożności. Eliasza wogóle był prawdziwym typem renegata.

Obawiano się Lichtenbacha, lecz mu nadskakiwano, pochlebiano, i był to człowiek z wielkim wpływem w świecie, w którym się obracał.

Rodzinom arystokratycznym zrujnowanym oddawał nieocenione usługi pieniężne. Należał do wszystkich syndykatów w Europie, a za pomocą kapitałów ugrupowanych przez siebie, nadawał ruch spekulacjom przeróżnym, z których umiał korzystać.

Napozór nie miał żadnych potrzeb. Skromność jego życia wydawała się posuniętą do ostatecznych granic.

Mieszkał we własnym domu przy ulicy Barbet-de Jouy, szarym, smutnym i cichym, ze służącymi, przywiezionymi z Lotaryngii, którzy więcej po niemiecku niż po francusku mówili.

Nie przyjmował u siebie nikogo, a sam bywał w świecie co wieczór, grał w wista, co było jedynym jego wydatkiem.

Biura swoje miał przy ulicy Quatre-Septembre, zajmowały one dwa piętra w domu naprzeciwko giełdy. Tam przyjmował nawet najarystokratyczniejszych swoich klientów.

Brama domu przy ulicy Barbet nigdy prawie nie otwierała się dla innego powozu, niż dla jego powozu, zaprzęzonego w parę koni.

Chodził dużo piechotą, zgarbiony, milezący, ponury, jak gdyby rachował swoje własne kroki.

Nie wiadano o żadnym stosunku jego po za domem, a dopiero miał lat czterdzieści pięć...

Młoda księżna de Bernay, która dzięki spekulacjom, prowadzonym przez surowego Eliasza, mogła popłacić swoje długie i sama żyć szeroko, mówiła do swojej przyjaciółki margrabiny de Premeur:

— Muszę koniecznie wiedzieć co myśli ten kochany Lichtenbach. Doprawdy, upokarzająco jest ostrożny z kobietami. Czy to skromność, czy to obluda?

I flirtowała zawzięcie przez kilka wieczorów z Eliaszem wobec wszystkich swoich znajomych.

Potem nagle przestała się nim zajmować. Na zapytania ironiczne otoczenia odpowiadała wymijająco:

— Traciłam czas na próżno! Nie się nie da zrobić!

Lecz zauważono, że w następstwie, prowadzenie domu młodej kobiety zmieniło się zupełnie, że zrobiła ogromne wydatki i że jednocześnie przestawszy żartować z wielkim finansistą, sama znalazła się w zgodzie ze swojemi finansami.

Stało się tak samo z kilkoma młodemi kobietami z arystokracji, zawsze z bardzo młodemi i bardzo ładnemi.

Eliasz, chłodny, ponury i milczący, spekulował w dalszym ciągu we wszystkich stronach świata i dowodził domowi Baradier i Graff, tak samo jak wszystkim ich bliższym i dalszym, że nienawiść jego będzie tak długa jak życie.

III.

Minister wojny przyjechawszy na ulicę de Provence, wysiadł z powozu z żywością młodzieńczą, przeszedł podwórze, wszedł do biura i głosem komendy odezwał się do woźnego:

— Pan Baradier u siebie?

Woźny instynktownie stanął w pozie wojskowej i odpowiedział:

— Tak, mój generale. Zamelduję, mój generale.

Zrobił lewo w tył, podczas kiedy minister mierzył krokiem nerwowym przedpokój, w którym po za szkłem depesze agencji Havas zawiadamiały o kursach na wszystkich giełdach Europy.

Jedne z drzwi rozwarły się gwałtownie, mężczyzna gruby i rudawy wbiegł z rękami wyciągniętymi.

— Ah! to pan, mój generale! Fatygowałeś się sam! Proszę do mojego gabinetu.

Graff już ukazywał się w perspektywie.

Minister wszedł i jak tylko się drzwi zamknęły:

— Cóż wy na to, przyjaciele? Co za wypadek?

— Ah! rzekł Graff podsuwając fotel, wstrząśnięci jesteśmy do głębi, Baradier i ja... Siadajże, mój generale, proszę...

— Kto was zawiadomił?

— Baudoin, który nocował tu wczoraj, a dziś po południu przybył przerażony z tą grobową wieścią. Lecz co to się stało? Okoliczności, w jakich zdarzyła się katastrofa, daleko są poważniejsze, niż samo to nieszczęście. Graff i ja, pytamy siebie, dyskutujemy, nie mogąc rozwiązać strasznej tej zagadki.

— Gdyby jeszcze Marceli był!... jęknął wuj Graff... Onby nam dopomógł, on zna tak dobrze życie generała de Tremont, jego upodobania, przyzwyczajenia, słabości...

— Słabości? zapytał minister. Kobiety? Oto co chciałeś powiedzieć, prawda?

— Tak, mój generale.

— Falszywie zapatrujesz się na tę sprawę, rzekł stary żołnierz stanowczo. Nie idzie tu o przemijające upodobanie. W tem jest więcej niż intryga miłosna... Kobieta, tak, zaiste! ona miała tu rolę... Lecz była tylko agentem, może bezwiednym, usiłowania starannie obmyślanego i śmiało wykonanego.

— W jakim celu? zapytał Baradier. Powiedz wszystko, mój generale, złożmy razem nasze podejrzenia i starajmy się wydobyć z nich iskierkę prawdy.

— Eh! to jasne! odparł generał. To szło o wynalazki generała Tremont. A w tych wstrętnych intrygach, zakończonych śmiercią człowieka, któregośmy kochali, znakomitego uczonego, ja widzę, mówię to do was, niech to pozostanie pomiędzy nami trzema, ja widzę rękę zagranicy.

Nastąpiło milczenie.

Graff i Baradier patrzyli na siebie pomieszani i jak gdyby niepewni. Lecz zapalczywy Baradier nie mógł dłużej powstrzymać myśli, która go nurtowała.

— A mnie, mój generale, mnie się zdaje, iż rozpoznaję w tym wypadku, który spotkał naszego przyjaciela, nienawistną intencję przeciwko niemu i przeciwko nam...

— Baradier, wmieszał się Graff, za prędko i za daleko się posuwasz! Jak możesz rzucać takie słowa, oparte tylko na przypuszczeniach?

— Ah! Ty drżysz zawsze! krzyknął Baradier. Zawsze cię krępują skrupuły! Sacrebleu! Ja czuję w tem zdradę! Odgaduję postępek haniebnny! Ja... Dajcie mi pokój! Przysiaglibym, że Lichtenbach nie jest obcy tej sprawie!

— Nie masz prawa tak mówić! krzyknął Graff, zerwawszy się i trzęsąc się ze wzruszenia. Jak można dawać do zrozumienia, że człowiek, na którego nic nie można powiedzieć pod względem postępowania zawodowego i moralnego, należał do zbrodni, i to dla tego, że jest naszym nieprzyjacielem?... To jest co najmniej bezrozumne! Nie jesteś sprawiedliwy!

Baradier cały wrzący, podniósł się także, chodząc po gabinecie, mówiąc głosem przerywanym:

— Mój generale, dwie godziny już dysputujemy, Graff, i ja, a ten niedołęga taką tylko odpowiedź znajduje, że jestem niesprawiedliwy! Jak gdyby trzeba było koniecznie być sprawiedliwym kiedy instynkt silniejszy od ciebie woła: oto jest winny. Nie widać go: dobrze dobrze jest zamaskowany, dobrze ukryty, nie ukazał się w niczem. Nie odkryją go prawdopodobnie. Lecz to on pomimo to, który urządził wszystko, ponieważ jego interes jest w zgodzie z jego nienawiścią. Nie! Ten Graff ze swoją sprawiedliwością, ludzkością, filantropią i innemi przeróżnemi ideami, jakież on głupi niekiedy!

Pomimo ważności położenia, trzech panowie nie mogli

się powstrzymać od śmiechu. Graff rzekł kłaniając się nisko :

— Dziękuję !

Minister odezwał się, żeby przywrócić ład w rozprawach :

— No, Baradier, wytłomacz się. Nieokreślone przeżucia nie wystarczają, jak mówi twój szwagier, dla ugruntowania oskarżenia. Domniemania prowadzą do poszukiwań. Wreszcie, zwracam twoją uwagę, że sądy zawiadomione, śledztwo rozpoczęte i jeżeli możesz dostarczyć dowodów...

— To jest niepodobieństwem ! przerwał Baradier. Wam odkrywam głąb moich myśli. Sędziemu śledczemu nie powtórzyłbym tego com przed chwilą powiedział.

— Aha ! tryumfował Graff. Czy nie mówiłem !

— Ja przekonany jestem moralnie, ale wtedy dopiero odezwę się głośno, gdy przy śledztwie okaże się, iż przekonanie moje ma wspólność z dowodami materialnymi... Ale nie sądźcie, że się cofam... Będę szukał, a jak znajdę...

— Nie znajdziesz. Jeżeli prawdą jest, co podejrzewasz, to mamy do czynienia z silniejszym od siebie.

— Da się to widzieć !

Generał się odezwał :

— Lichtenbach, o którym mówicie, jest tym kierownikiem wielkich interesów, oddanym partji rojalistyczno-klerykalnej ?

— Ten sam.

— I myślicie, że jest zdolnym do zbrodni ?

— Ja wierzę, że przed niczem się nie cofnie.

— Wiecie zapewne, że w ministerjum jest wszechwładny?

— On jest wszędzie wszechwładny. Można powiedzieć, że ten człowiek co chce robi i każdego dosięgnie.

— Lecz cóżby miał w tem za interes, żeby podejść generała de Tremont, a potem zgładzić go ze świata?

— Zapominasz, mój generale, o badaniach Tremonta nad materiałami wybuchowemi? Lichtenbach stoi na czele syndykatu francuskiego eksploatacji kopalń. Ma on w Austrii i Hiszpanii znaczne interesy. Otóż wynaleść proch, łatwy do fabrykacji, straszny w skutkach i niekosztowny (a to były zalety prochu Tremonta, jak wykazało zdanie sprawy odczytane przez niego w Akademii umiejętności przed sześciu miesiącami), czy nie była to pokusa dla spekulanta czatującego na wszelkie odznaczające się wynalazki?... Robiono generałowi Tremont świetne propozycje. Lecz był to bank angielski, który rozpoczął pertraktacje. Generał nie chciał nawet słuchać... Nagabywano go z różnych stron... Wtedy zwierzył się przed Graffem i przedemną z zamiaru założenia towarzystwa eksploatacji wyłącznie francuskiego. Była to jego miłość własna, żeby Francja korzystała z jego odkrycia...

— Dzielny człowiek! Nie dziwi mnie to z jego strony!

— Wiedział dobrze, że znalazł sposobność zrobienia majątku. Cieszył się z tego. Lecz nie chciał żeby obce pieniądze do tego się przyczyniły... W dodatku pracował jednocześnie nad urzeczywistnieniem formuły prochu wojennego. I nie chciał puścić w świat wynalazku zastosowanego do przemysłu, przed oddaniem rządowi

nowego materiału wybuchowego. Mówił do nas: Dwa prochy jednocześnie. Ten, który uczyni nas bogatymi i ten, który uczyni nas zwycięzcami, ażeby przebaczone mi korzyści jakie wyciągnę z pierwszego, przez wzgląd na potęgę jaką drugi zapewni naszej armii.

— Tak. Były już próby sekretne z jego prochem wojennym. I nigdy jeszcze moi koledzy i ja nie widzieliśmy podobnych skutków zniszczenia. Nie nie ostałoby się przed artylerją ciskającą pociski nabite w ten sposób! Na wielkie odległości, zniszczenie wszystkiego, co przedstawiało jakikolwiek opór... I taka tajemnica z dymem się roziała! Wielkie to nieszczęście dla Francji!

Oczy Graffa zamgliły się, po wargach przemknął mu smutny uśmiech.

— E! kto wie?

— Jakto, kto wie?

— Tak... Niema pewności, że tajemnica zginęła! Może kto posiada duplikat formuły generała?

— A któżby? zawołał minister.

Graff zataił ręce i odpowiedział:

— Mój siostrzeniec.

— Marceli? Mówił o tem?

— Nie dawniej jak przed tygodniem.

Baradier zbladł. Odwrócił się do szwagra z twarzą zrozpaczoną:

— Nieszczęsny! Niech nikt niema tego podejrzenia! Nie powtórz nigdy tego coś powiedział! Chcesz żeby zabili mojego syna?

— Ah! Baradier, znałem cię daleko odważniejszym!

zawołał generał. Wyobrażasz sobie, jeżeli twoje przypuszczenie jest prawdziwe, a nie jestem daleki od podzielania takowego, że ludzie, którzy dopuścili się tego czynu, będą gotowi rozpocząć bez zwłoki? Mamy przed sobą czas do działania, i jesteśmy uprzedzeni. Czego, u diabła, można się obawiać? W tej chwili sprawcy zamachu schowali się pod ziemię, gdyż nie mogą wątpić, że policja ich poszukuje. Uspokój się zatem i mówmy otwarcie.

— Mój kochany generale, jeżeli posiadanie tajemnicy prochu fatalne było dla Tremonta, którego chciano tylko ograbić, czego może obawiać się Marceli Baradier, jeżeli zawzięty nieprzyjaciel całej jego rodziny prowadzi tę straszną intrygę? Gdyby mogli generałowi Tremont skrócić jego formułę, byłiby mu życie darowali. Marceli nie może oczekiwać żadnej litości, ponieważ uderzając w niego, osiągną Graffa, mnie... i jego matkę!

— My będziemy go bronić, rzekł Graff głosem drżącym. Nie jestem zły, lecz czuję się zdolnym do wszelkich okrucieństw, aby nie dać zrobić nic złego mojemu siostrzeńcowi!

— Rozumiesz dobrze, rzekł generał, że, jeśli policja niema żadnej wskazówki o tem co podejrzewacie, pierwszym mojem staraniem będzie zawiadomienie...

— Roztropniej nie robić tego, przerwał Baradier. Jeżeli, jak myślimy. Lichtenbach kierował całą tą piekielną machinacją, możesz być pewny, generale, że jej nie przenikną. On i jego wspólnicy bezpieczni są od wszelkiej odpowiedzialności. Kobieta, która, jak się zdaje, była agentem do brania na wędkę, zniknie bez

śladu. Mężczyzna z ręką uciętą, będzie leczony w jakim kącie, tajemniczo, zagranicą może, a stangret, który przywiózł współników do Vanves, należy do bandy. Nie znajdą nic, bądź przekonany. Sędzia śledczy może być przygotowany do odłożenia tej sprawy...

— Ja tak samo myślę... Ale to nie racja żeby zaniechać poszukiwań. Najpierw, jeżeli ustanowi się nadzór nad Lichtenbachem, może się odkryć jaki dowód. Lecz to jest rzecz prefektury policji. Mówmy o czem innem. Generał de Tremont, umierając, zostawił córkę, samą, bez opieki.

— Przepraszam, generale. My jesteśmy żeby ją przyjąć i pocieszyć.

— Tak, kochany Baradier, wiem, że biedne dziecko może na was liczyć... Lecz ona została bez majątku. Tremont bardzo mało posiadał sam z siebie. Emerytura była prawie całym jego utrzymaniem.

— Bądź spokojny, generale. Nigdy niczego jej nie zabraknie. Żona moja rano zaraz pojechała do Sacre-Coeur i przywiozła ją do nas... Nie rozstanie się już z moją córką i będzie uważana jak gdyby nazwisko moje nosiła.

— Ja jednak wyrobię jej pensję w ministerjum.

— Jak chcesz, generale, lecz chyba dla zadowolenia twojego sumienia. Biorę ją zupełnie na siebie, jak swoje własne dziecko.

— Czy mógłbym z nią mówić? Czy będzie w stanie mnie przyjąć?

— Bardzo jest zmartwiona, ale bardzo spokojna. Graff uprzedzi ją, że przyjechałeś, generale...

Graff wyszedł, Baradier zbliżył się do generała, jak gdyby się obawiał, żeby ściany nie usłyszały słów jego :

— Tak pomiędzy mną i tobą, generale, wyłączając Graffa, który jest sentymentalny i gadatliwy, czy w tej okoliczności mamy do czynienia z zagranicą?

— W jaki sposób można to wiedzieć, dokąd nie dostanie się do rąk winnych? A nawet jeżeli się ich dostanie, w jaki sposób wyciągnąć to na jaw? Nigdy nie ma się pewności, agenci zagraniczni bezpieczni są zawsze od odpowiedzialności bezpośredniej, a w reszcie jeżeli dadzą się ująć, nieprzyznają się do nich ci co ich wysłali. Przybory nasze artyleryjskie i materje wybuchowe są i będą jeszcze przez długi czas przedmiotem niepokoju dla mocarstw z nami rywalizujących. Pewnikiem jest, że artylerja obsługiwana prochem Tremonta, miałaby wyższość nad innemi... Ztąd usiłowanie zbrodnicze przeciw wynalazcy, to widoczne.

— Więc, generale, przywiązujesz wielką wagę do posiadania formuły wynalezionej przez Tremonta?

— Bardzo wielką. Byłoby to oddać naszemu krajowi usługę nieocenioną.

Baradier spoważniał. Spuścił głowę, potem z silnem postanowieniem :

— Mój generale, jestem dobrym patryjotą. Walczyłem za Francję do ostatniej chwili wojny. Wszyscy moi lotaryńczycy z Metzu wynieśli się, żeby nie żyć w pośród zwycięzców. Gdyby trzeba było życie dać za kraj, nie wahałbym się... Więcej zrobię, ryzykuję życie mojego syna. Jeżeli Marceli posiada tajemnicę Tremonta, przysięgam, będziesz miał proch.

Zajaśniały radością oczy starego żołnierza. Wyciągnął rękę do Baradiera i głosem drżącym dodał:

— Jesteś dzielny człowiek, przyjacielu! Dziękuję!

A że drzwi się otwierały, chrząknął donośnie i odzyskał spokój.

Pani Baradier i panna de Tremont wchodziły poprzędzając Graffa.

Zawsze wysmukła i elegancka, pani Baradier, oprócz kilku nitek srebrnych w pysznych blond włosach, zachowała spojrzenie jasne, usta purpurowe i przypominała młodą dziewczynę, którą kochał Eliasch Lichtenbach...

Panna de Tremont w niebieskim mundurku, obwiązującym pensjonarki klasztorne, szczupła brunetka, z twarzą jak gdyby zdziwioną ogromem nieszczęścia, była zachwycającą dziewczyną szesnastoletnią.

Podeszła naturalnie, śmiało, do przyjaciela swojego ojca. Lecz przy pierwszych słowach starego żołnierza, łzy napęłniły jej oczy i cicho płynęły po policzkach. Słuchała z gorzkim zadowoleniem słów pociechy i uznania, poświęconych dla tego, którego już nie było, i tylko skłoniła główką, jak gdyby na znak rezygnacji i przygotowania do smutków i goryczy życia jakie się dla niej rozpoczynały.

Niestety, tak mało знаła swego ojca. Owidował młodo, i musiał powierzyć wychowanie córki poważnym i pobożnym kobietom. Nie zaznała prawie wcale słodyczy życia rodzinnego. Po matce zostało jej tylko wspomnienie słodkie i niejasne, jak ładny pastel przez czas spłowiwały.

Adela starała się często przypomnieć sobie dźwięk głosu matki, a nawet i tego nie pamiętała. Straszny smutek! Nie zaznała nigdy czułości macierzyńskiej... Osamotnienie wśród obcych, życzliwych i chłodnych, taki był jej los aż do dnia, w którym śmierć zerwała słaby węzeł jaki łączył ją jeszcze z ojcem. A jaka okropna śmierć, katastrofy zdumiewającej i okrutnej zarazem, która uczyniła ją sierotą i pozostawiła wspomnienie morderstwa i gwałtu.

Nie miała nawet tej pociechy, że ojciec kochany, którego opłakiwała, śmierć miał spokojną.

Żołnierzem był i nie padł na polu bitwy; uczonym, i nie stał się ofiarą poszukiwań swoich naukowych.

Umarł, zamordowany przez podłych bandytów.

Minister oświadczył jej, iż może liczyć na jego protekcję. Podziękowała niewyraźnie i nieprzytomna prawie z bóleści, zalana łzami, wyszła z gabinetu z panią Baradier.

Minister rozrzewniony i milczący, odprowadzony przez Graffa i Baradier, zastał w przedpokoju służącego generała de Tremont. Stary szef patrzył na sługę z zajęciem, podobała mu się twarz jego energiczna i sprytna.

— No cóż, mój biedny Baudouin, stało się wielkie nieszczęście.

— Wielka podłość, mój generale.

— Usunięto cię, mój zuchu, gdyby nie to, nie byłoby przyszło do katastrofy.

— Ah! mój generale, za pozwoleniem pańskim, spódniczka zgubiła nas wszystkich.

— Dobrze! dobrze! nie pora o tem mówić.

— Wybacz, mój generale, to nie przez brak uszanowania dla mojego nieboszczyka pana. Lecz jeżeli nie zajmą się odszukaniem tej niegodziwej, która całą sprawą kierowała, to nic nie znajdą, i mój generał nie będzie pomszczony.

— A ty znasz tę kobietę?

— Ah! gdybym znał, ja takżebym nie żył!

Baradier, Graff i minister spojrzeli po sobie. To co mówił Baudouin było tak jasnem potwierdzeniem obaw Baradiera o życie syna, iż groźna potęga kobiety tajemniczej stanęła przed oczyma ministra. Znał już tak dużo, i sam i przez swoich poprzedników, tych awanturnic, śledzących zawsze za spekulacją, za przeprowadzeniem intrygi, wykradzeniem tajemnicy, od tych co sprzedawały ordery aż do złodziejek z szuflad biur rządowych.

Mógłby je nazwać. A doświadczenie z przeszłości uczyło, że wszystkie niebaczne postęпки, wszystkie głupstwa dowiedzione, były potwierdzeniem tego co mówił ten przywiązany i wierny sługa, Baudouin.

Minister zaczął:

— Jakże chcesz, żeby znaleziono tę kobietę, jeżeli nikt jej nie znał, oprócz tego, który nie żyje?

— Mój generale, słyszałem głos jej wczoraj wieczorem, jeżeli mówiłaby kiedykolwiek przy mnie, nie omyliłbym się.

— Ah! głos, mój biedaku, parę słów usłyszanych... Jakże oskarżyć kogoś na tak słabej podstawie?... Czy wiesz, że są głosy tak podobne do siebie, iż trudno

je rozpoznać? Jeżeli nie możesz innych dowodów dostarczyć, mój biedny Baudouin, lepiej siedź cicho...

— Zobaczymy, mój generale.

— Ah! jesteś uparty!

— Trochę, mój generale.

— No mój chłopcze, co jabym mógł zrobić dla ciebie? Byłeś dobrym żołnierzem, sługą przywiązanym. Pewny jestem, że pan twój poleciłby mi ciebie. Chcesz zostać woźnym przy ministerjum?

— Dziękuję, mój generale. Pan Baradier bierze mnie do siebie... Lecz, jeżeli, mój generale, chcesz być bardzo dla mnie dobrym.

— Mów, zrobię co będę mógł...

— Mój generale, powiedz mi nazwisko agenta ministerjum, który prowadził śledztwo. Wydał mi się rozumny i zręczny! Chciałbym z nim pomówić.

— Nazywa się Laforet. Lecz zachowaj dla siebie nazwisko. Mówię ci w zaufaniu, nie trzeba, żeby było znane komukolwiek...

— Mój generał może być spokojny; jestem jak grób dyskretny.

— Zatem, bądź zdrow!

Minister podał rękę Baradierowi i Graffowi, wsiadł do powozu i odjechał.

Kiedy ci ostatni wrócili do przedpokoju, Baudouina już nie było.

Zaledwie dowiedział się nazwiska agenta, Baudoin wziął kapelusz, wyszedł bocznymi drzwiami i udał się do ministerjum. Tam odrazu się poinformował. Dyżurny spotkany w przedsionku wskazał mu budynek gdzie

trzeba się udać. W głębi podwórza, schody C. Tu zatrzymał go odźwierny: Nie wchodzi się do biura bez upoważnienia.

— Lecz ja chciałbym tylko widzieć się z panem Laforet.

Odźwierny spojrzał na niego podejrzliwie:

— Pan Laforet?... Nie ma go w ministerjum. Poszukaj go pan w jego prywatnem mieszkaniu.

— A gdzie mieszka?

— Dowiedz się pan.

Widocznie Baudouin spotkał się z rozkazem nie dawania adresu agenta. Wiedział, że przeciw temu nie poradzi. Ukłonił się, podziękował i wyszedł.

Na ulicy Saint-Dominique, przy rogu Martignac, zobaczył małą kawiarnię. Wszedł, żeby się namyśleć, a może dowiedzieć się czego.

W pierwszej sali czterech kupców grało w karty. W drugiej, w głębi słychać było zbijające się kule na bilardzie.

— Czego pan życzy? zapytał kelner.

— Szklankę piwa... Ale powiedz mi, macie tu akademię bilardową?

— Ah! proszę pana, mamy sławnych graczy... Niektórzy panowie z ministerjum przychodzą co wieczór.

— Ah! doprawdy? A można przypatrzeć się partji?

— Jeżeli pan chce, zaniosę piwo do tamtej sali.

Baudouin już tam poszedł.

W sali stało dwa bilardy, obydwa zajęte i otoczone galerją ciekawych.

Baudouin usiadł i patrzył.

Z pomiędzy grających przy bliższym bilardzie dwóch zwróciło jego uwagę. Jeden gruby, wesóły, prawil ciągle anegdotki zastosowane do okoliczności. Drugi, duży, brunet, suchy, był Laforet we własnej osobie.

— Miałem nos, rzekł do siebie Baudouin.

Poczekał końca partji.

Laforet przestawszy grać, zbliżył się jaknajobojętniej do Baudouina i rzekł bardzo głośno:

— Kelner, szklankę piwa.

A pochyliwszy się do służącego generała spytał:

— Czy pan mnie szuka?

— Tak. Pan mnie poznał?

— To moja profesja poznawać ludzi. Czy jest co nowego?

— Nie, lecz muszę z panem pomówić.

— Dobrze!

Goście przechodzili do pierwszej sali, widniejszej i weselszej. Zostało tylko kilku amatorów przy drugim bilardzie.

Baudouin i Laforet byli zupełnie na stronie.

— Może pan mówić, nikt się nami nie zajmuje. Słucham.

— Otóż tedy: tego rana, kiedy widziałem pana wśród wszystkich tych agentów i policji, zrobiłeś na mnie wrażenie człowieka, na którego można liczyć i jeżeli trzeba zwrócić się do kogo w sprawie trudnej lub niebezpiecznej, to można na panu polegać... Czy się omyliłem?

— Nie.

— Nie wiem czy teraz się nie mylę, lecz zdaje mi

się, że pan nie jesteś w tych samych warunkach, jak agenci należący do wydziału prefektury. Pan jesteś, jak to powiedzieć? rodzajem ochotnika policyjnego, który dostarcza objaśnień na swój sposób, jak mu się podoba. A co za tem idzie, wolno mu mieć inicjatywę.

Laforet przerwał:

— Jeżeli w sprawie z Vanves zwracasz się pan do mnie, to powstrzymuję pana odrazu: mój szef rozkazał żebym się nią nie zajmował, aż do nowego rozporządzenia. Sąd karny prowadzi śledztwo. Każdy ma swój wydział. My nie będziemy już do tego się mieszać, tymczasowo.

— Więc gdybym prosił, żeby mnie pan objaśnił dobrą radą?

— Radę zawsze dać można.

— Otóż, policja będzie szukać sprawców zbrodni, której pan mój padł ofiarą. Ale ja chciałbym także szukać ze swej strony.

— Któż panu przeszkadza?

— Ah! trzeba umieć wziąć się do tego... Z którego końca rozplątywać ten motek?

— Zobaczmy. Pan twój miał rodzinę?

— Jedną córkę.

— Nie miała w tem żadnego interesu żeby się ojca pozbyć?

— Żadnego, przeciwnie!

— Miał jaki stosunek miłosny?

— Jak tu zaręczyć? Taki był nieufny! Kobieta, która go odwiedzała, przyjeżdżała tylko w wielkiej tajemnicy, w nocy, a on mnie wtedy z domu wysyłał.

— Więc to kobieta przyjechała wczoraj wieczorem?

— Tak.

— Czy pan de Tremont miał nieprzyjaciół?

— Nie, a przynajmniej ja ich nie znałem.

— Czy kto miał powód szkodenia mu?

— W pewnem znaczeniu, tak.

— Zkąd pochodzą twoje podejrzenia?

— Oh! spostrzeżenia osobiste, utwierdzone przekonaniem przyjaciela mojego pana.

— Ten przyjaciel jest człowiekiem przedstawiającym rękojmię?

— Zupełne.

— A więc z tej strony trzeba szukać.

— Żebyś wiedział, na jakie trudności natrafie!

— Właśnie, to jedynie jest zajmujące. Jak to przyjemnie ująć węglarza, który zabił żonę polanem w mieszkaniu za swoim sklepem, albo fryzjera, który brzytwą poderżnął gardło kochance. To co roznamiętnia, to właśnie walka, śledzenie, konieczność podstępów. My policjanci, jesteśmy ludźmi z wyobraźnią, i śmiejemy się z powieściopisarzy, z ubóstwa ich kombinacji.

— Bo wy kochacie swój zawód. To nie tak jak ja... Nie jestem ciekawy. Nie pragnę niczego się dowiedzieć. I gdyby nie ta wściekłość w sercu, że mojego pana zamordowali, nie kładłbym palca w cudze sprawy. Lecz pomścić mojego generała, zdaje mi się rozkazem od niego. Jeżeli miał czas zebrać myśli kiedy go napadnięto, pomyślał z pewnością: ah! gdyby tu był Baudouin! Onby mnie bronił aż do śmierci. Widzisz sam, iż muszę znaleźć morderców. Nie będę miał spokoju do tej chwili.

Laforet zamyślił się. Potem rzekł:

— Jesteś zacnym człowiekiem. Lecz nie masz dość lekkiej ręki dla rozplątania, jeżeli to jest możebne, takiej jak ta sprawy. Popsujesz wszystko, budząc czujność ludzi, których podejrzewasz. Siedź cicho. Cierpliwość jest pierwszą cnotą policjanta. Czas to pomoćnik nieoceniony. W pierwszych chwilach zbrodniarz jest ostrożny, niedowierzający. Powoli, wraz z powracającym uczuciem bezpieczeństwa, ostrożność się zmniejsza, zbrodniarz zaczyna się pokazywać, i wtedy najlepsza chwila do ujęcia. Zamiast zabierać się do czynu, nie rób nic... Jeżeli masz do czynienia z ludźmi potężnymi, bądź pewny, iż mają na ciebie oko, jak tego ich interes wymaga. Więcej zrobisz dla twego stronnictwa, pozwalając sądzić, że ich nie podejrzewasz, jak manewrując przeciw nim. Wracaj do siebie, uprzedź tych, którzy tak samo jak ty, pragną pomścić generała i czekać na wypadki. Bądź pewny, że zdarzy się taki, który na ślad cię naprowadzi. Wtedy idź śmiało, a jeżeli będziesz mnie potrzebował, przyjdź tutaj około godziny piątej. Zastaniesz mnie regularnie. Szef mój może pozwoli mi razem z tobą pracować.

Baudouin podniósł się.

— Dobrze. Pójdę za twoją radą. Jeżeli będziesz miał co do powiedzenia, daj mi znać do panów Baradier i Graff.

— Bankierzy z ulicy de Provence?

— Tak.

— Eh! Minister jeździł do nich... dowiedziałem się od stangreta... Dobrze! Wszystko będzie dobrze jak przyjdzie czas. Do widzenia.

Podali sobie ręce i Baudouin wrócił do domu.

Marceli, wezwany depeszą, przyjechał z Ars, i z ojcem i wujem zamknęli się na naradę. Pani Baradier nawet została oddalona.

Marceli chodząc wzdłuż i wszerz po gabinecie, odpowiadał krótko na stawiane zapytania.

Duży, smukły, blondyn, z wąsami, i niebieskimi oczyma, prawdziwy piękny typ lotaryńczyka.

Był to okazały chłopiec, a wuj Graff wodził za nim dumnym i rozkochanym wzrokiem.

— Co ci de Tremont powiedział, kiedyś go raz ostatni widział?

— Mówiliśmy tylko o moich badaniach nad aniliną.

— Ani słowa o prochu?

— Powierzył mi już wszystko, wszystkie rezultaty zdobyte. Podzielałem jego zdanie, że najgłówniejsze już było znalezione. Pozostały tylko małe dopełnienia w szczegółach.

— Znałeś jego formuły?

— Znam je wszystkie.

— Mógłbyś je ułożyć?

— Bez najmniejszej trudności.

— Oto czego się obawiałem, zawołał Baradier ze wzruszeniem.

— Jakto? tego się obawiałeś, ojcze? Ależ to wielkie szczęście dla wszystkich. Dla Adeli, której majątek jest zapewniony, dla armii, która będzie posiadać proch Tremonta, i dla pamięci generała, dla sławy jego pośmiertnej z tak ważnego odkrycia...

— Otóż ja, rzekł Baradier głosem drżącym, bła-

gam cię, w imieniu nas wszystkich i twojem, żebyś pary z ust nie puścił, tymczasowo, do kogokolwiekbądź, o tem, coś nam odkrył. To sprawa życia lub śmierci. Dopóki ludzie, którzy zabili Tremonta nie będą odkryci, ujęci i ukarani, nie będzie bezpieczeństwa dla tych, których będą podejrzewać, iż posiadają tę tajemnicę tak ważną. Dla tego to, żeby ją skraść, zabili generała. Zaklinam cię, na imię Boga, ukrywaj starannie to, że nasz przyjaciel przed tobą się zwierzył...

— Uspokój się, ojcze, rzekł młody człowiek z uśmiechem, oprócz wuja i ciebie nikt nie wie. Nie mam ochoty krzyczeć o tem głośno. Lecz nie wyrzekam się wyciągnąć korzyści w danej chwili, nawet gdyby trzeba było narazić własną osobę.

— My także... Lecz mówmy dalej. Tremont był z tobą zawsze swobodny, mówił o sobie... opowiadał swoje awantury miłosne...

— Biedny człowiek! To była jego słabostka. Serce miał młode. Wyobraźnię zapalną. Tracił głowę odrazu... Często byłem zmuszony napominać go zlekka. Z nas dwóch to on był młodszym...

— A w ostatnich czasach nie ci nie opowiadał?

— Nie. Zdawało się, że jest czemś zajęty, i mniej niż zwykle się zwierzał. Może zalecono mu być dyskretnym i czuł się do tego obowiązany? Lecz już nie mówił zacierając ręce przy końcu śniadania: „Mój kochany, żebyś wiedział, rozkoszna kobietka!“ Wszystkie i zawsze były rozkoszne... modystki, tancerki, mieszczanki, wszystkie rozkoszne. Muszę przyznać, że te zapaly miłosne sześćdziesięcioletniego człowieka, przy-

krość mi sprawiały i nie wyciągałem go na opowiadania, zdawało mi się to bowiem uwłaczającym godności naszego uczonego przyjaciela. Wolałem, że w ostatnich czasach wstrzemięźliwy był i milczący.

— Jaka szkoda! Tym jednym razem byłoby pożyteczniej gdyby się był zwierzał!

— Tak to zawsze bywa.

— Czy nie porobił nowych znajomości z mężczyznami? Nie pamiętasz jakiego nazwiska?

— Mówił mi o uczonym cudzoziemcu, z którym zrobił znajomość i wystawiał go jako nadzwyczajnego człowieka... Podejrzewał, że jest nihilistą i to go korciło... Lecz wyrażał się o nim z uwielbieniem...

— To był rosjanin?

— Nie wiem... Nazywał go Hansem...

— Hans! krzyknął Baradier. Ależ to nazwisko człowieka z uciętą ręką! Nazwisko wyryte na obrączce, która była na palcu tego, który spowodził wybuch w domu w Vanves... Oto pierwsza wskazówka... Więc generał znał tego Hansa? A Hans to niemieckie nazwisko!

— To jest tylko imię niemieckie... Jeżeli Hans, o którym mowa, jest sprawcą katastrofy, mógł mieć na celu wykradzenie generałowi formuły prochu... Lecz w jaki sposób dowiedział się o odkryciach, które generał tak ściśle trzymał w tajemnicy?

Graff, który milczał dotąd i słuchał spostrzeżeń szwagra i siostrzeńca, naraz podniósł rękę na znak, że chce mówić:

— Mylicie się. Sprawcy zbrodni, gdyż napewno jest ich kilku, wyżej sięgali niż przypuszczacie. Szuka-

cie albo złodziei chcących przywłaszczyć sobie korzystny wynalazek, albo rewolucjonistów czyhających na posiadanie niezawodnego sposobu niszczenia. To wszystko nadto pospolite. Macie do czynienia z wyżej stojącymi zbrodniarzami. To, że po zabiciu obdarli Tremonta, dowodzi, że chcieli zmylić drogę. Jeżeli jest dom do złupienia, to nie zatrzymuje się dla zabrania zegarka i portmonetki. Tak postępują tylko spiskowcy polityczni, czego dowodzi także obecność kobiety. Wszystkie przedsięwzięcia polityki zagranicznej, od wieków prowadzone były przez kobiety. Z mojego punktu widzenia, to tak być musiało: Jedno mocarstwo, albo kilka mocarstw europejskich, dowiedziały się o dociekaniach generała Tremont. Sprawozdanie jego w instytucie wystarczyło do obudzenia czujności. Zaraz też szukano sposobu wkroczenia się do jego domu i zdobycia zaufania. Zbadano charakter naszego przyjaciela, dowiedziano się, że łatwo ulega wpływom kobiety. Wyznaczono do zawrócenia mu głowy kobietę młodą, ładną i zręczną, która służyła za pośrednika pomiędzy generałem i tym Hansem. Ten ostatni nie jest rosjaninem, raczej badeńczykiem. Kobieta jest szpiegiem w usługach naszych wrogów. Hansowi, wprowadzonemu do domu przez tę kobietę, nie udało się podstępem zdobyć tajemnicy Tremonta. Wtedy uciekł się do siły. Lecz bądźcie pewni, że stało się to w wyższych celach niż przypuszczacie. Widzicie Lichtenbacha w tej sprawie. Sądzicie, że na jego korzyść nieznajoma i Hans grali tak niebezpieczną rolę? Nadajecie mu więcej znaczenia niż ma w rzeczywistości. Trzeba szukać wyżej...

a raczej nie trzeba szukać, nie bowiem się nie znajdzie...

— Nie chcę utrzymywać, odparł Baradier, żeby to, co mówi Graff pozbawione było wszelkiego prawdopodobieństwa. Graff posiada bujną imaginację i często szuka południa o północy, lecz w tej okoliczności trzeba być bardzo śmiałym, utrzymując, że się myli. Może jednocześnie w moich i jego przypuszczeniach jest prawda. To tylko nie ulega wątpliwości, że sprawcy zuchwałego zamachu są ludźmi, którzy przed niczem się nie cofają. Bądźmy zatem ostrożni, udawajmy, że nikogo nie podejrzewamy, nie bierzmy udziału w działaniu sprawiedliwości. Jeżeli dochodzenie sądowe doprowadzi do skutku, będziemy mieli zadośćuczynienie bez mieszania się do sprawy. Jeżeli nie dojdzie niczego, zawsze będzie czas do działania. Czekajmy zatem, jest to najmędrsza i najrzeczniejsza taktyka. Marceli powróci do Ars

— Nie wpierw aż zobaczę się z Adelą...

— Bezwątpienia. Zjesz obiad z nami, przenocujesz i wyjedziesz rannym pociągiem. Matka twoja i wuj nie będą się gniewać, że trochę czasu z nimi spędzisz.

— A mój ojciec? zapytał młody człowiek z uśmiechem.

— Twój ojciec także. Idę z tobą do matki. Graff, zostaniesz w biurze.

— Po zamknięciu idę do siebie i wracam na obiad.

Ojciec i syn udali się wewnątrz schodami do prywatnego mieszkania i, z wielkiem zdziwieniem, zastali w przedpokoju lokaja, oczekującego na ławce.

— Twoja matka ma wizytę, rzekł Baradier. Zkąd się to wzięło? To nie jest dzień jej przyjęć.

Przez korytarz weszli do małego salonu pani Baradier. Siedziała ona przy oknie z robotą w rękach, na kolana opuszczonych.

— Jakto, jesteś tu? rzekł Baradier. Myślałem że przyjmujesz gości...

— Osoba, która tam jest, nie do mnie przyszła.

— Co to znaczy? Nie do Amelii przecie, chyba do panny de Tremont?

— Rzeczywiście, do niej, odpowiedziała pani Baradier z niezadowoleniem.

— Co tobie jest? zapytał bankier. Coś niezwykłego zaszło... powiedz...

— Rzeczywiście, bardzo niezwykle... Koleżanka Adeli przyjechała umyślnie z klasztoru, sama tylko z lokajem, bo ojciec jej nie mógłby przyjść do nas.

Pan Baradier zaczerwienił się, zmarszczył czoło.

— Jest to zatem?... zapytał.

Żona nie dała mu dokończyć. Zrozumieli się.

— Tak, mój drogi, panna Lichtenbach.

Nastąpiło mileczenie. Marceli zbliżył się do matki, pocałował ją, patrząc z pod oka na ojca, który stał przy kominku, wysiłając się zrozumieć co miał na celu nieprzyjaciół, przysyłając córkę do jego domu.

— Jak ona wygląda, ta panna Lichtenbach? zapytał Marceli.

— Załedwie na nią spojrzałam, przyznaję, moje dziecko. Kiedy ją oznajmiono, przejęło mnie to trochę. Amelia i Adela były przy mnie. Zostawiłam je w salonie, skoro panna Lichtenbach weszła. Wydała mi się

wysoka, dosyć ładna. A głównie głos jej zwrócił moją uwagę, głos czysty, słodki, prześliczny.

— Tego po ojcu nie odziedziczyła, mruknął Baradier. Dawno przyszła?

— Najmniej od pół godziny.

— A moja siostra jest na trzecią pomiędzy Adela i panną Lichtenbach?

— Nie mogła odejść... Byłoby to okazaniem niechęci, zupełnie nie na miejscu. Nienawiść rodziców, spodziewam się, nie spada w dziedzictwie na dzieci.

— Mamo, to co mówisz, przeciwne jest tradycjom poetyckim. Naprzykład Romeo i Julja... Bez nienawiści dziedzicznych, coby robiła literatura? One są główną podstawą romansów. Sapristi! Nie zmniejszajmy ich... i tak co dzień ubywa coś z tych tradycji...

Baradier, nie słuchając syna, myślał dalej swoje.

— Po co ona przyszła? Dla czego Lichtenbach na to pozwolił? mruczał do siebie.

— Chcesz, ojcze, żebym poszedł zapytać ją o to? zapytał Marceli wesoło.

— Staraj się być poważnym, jeżeli łaska! krzyknął bankier, tu nie chodzi o żarty!

— Oh! wiem aż nadto dobrze! Nie często żartują w tym domu. Pytam, po co te wstrząśnienia? Matka blada, ty, ojcze, czerwony... a wszystko dla tego, że młoda dziewczyna przyszła pocieszyć po stracie ojca swoją koleżankę z pensji. Czy jest w tem co nadzwyczajnego?

Baradier spojrzał z ukosa na syna i odparł z irytacją:

— Daj mi pokój! Niezdolny jesteś nie zrozumieć!

Marceli ukłonił się ze śmiechem:

— Bardzo dziękuję!

Baradier nie miał czasu się gniewać; otworzyły się drzwi salonu i Amelia ukazała się na progu:

— Mamo, panna Lichtenbach chce się z tobą pożegnać.

— Ależ to bardzo dobrze wychowana panienka, rzekł Marceli półgłosem. Idziesz mamo? Słowo daję, pójdę z tobą... Muszę zobaczyć jak ona wygląda.

Napróżno Baradier wściekły mówił do syna:

— Marceli, zostań, zabraniam ci...

Młody człowiek już się wślizgnął za matką do salonu.

— Ten chłopiec nigdy nie będzie miał rozumu! jęknął Baradier.

Po zamknięciu drzwi usiadł na miejscu żony i słuchał niewyraźnie dochodzących głosów z salonu.

Marceli Baradier od pierwszego wejrzenia zauważył, że panna Lichtenbach ma ułożenie eleganckie i twarz niezmiernie łagodną. Przypatrzywszy się, nie znalazł jej ładną; rysy miała nieregularne. Lecz twarz tę rozjaśniały błękitne oczy, w których malowała się szczerość i dobroć. Stała, prosta i smukła, w mundurku ciemnym, ze wstążką niebieską na piersiach.

Pani Baradier, przedstawiającej Marcelego, odpowiedziała ukłonem pełnym szacunku i swoim prześlicznym głosem, rzekła:

— Nie chciałam ztąd odejść, nie podziękowawszy pani za jej miłe przyjęcie. Dla panny de Tremont czuję wielką przyjaźń. Przez cały rok żyłyśmy razem. Od-

czuвам jej nieszczęście jak gdyby nam wspólne było... Wielka to ulga dla mnie, skoro nie mogę być z nią, wiedzieć, że jest u państwa, którzy ją kochacie... Spodziewam się, że pani pozwoli mówić jej czasem o mnie, ażeby nie zapomniała koleżanki i żeby trochę tej sympatji jaką ma dla mnie, przeszło i do serca pani...

Marceli był jeszcze pod urokiem tego głosu, kiedy jasne i głębokie spojrzenie na nim spoczęło. Odplacił jej spojrzeniem ciekawem i trochę śmiałem może, gdyż zaraz oczy dziewczyny pokryły się powiekami. Jednocześnie lekki rumieniec przeszedł po uśmiechniętej twarzy, która nagle spoważniała.

— Dziękuję pani za uczucie jakie wyraziłaś dla naszej kochanej Adeli i dla nas, rzekła pani Baradier. Niech pani będzie pewna, iż zostawimy jej zupełną wolność w wyborze przyjaźni.

Panna Lichtenbach ukloniła się wszystkim, a kiedy przechodziła koło Marcelego, ten się odezwał:

— Niech pani pozwoli żebym ją odprowadził.

Otworzył drzwi salonu, a biorąc okrycie, które młoda dziewczyna zostawiła w przedpokoju, zarzucił jej na ramiona. Potem towarzysząc jej, wobec zdumionych, matki i siostry, zszedł z nią ze schodów prowadzących na dziedziniec.

Tu ze swobodą i uprzejmością mówił idąc obok panny Lichtenbach:

— Smutno pani będzie w klasztorze po odjeździe panny de Tremont.

— Oh! Mam nadzieję, że Adela nie zapomni o mnie i przyjdzie czasem...

— Prawdopodobnie pani także nie długo pozostanie w Sacre-Coeur...

— Ja tak samo jak panna de Tremont, mam tylko ojca... Aniela w pani Baradier znajdzie matkę... A ja...

Nie dokończyła. Lecz Marceli zrozumiał myśl smutną: A ja, pozostanę opuszczona, jak byłam od dzieciństwa. Młodość moja upłynie w smutnych murach klasztornych, pod zimnym i prawidłowym dozorem zakonnic, bardzo dobrych, lecz niezdolnych otoczyć ciepłem uczuciem, którego potrzebuję do szczęścia. Przyjaciółka opuściła mnie, a z nią cała słodycz życia.

Marceli spojrział na młodą dziewczynę z zajęciem. Przyszli aż do karety, lokaj otwierał portjerę.

— Nie, pani, rzekł Marceli, bądź pewna, że Adela de Tremont nie zapomni o pani.

Utkwił oczy w twarzyczce panny Lichtenbach, która w pełnem świetle ulicy wyglądała skromna, delikatna i wykwinna, potem, kłaniając się, dodał ciszej:

— Nie sędzę, żeby pani należała do tych, o których się zapomina.

Panna Lichtenbach ukloniła się z uśmiechem, a siadając do karety, rzekła do służącego:

— Do domu!

Nie zamienili już ani słowa, podczas kiedy lokaj wskakiwał na kozioł i stangret zbierał lejce, Marceli z gołą głową na chodniku, patrzył przez okno karety na młodą dziewczynę, nieznaną przed godziną, a która wydała mu się skromna, naturalna i ładna.

Panna Lichtenbach spuściła głowę, lecz uśmiech z ust jej nie schodził.

Wracając do domu, Marceli mówił do siebie:

— Jeżeli ojciec jest łotrem, to wielka szkoda dla córki, bo ona jest zachwycająca. Wszelako córka nie odpowiada za to, co zrobił ojciec...

Wszedł do gabinetu ojca i dokończył w myśli:

— Wreszcie wszystko mi jedno... Więcej, niż prawdopodobnie, nie spotkamy się nigdy! Więc niech będzie sobie jaka chce...

Pomimo to nie mógł opędzić się myśli, że panna Lichtenbach, córka zdeklarowanego nieprzyjaciela Baradiera i Graffa, była osobistością niezwykłą, i nie przejdzie przez życie niespostrzeżona.

— Tyle uszanowania okazujesz tej małej osobce! rzekł Baradier, który czatował na jego powrót. Cóżbyś mógł więcej zrobić dla księżniczki?

— Nie prawdopodobnie, odpowiedział młody człowiek spokojnie.

— W każdym razie bądź łaskaw wytłumaczyć się, po co te demonstracje dla córki naszego wroga?

— Dlatego właśnie, że jest córką naszego wroga.

— Może to być rycerskie, lecz mnie wydaje się głupie.

— Czy masz zamiar, ojcze, mieszać kobiety do twoich kłótni?

— Chciałbym widzieć, w jaki sposób Lichtenbach obszedłby się z twoją matką i siostrą, jeżeliby kiedykolwiek znalazły się u niego.

— Miejmy nadzieję, że nigdy tego nie zobaczymy. Lecz z tego, że Lichtenbach, podług ciebie, byłby zdolny postąpić jak głupiec, czy wypada, żeby Baradier i Graff

znaleźli się jak ludzie źle wychowani? Zapytaj wuja, co o tem myśli...

— Ech! Twój wuj jest stary romantyk. A nie sentymentami walczyć można z takim łotrem jak Lichtenbach. Od godziny łamię sobie głowę, aby dojść powodu wkroczenia do nas jego córki... On to bowiem napewno przysłał ją z wizytą... Widocznie chciał nam zamydlić oczy demonstracją przyjazną względem panny de Tremont. Lecz właśnie to udawanie sympatji budzi czujność moją.. On! Lichtenbach jest w tej sprawie! Przyśiągłbym! Jego nienawiść, jego interes, wszystko go pechało! Lecz jak tego dowieść?

— Sądy zajęły się tą sprawą.

— Oh! Sądy! Czy odkrywają zbrodnie? A wiesz, co radca Barantin, luminarz trybunału kryminalnego, mówił mi niedawno? Na sto zbrodni niema dwudziestu pięciu, w których odkrywają prawdziwych winowajców. I to jeszcze przez nieostrożność tychże. Ludzie bogaci, potężni, chłodni, rachują dobrze, pewni są bezkarności.

— Kochany ojcze, jeżeli cała machina sądownicza w ruch puszczona, niezdolna jest ich pochwycić, z pomocą żandarmów, agentów, prokuratorów i sędziów. Jakże chcesz, żeby Baradier i Graff mogli to zrobić? Z niepodobieństwem trudno walczyć. Potrzeba trochę filozofii w życiu. Naprawimy zbrodnię spełnioną w miarę sił naszych: ty, opiekując się panną de Tremont, matka moja, kochając ją, a ja, zapewniając jej majątek, jaki obiecywał jej ojciec. Resztę zostawmy Bogu!

— Zostawmy Bogu! mruknął Baradier. Pamiętaj, co ci mówię, Marceli. Do nieporozumień pomiędzy Lich-

tenbachem i twoim wujem, Tremont był zamieszany, ja byłem zamieszany, twoja matka była zamieszana. Lichtenbach należy do tych ludzi mściwych, którzy każą płacić dzieciom za winy ojców... Tremonta zabili, przyjdzie kolej na nas wszystkich...

— Nie, mój ojciec, na żadnego z nas kolej nie przyjdzie, rzekł Marcelli z energją, bo przysięgam przed tobą, ojciec, na pierwszą groźbę, na najmniejsze usiłowanie, ja sam pójdę do Lichtenbacha i ureguluję wszystkie nasze z nim rachunki raz na zawsze.

Wuj Graff, świeżo ogolony, elegancko ubrany, wrócił do biura. Baradier dał znak milczenia synowi, i wszyscy trzej poszli do pani Baradier.

VI

W gabinecie szaro wybitym z wysokimi ciemnymi boazerjami, Elias Lichtenbach siedział przy szerokim biurku w stylu Ludwika XIV i rozmawiał pocichu, jakby bał się, żeby go nie usłyszano, z młodym księdzem, rozpartym niedbale w miękkim fotelu.

W świetle bladych promieni zachodzącego słońca wpadających oknem, złowrogo wyglądała siwiejąca, koścista głowa bankiera o żółtej twarzy starannie wygolonej, oczach na wierzchu i wargach wąskich.

Nie był to już różowy i pulchny Elias z lat dawnych. Trudy życia spędziły kwiat młodości z policzków, poorwały zmarszczkami czoło. Szczęki były zaw sze wydatne, lecz stwardniałe i chude, miały w sobie coś zwierzęcego.

Ręce obrosłe włosiem trzymał na biurku. Czarna mycka pokrywała łysę czoło bankiera.

Gościem jego był młody duchowny, elegancki, z przyjemną i rozumną twarzą. Mówił z lekkim południowym akcentem.

— Interes, mówił ksiądz, bardzo jest dobry. Grunta, które mamy na widoku, obecnie bez wartości, są to nieużytki i bagniska. Skoro je nabędziemy, zabierzemy się zaraz do budowania. Potrzeba na początek trzysta tysięcy franków...

— To nie przedstawia żadnej trudności, rzekł Lichtenbach, mam gotowych ludzi do pożyczania...

— Nie daleko szukając, prawda? rzekł młody ksiądz, spojrzawszy z ironią na szufladę bankiera.

— Nie, szanowny księże, wprawdzie nie daleko, lecz nie tu jednak... Ale wszystko jedno, chodzi tylko o to, żebym panu znalazł kapitały...

— Rzeczywiście, to najważniejsze. Nie chcemy jednak jak tylko z panem mieć do czynienia. Ci panowie nie każdemu ufają... Ciebie, biurku znają, to co innego...

— Ci panowie, jak zawsze, ze mną tylko będą mieli stosunki, rzekł Lichtenbach. Wiem, co im zawdzięczam. Znajdą mnie zawsze gotowym do usług.

— Tak tedy, jak tylko grunta będą zakupione i oddane do naszego rozporządzenia, zabieramy się do budowania i zarządzymy poszukiwania w ziemi pokładów mineralnych, o których pan mówiłem. Cena gruntu podniesie się odrazu; odprzeda pan małą część i tem zapłacimy wzgieszenie klasztoru naszego Zgromadzenia. Ale, ale, co o za ranny, którego przyjęto do nas, do

Issy, wczoraj? Bardzo źle było z biedakiem! Powoływał się na pana...

Elias zbladł i głosem stłumionym rzekł:

— Ciszej! na Boga!... Ciszej! Proszę pana... Niech nikt się nie domyśla.

— Ah! jak pan się zmieszał! Uspokój się... Przełożony i ja tylko, mówiliśmy z tym nieszczęśliwym... Wreszcie bardzo on mało mówił. Wyczerpany był tem, żeby się przywlec aż do naszych drzwi... Brat furtjan zawiadomił natychmiast przełożonego. Była czwarta godzina rano... cała konfraternia na Jutrznii... Nikt zatem nie widział jak wprowadzono rannego do bocznego pawilonu, położono do łóżka, poczem zaraz stracił przytomność.

— Kto go dogląda?

— Nasz przełożony, osobiście, który bardzo się zna i posiada dużo wiadomości lekarskich... Wreszcie ręka biedaka jest ucięta jak gdyby gorącym żelazem, trzeba było tylko obandażować... Ten człowiek okazał się bohaterem... Lecz obecnie ma pożerającą gorączkę, i mówi.

— Co on mówi?

— Oh! nadzwyczajne rzeczy a tak pomieszane... Obóz oszańcowany w Wogezach... proch wojenny nadzwyczajnej wartości... Idzie mu o zdjęcie planu z pierwszego i o wydostanie formuły drugiego.

— A nie wymienia nikogo?

— Kobietę, którą nazywa Sophia, to znów baronowa. Zasięga jej rady, gniewa się i dochodzi do tego, że ją znieważa... Zdaje się, że to jest jego spółniczka w jakiejś ciemnej robocie...

— Czy mówił co jaśniej?

— Nie... Niepodobna nic zrozumieć z tego co opowiada... Wreszcie tylko nasz przelożony i brat furtjan byli dziś przy nim... nie potrzebuje pan niczego się obawiać.

Eliasz westchnął z ulgą.

— Wiesz szanowny księże, iż dla siebie niczego się nie obawiam lecz dla innych... Jestem zaangażowany w wielkie przedsiębiorstwa międzynarodowe, wiesz o tem. A interesy złożone w moje ręce nietylko przedstawiają ogromne kapitały, lecz w dodatku życie wielu ludzi. Moją powinnością zatem jest być ostrożnym.

Młody ksiądz spoważniał.

— Niechcę nic wiedzieć, panie Lichtenbach. Wiesz, że ci panowie są francuzami i niczem więcej tylko francuzami. Wszystko co się dzieje za granicą, nie obchodzi ich wcale. Zachowaj dla siebie twoje tajemnice. Będziemy je szanować, ponieważ służysz nam... Lecz nie spodziewaj się żadnej pomocy w doprowadzeniu do skutku zamiarów, nie przyczyniających się do tryumfu sprawy, jakiej my jesteśmy oddani.

— Czy polecono panu abyś mi to powiedział? zapytał Eliasz.

— Nie, kochany Lichtenbach, polecono mi tylko rozmówić się z tobą w sprawie gruntów.

— Dziękuję, szanowny księże... Powiedz tym panom, iż pošlę zaraz jutro człowieka zaufanego do Grasse ażeby interes ukończył i nieupłynie miesiąc, a będziemy w posiadaniu tych gruntów.

— Dobrze.

Młody ksiądz wstał i rzekł niedbałym tonem :

— Ah ! zapomniałem... Czy pan słyszał o strasznej katastrofie w Vanves ? Od tego wybuchu całe Issy się trzęsło... Znałeś generała de Tremont ?

Lichtenbach zgarbił się, stał się prawie popielaty na twarzy i odpowiedział jękając się :

— Tak, znałem go dawniej.

— Był to, jak się zdaje, maniak niebezpieczny, bawiący się w doświadczenia chemiczne, które go o śmierć przyprowadziły... Osobistość podejrzaną moralności, wreszcie, jeżeli wierzyć pogłoskom, który pomimo późnego wieku, oddawał się rozpuście... Nie wielka szkoda dla społeczeństwa... Powiadają że został zamordowany i okradziony wpierw, nim dom jego wyleciał w powietrze. Oto na co wychodzi poszukiwanie prochu !... No, do widzenia, kochany Lichtenbach... Jak będziesz chciał widzieć się z rannym, dasz mi znać, zaprowadzę cię do niego w sekrecie.

Lichtenbach nie odpowiedział. Odprowadził swojego gościa z szacunkiem i uniżonością, aż na schody pałacu. Tu zgiął się, jak przed swoim zwierzchnikiem i mówił :

— Upewnij tych panów, proszę, szanowny księże, o mojem całkowitem oddaniu na ich usługi.

— Dobrze ! dobrze ! Oni są pewni tego, odparł młody ksiądz wesóło. I powoli zszedł z kamiennych schodów na ulicę.

Lichtenbach powrócił zamyślony do gabinetu.

Zmrok zapadł powoli. Na miejscu, które opuścił ksiądz, siedziała postać kobieca.

Głos świeży i dźwięczny przemówił:

— Ciemno jak w grobie u ciebie, Lichtenbach, wpuść trochę światła.

— Jakto, jesteś tu, baronowo? zawołał bankier.

— Tak, tylko co przybyłam. Czy to młody ksiądz d'Escayrac wyszedł od ciebie?

Lichtenbach zakręcił komulator elektryczny. Jasne światło, padające od sufitu, oświeciło młodą kobietę, którą Eliasza nazwał: Baronową.

Baronowa była młodą blondynką, bardzo piękną: dumny profil, oczy błękitne, czoło rozumne, usta małe, wargi czerwone lecz z wyrazem surowym. Ubrana była czarno, bardzo elegancko, w kapotce koronkowej, podnoszącej złoty odcień jej blond włosów. Nogi obute w lakierowane buciki, małe były i kształtne.

— Dawno jesteś u mnie? zapytał Eliasza.

— Nie; powiedziałam, że tylko co weszłam. Służący wprowadził mnie do salonu, czekałam aż twój gość odejdzie. Jednak bądź spokojny, nie słyszałam co do ciebie mówił.

— Oh! ja nie obawiam się ciebie, baronowo!

— Przeciwnie, obawiasz się, jak wszystkich ludzi wreszcie. To jest ostrożność. Chociaż ty nie masz czego bać się odemnie, tak samo jak ja od ciebie.

— Oh! baronowo, wiesz że jestem twoim duszą i ciałem! zawołał Lichtenbach.

— Tak, tak, i nie gniewałbyś się żeby tak było wzajemnie, prawda? przerwała młoda kobieta z szyderczym uśmiechem.

— Gdybyś jednak chciała, Sophia.

— Tak, ale ja nie chcę.

— I nigdy nie będziesz chciała?

— Kto to może wiedzieć? Jeżeli będę kiedy w trudnem położeniu, może przyjdę zapukać do twojej kasy. Dałbyś mi pieniędzy, Lichtenbach, gdybym potrzebowała?

Mówiąc patrzyła na bankiera szatańskim wzrokiem, ale bankier, jak tylko była mowa o pieniądzach, stawał się zaraz sobą.

Położył kościstą rękę na małej rączce ładnej kobiety i rzekł stanowczo:

— Dam, baronowo ile ci będzie potrzeba.

— Szerokie zobowiązanie. Strzeż się! A wreszcie, bądź spokojny. Nie przyszedł jeszcze czas.

— Ah! Sophia, jakaś ty straszna kobieta. Stworzona jesteś na zgubę ludzi.

— Ja? Straciłeś rozum, Lichtenbach. Czy widziałeś, żebym się kiedy kim zajęła, nie będąc zmuszona do tego interesem? I to ty mówisz takie głupstwa... Można by myśleć, że mnie nie znasz.

— Tak, znam ciebie dobrze. Znam nawet lepiej niż myślisz, są bowiem okresy w twojem życiu tak krótkiem jeszcze, a jednak tak zadziwiająco pełnem, które chowasz w cieniu, ale ja potrafiłem je przejrzeć. Jesteś bardzo zręczna, bardzo śmiała, bardzo chytra... Lecz ja jestem bardzo uparty i bardzo cierpliwy. Ozuje, co powinienem wiedzieć i mam sposoby po temu. Wiem zatem bardzo dobrze, że teraz jesteś baronową Grodsko. Lecz wiem także czem byłaś przedtem.

Z oczu Sophii błyskawica strzeliła, usta się ścia-

gnęły, nadając twarzy wyraz straszny. Spojrzała wyzywająco na Eliasza i odezwała się głosem oschłym:

— Ciekawa jestem usłyszeć, czegoś się o mnie dowiedział. Opowiedz, bankierze; jeżeli prawda, słowo honoru, przyznam się, jeżeli zaś fałsz, będziesz mógł odjąć pensję swoim informatorom. Skoro się trzyma płatnych szpiegów, trzeba wybierać ludzi inteligentnych pewnych.

— Moi nigdy mnie nie zawodzą... Kłamstwo nie leży w ich interesie.

— Zobaczymy. Zatem...

— Zatem, wpierw nim zostałam żoną barona Elmera Grodsko, szlacheica węgierskiego, który poróżnił się z rodziną, żeby z tobą się ożenić, tańczyłaś i śpiewałaś w teatrze w Belgradzie, w wędrowniej trupie dyrektora wołocha, który wielką wagę przywiązywał do twoich zdolności. Tam poznał cię baron Elmer, zakochał się i wykradł, zabiwszy wpierw wystrzałem z rewolweru dyrektora wołocha Escovisco, który gonił was ze sztyletem w ręce.

Młoda kobieta skrzywiła wargi i spojrzała z pogardą.

— To wszystko co wiesz? rzekła. Jak widzę dużo robisz hałasu o nic.

— Oh! poczekaj. Mogę cofnąć się dalej, jeżeli chcesz, i mówić o niezwyklej i tajemniczej śmierci pani de Ferranti, osoby miłosiernej, z Tryestu, która przygarnęła ciębie umierającą z nędzy na ulicy i wzięła do siebie. Miałaś lat szesnaście. Twoja opiekunka miała syna. W dniu śmierci matki, o której mówiono, że zo-

stała otruta, choć nie można było tego dowieść, młody Ferranti wyjechał z tobą, zabrawszy wszystką gotówkę, papiery wartościowe i klejnoty nieboszczki. Czy ty, czy on, które z was dało pani Ferranti filiżankę herbaty, po której wypiciu w łóżku nie wstała więcej?

— Oh! to nie on i nie ja. Stara służąca, która służyła w domu lat dwadzieścia. Wreszcie nie przyznała się, a że nie było dowodów ani przeciw niej, ani przeciw komukolwiekbaż, uwolniono ją.

— Ty zaś wyjechałaś do Wenecji z młodym Ferranti i prowadziłaś życie wesołe. Ah! młody człowiek w piękny sposób nosił żałobę po matce! Było to w Café Florian, na placu św. Marka, kiedy pewnego wieczora pijany, wszczął kłótnię z majorem austriackim, który nazajutrz, na Lido, przebił go szpadą.

— To prawda. Biedny Ferranti! Ładny był chłopiec, walca tańczył zachwycająco, lecz zanadto lubił absynt. To go zabiło, raczej niż szpada majora Brützelow... pięknego mężczyzny lecz głupiego jak jego szabla i tak samo niebezpiecznego... To on zmusił mnie do opuszczenia Wenecji, gdzie mi tak dobrze było! Nie wolno mi było przemówić do nikogo, zaraz go wyzywał.. Byłby pokaleczył całe miasto! Musiałam wyjechać.

— Policja austriacka także się trochę przyczyniła, prawda? Teraz jeszcze niewolno ci przebywać w Austrii?

— To ten głupiec Grodsko temu winien!

— A co z nim się dzieje, z tym najlepszym człowiekiem, który wpędził w grób matkę, dla twoich pięknych oczu?

— Najlepszy Grodsko jest w Wiedniu w zimie, w Monte-Carlo w lecie. A zimą i latem gra żeby się zerwać, a jak przegra, pije na pociechę.

— Przegrywa bezustannie?

— Dla tego pije ciągle.

— Oto już, jeżeli umiem rachować, kilka trupów na twojem sumieniu, piękna pani, nie mówiąc o rozpaczach, żałobie i hańbie, jaką pozostawiałaś za sobą. Życie masz bardzo zapełnione, choć do trzydziestu lat nie dobiegłaś jeszcze.

— Dwadzieścia ośm od tygodnia, poprawiła baronowa.

— Deptałaś po głowach ludzkich jak po dywanie, ażeby dojść do celu, którym był zbytek, przyjemności i chęć panowania. I oto dziś, jesteś świetniejsza, więcej kochana, więcej upragniona i wszechwładna niż kiedykolwiek, z silną wolą nie cofającą się przed niczem i z sumieniem naginającym się do wszystkiego. Czy to dokładne?

Spojrzała wyzywająco na Lichtenbacha, wyjęła z kieszeni srebrną papierośnicę, wzięła z niej papierosa, zapaliła z zupełnym spokojem i głosem słodkim odpowiedziała:

— Bardzo dokładne, choć niekompletne. Daleko straszniejsza jestem niż mówisz. Wiesz o tem dobrze, tylko obawiasz się mnie obrazić, malując taką, jaką jestem rzeczywiście. Ja tak pogardzam ludzkością, że nie możesz mnie dotknąć mówiąc, że gotowa jestem uważać ją jako towar, z którego korzyść ciągnę. Mężczyźni mają dla mnie tyle tylko interesu, ile bydlę na rzeź

prowadzone. Służą do wyżywienia mnie i z bogacenia; pracują i umierają. To ich funkcja, jak się zdaje, skoro nie mogą uniknąć przeznaczenia. Powiesz, że jestem niszczycielką... Być może. Są na świecie istoty stworzone do pracy, poświęcenia i cierpień, tak jak są znów stworzone do lenistwa, egoizmu i używania. Czy będziesz mi wyrzucał, że należę do tych ostatnich, kiedy ty sam jesteś z tych, co ludzkość strzygą? Podobniśmy do siebie, tylko, że ja mam odwagę przyznać się, a ty jesteś hipokrytą. Lecz oboje dążymy do jednego celu, którym jest wyzyskiwanie społeczeństwa dla naszej korzyści. Jeżeli to nie jest prawda, to zaprzecz, słucham.

Mówiła nie podnosząc głosu, spokojnie; te straszne teorie w pięknych ustach, taką sprzeczność stanowiły, że Lichtenbach, który nie miał złudzeń, co do swojej pięknej współpracownicy, zatrzęsł się wewnątrz. Nie miał skrupułów, ten handlarz wszelkim towarem, który zaczął od obdzierania swego kraju w godzinach nieszczęścia, i który szedł dalej spekulując na nędzy, wadach i podłości ludzkiej. Lecz miał przed sobą istotę śmielszą, gwałtowniejszą, jeżeli nie straszniejszą od siebie. I wazył w myśli, na jakie niebezpieczeństwa może go narażać i jakie korzyści przynieść. Wiedział do czego jest zdolna i bez potrzeby nie chciał się tak dalece angażować, jak ona. Bogaty był, potężny. Przedsięwzięcia baronowej Sophii, dostarczające jej najpewniejszych środków do życia, dla niego nie były korzystne. Inne są interesy człowieka, w przeddzień zostania deputo-

wanym, ministrem może, niż interesy kosmopolitki przemysłnej, robiącej pieniądze z krwi i błota.

Ochłódł zupełnie.

Dosyć głupstw nagadał z początku rozmowy.

Trzeba było umitygować zaufanie pięknej Sophii i dać jej do zrozumienia, że pomiędzy nimi stoi zapora utworzona z milionów i szacunku ludzkiego.

— Zważywszy wszystko, rzekł, moja kochana baronowo, jest prawda w tem coś mówiła, chociaż wyrażałaś się w formie nieco egzotycznej. Masz w sobie cynizm wschodni, szumny i deklamatorski. Wszystkie twoje przeknania mogą się streścić w kilku prostych słowach: Są na świecie głupi i mądrzy. Pierwsi wyzyskiwani przez drugich, pomimo nadzoru żandarmerji i kontroli prawa. W twojej teorii za mało rachujesz się z prawem i żandarmami... a radziłbym żebyś pod tym względem nie zanadto sobie ufała... gdyż pewnego dnia może cię spotkać straszne rozezarrowanie.

Zaśmiała się pogardliwie:

— Drobne ryby zostają w sieci, duże przedzierają oka i uchodzą. Ja sama tylko mogę sobie zaszkodzić... lecz nie myślę wcale o tem.

— W tej chwili, tak... Lecz miałaś także chwile słabości i niepokoju. Opowiadano mi, że przed dwoma laty w Londynie...

Sophia spochmurniała. Czoło jej przecięła zmarszczka, cisnęła papierosa w kominek i mówiła głosem zmienionym:

— Tak, robiłam głupstwa, kochałam się. A kobieta zakochana staje się tak niedorzeczną, jak mężczyzna.

— Był to aktor, jeżeli się nie mylę, piękny Stevensen...

— Tak, Richard Stevensen, rywal Irvinga...

— Kochałaś go szalenie, a on przekładał nad ciebie baletnicę z Alhambra. Otóż, pewnego wieczora znalazłaś sposób ściągnięcia tej dziewczyny na pokład jachtu, który wynajęłaś, a który stał na Tamizie. Od tej chwili nikt już nie widział ani nie słyszał o tej dziewczynie...

— Ah! znasz tę anegdotkę?... Tak, kochałam tego nędznika po mojemu... Skończyło się na szczęście, i teraz jestem spokojna.

Lichtenbach zaczął się śmiać.

— Spokojna! Ładny spokój! A co znaczy piękny Cezar Agostini?

— Oh! ten, to tylko zabawka... rozrywka... pomimo, że ma swoje zalety... Strzela z pistoletu i robi szpadą niezrównanie...

— To jest zbir poprostu.

— Do usług twoich, mój kochany, jeżeli masz kogoś co ci zawadza...

— Odważny?

— Przedewszystkiem pewny strzału... Spróbuj, będziesz z niego zadowolony...

Lichtenbach zmarszczył się, jak zawsze gdy poruszono niemiły mu przedmiot i rzekł z dumą:

— Dziękuję, nie pracuję w dramacie, komedja mi wystarcza.

— Tak ci się podoba mówić. Ty należysz jeszcze do tych co przygotowują zamach, każą go wykonać a potem mówią z niewinną miną: „Ja w tem palca nie umoczyłem!” Czyż nie tak było z katastrofą w Vanves?

Tym razem Eliaz się oburzył:

— Cicho! na miłość Boską, cicho! Co ci do głowy przyszło mówić o tem głośno? Czyż sami jesteśmy w domu?

— A widzisz, rzekła śmiejąc się. Bawisz mnie, doprawdy. Od godziny opowiadasz moje awanturki, nie troszcząc się czy kto usłyszy, a przerażasz się jak robię małą aluzję do twoich... Chcesz mnie skompromitować, ale siebie, broń Boże; prawda? Bardzoś grzeczny!

— Córnka moja jest w domu, a nie pragnę wcale...

— Żeby cię ujrzała w prawdziwym świetle. Gdyż ty jesteś łotr, ty, Lichtenbach, i to najgorszego gatunku, z tego, który pragnie zachować pozory nawet ze współnikami... Czy myślisz, że mam jakie co do ciebie iluzje? Twój jezuityzm nie robi na mnie wrażenia, znam cię na wylot. Niema szkaradniejszego nad ciebie człowieka. I tobie idzie o to, żeby uchodzić za cnotliwego!...

Lichtenbach blady ze strachu i złości, złożył ręce błagalnie:

— Baronowo! Doprawdy, chcesz mnie z cierpliwości wyprowadzić...

— Nie! To byłoby zanadto brzydkie! Zostań sobą, dobrym Lichtenbachem, szlachetnym Lichtenbachem. Widzisz, że jestem dla ciebie wykwintnie dobra. Mówię cicho jak szmer wiatru. Nachyl się, żebyś usłyszał.. Potrzebuję sto tysięcy franków, dziś wieczór, aby kazać porwać Hansa i przewieźć go do Genewy... Będzie mógł znieść podróż... Cezary pojechał go odwiedzić...

— Myślisz, że on to przeżyje? zapytał Lichtenbach.

— Tak. To ci nieprzyjemne? Wolałbyś pozbyć się

Hansa. Bądź spokojny, on prędzej język da sobie uciąć, zanim zdradzi współnika. Wreszcie, co ón wie? Że twoje interesy i nasze są te same, że gdyby był znalazł formuły prochu, byłbyś tak samo drogo za nie zapłacił dla przemysłu jak ten, dla kogo pracujemy, byłby zapłacił dla użytku wojennego? Nie udało się... Hans stracił rękę... Ale ty jesteś zabezpieczony od podejrzeń, dzięki mnie...

Patrzyła jakiś czas spokojnie na Eliasza i rzekła:

— Te sto tysięcy to zadatek.

— Zadatek?

— Tak. Nie bądź skąpy. Zabili ci generała de Tremont, którego nienawidziłeś. Ile dasz za Baradier i Graffa?

— Nie! nie! jęknął Lichtenbach. Co ty mówisz? Jakie ty mi zamiary poddajesz? Ja, miałbym nienawidzieć generała de Tremont, i chcieć śmierci Baradier i Graffa? Zdaje ci się poprostu... Zaprawdę to są moi nieprzyjaciele, dużo złego mi zrobili!... Lecz od tego do zbrodni... Oh! Nigdy! Nigdy! Gdyby poumierali, oh! uważałbym to za łaskę nieba, lecz przyspieszać ich zgon, o jeden dzień, o godzinę, o minutę, ja, Boże wszechmogący...

— Boże Abrahama, Jakóba i Mojżesza! Tak, mój dobry renegacie! Mój stary Eliaszk, mój zacny Lichtenbachu! mówiła baronowa z pogardą. Tak, przyjmiesz z ochotą łaskę Opatrzności, wcieloną dla ciebie w postać baronowej Grodsko, lecz nie chcesz żeby się wydało, iż jesteś czynnikiem ukrytym. Hipokryzja! Nie nie żadasz, ale przyjmujesz wszystko! A więc dobrze, twoje życzenia będą wysłuchane!

— Baronowo! W imię nieba, nie kompromituj mnie! nie rób nic bez instrukcji!

— Aha! przeraziłeś się... Przypominasz mi starego Tremonta, kiedy bawiłam się jego chemikaliami przy deserze... Bardzo był zakochany, zacny człowiek... Drżał o mnie: „Nie dotykaj tego, to śmierć!“ Przez ten czas próbowałam woskiem wziąć odcisk zamku u kuferka, który Hans potrafił otworzyć, lecz który mu tak pięknie rękę urwał... I na nic... Kuferek rozerwało i tajemnica przepadła w płomieniach... Lecz jest ktoś, co ma tę tajemnicę. Muszę ją odnaleźć... I jakimkolwiek bądź sposobem, a posiadę ją...

— Co ci za to obiecano?

Spojrzała na niego ze śmiechem.

— Bardzoś ciekawy. Bądź spokojny, sprawa warta trudu... Tymczasem, moje sto tysięcy franków, co?

Lichtenbach otworzył szufladę, wziął dziesięć paczek banknotów i podał baronowej.

— Oto są...

— Dziękuję. A teraz, Lichtenbach, co byś powiedział gdyby to młody Marceli Baradier posiadał formuły starego Tremonta?

Eliasz wyprostował się nagle.

— Co? Przypuszczasz, że on? Zkąd ta myśl?

— Ah! ah! kanibalu, poczułeś świeże mięso? Od-młodniałeś odrazu...

— Baronowo, umieram z niepokoja...

— Wyglądasz na to... Nigdy nie masz takich oczu, kiedy mówisz, że mnie uwielbiasz. Ah! nienawisć, Lichtenbach, to daleko silniejsze uczucie niż miłość!

Nie odpowiedział. Nie go nie obchodziło teraz, oprócz przypuszczenia jakie Sophia wynurzyła. Wszystko, co nie odnosiło się do tego faktu, że syn jego śmiertelnego wroga może jest w posiadaniu tajemnicy, tak gorąco poszukiwanej, nikło z przed jego oczu. Gdyby tak mogło być! Gdyby, przez odwet losu, znalazł sposobność zmiążdżenia tych, których z całych sił nienawidził, a jednocześnie, wydarcia im z rąk bogactw!...

Zwrócił się z większym zapalem do baronowej:

— Co pozwala przypuszczać, że generał zwierzył się Marcelemu Baradier?

— Najpierw, widywali się ciągle, młody człowiek miał wstęp do laboratorium, a była to łaska wyjątkowa. Pracował tam, wiem o tem, z Tremontem, który mu ufał... Wreszcie mówił to przy mnie. Gdyby, nie wiem jak mężczyzna był tajemniczy, zamknięty w sobie, dziki, przychodzi fatalna chwila, że otworzy serce. Generał nie byłby nigdy pozwolił mężczyźnie przeniknąć swoich zamiarów, choćby to był najlepszy przyjaciel... Podejrzliwy był jak lis... Lecz po obiedzie, z dobrem cygarem w ustach i kiedy patrzyłam na niego w pewien sposób, doznawał potrzeby olśnienia mnie, a że nie mógł ani młodością, ani pięknnością, więc chciał ująć mnie geniuszem swoim. W ten sposób, kilka razy wygadał się z małemi rzeczami, które, razem zebrane i uporządkowane w dobrej pamięci, utworzyły pewność...

— Więc nie wszystko byłoby stracone?

— Nie nigdy niema straconego!

— Co myślisz robić baronowo?

— Dowiesz się, jak będę ciebie potrzebowała...

— Nie ufasz mi?

— Dla czego miałabym ufać? Znam cię dobrze, mój kochany. Służyłbyś mi dotąd dopóki nie spostrzegłbyś, że korzystniej dla ciebie szkodzić mi...

— Ja?

— Ty, Elias Lichtenbach, lecz wszystko mi jedno. Mam cię w ręku.

— Spodziewasz się, że ci się uda?

— Ja zawsze się spodziewam. Spójrz na mnie, jeżeli łaska.

Przechyliła w tył głowę z wdziękiem rozkosznym, który uwydatniał giętkość kibici i pyszne kształty biustu. Uśmiechnęła się, a oczy jej, usta, cała twarz tchnęła wdziękiem nieprzepartym. Któżby nie pokochał, nie zapragnął tej istoty upajającej? Ktoby zdołał jej się oprzeć? Znała całą rozciągłość swojej władzy. Na jedno jej skinienie mężczyźni zmieniali się w niewolników. Ona była czarodziejką, która budziła namiętności i prowadziła ludzi do hańby i zbrodni.

— Tak, zrobisz wszystko co przedsięweźmiesz! mruknął Lichtenbach oczarowany.

— Bez przesady! Nie jestem niewyciężona, widziałeś, ponieważ Tremont mi się wymknął. Lecz wszystko co istota ludzka może zrobić dla dojścia do celu, ja zrobię... Ufaj zatem i bądź spokojny.

Turkot powozu pod sklepieniem bramy zwiastował powrót panny Lichtenbach.

— Moja córka powraca, rzekł bankier.

— To ona teraz w domu?

— Pragnęła być na pogrzebie generała Tremont. Z córką jego jest w przyjaźni.

Uśmiech wystąpił na usta baronowej.

— Traf, czy przezorność?

— Traf, rzekł Lichtenbach chłodno... Były razem w Sacré-Coeur.. Podobały się sobie.

— A teraz, kiedy jesteś uprzedzony, pozwalasz na tę przyjaźń?

— Nie sprzeciwiam się nigdy mojej córce.

— Prawda. Zapomniałam: jesteś dobrym ojcem, ty, Lichtenbach. Ostatnie to twoje ustępstwo dla ludzkości. I tem jeszcze chcesz zamydlić oczy... Strzeż się!

— Moja córka to anioł, który modli się za mnie. Niczego się nie obawiam. Ona posiada rozum, słodycz i wdzięk swojej matki.

— I wierzy, że jesteś dobry, zacny i uczciwy ojciec rodziny. Gdyby jej oczy otworzono na twoje prawdziwe postęпки.

Eliasz zerwał się groźny.

— Ktoby mógł to zrobić?

— Jeden z twoich nieprzyjaciół. Masz ich dużo... Jeden z twoich przyjaciół może... Ludzie są tak źli...

— Biada takiemu, rzekł Lichtenbach ponuro, drogoby zapłacił za swoją odwagę...

Baronowa wstała, przeszła się po pokoju, jak gdyby niezdecydowana, w końcu zapytała:

— Zanim odejdę, czy mogę widzieć się z panną Lichtenbach?

Bankier spojrzał na nią i rzekł cierpko:

— Nie.

— Dla czego?

— Bo to niepotrzebne.

— Obawiasz się, żebym jej nie zepsuła kilkoma słowami?

— Może...

— Brawo! Przynajmniej jesteś szczery.

Lichtenbach wyprostował się w całej swojej wysokości i oddając w kilku słowach wszystkie zniewagi jakich nasłuchiwał się od niej przez godzinę, rzekł:

— Panna Lichtenbach nie może mieć nic wspólnego z baronową Grodsko.

Sophia skinęła ręką niedbale.

— Bardzo dobrze! Każdy ma swoje zdanie... Do widzenia, Lichtenbach.

Skierowała się do przedpokoju.

Bankier ją zatrzymał.

— Nie tędy...

Otworzył drzwi ukryte w obiciu.

— Zejdź tymi schodami. Nie spotkasz nikogo.

— Niema tam zasadzki? zapytała ze śmiechem.

— Nie, jest tylko łoża odźwiernego.

— Żegnam. Bez gniewu, prawda?

— Tegoby tylko brakowało. Masz przy sobie za sto tysięcy franków pobłażania! Do widzenia.

Znikła w drzwiach.

Lichtenbach powrócił zamyślony do biurka. Ta kobieta, niebezpiecznie przewrotna, niepokoiła go zawsze, choć znał ją tak dobrze.

Dyskretne zapukanie w drzwi wyrwało go z zamyślenia. Poszedł otworzyć i twarz mu się rozjaśniła.

To córka przyszła do niego.

— Nie przeszkadzam, ojcze? rzekła z trochę niepokojem.

— Nie, pieśczoćko, nigdy. Jakże udała się twoja wizyta?

— Bardzo... Poznałam ludzi takich dobrych!...

Lichtenbach nie wymówił ani słowa, tylko spuścił oczy. Nie chciał, żeby córka pochwyciła ich wyraz.

— Adela jest bardzo szczęśliwa, w swoim nieszczęściu, że znalazła takich oddanych przyjaciół. Pani Baradier wydała mi się niezrównanie dobrą, zatrzyma u siebie tę biedną, kochaną dziewczynkę. I chociaż przykro mi, że się z nią rozłączę, lecz z drugiej strony cieszę się, widząc, że jest w tak serdecznem otoczeniu. Odżyje tam biedactwo...

— Dobra jesteś, moja droga Marjo.

— Takie straszne nieszczęście dotknęło Adelę! Cóż okropniejszego może spotkać dziecko nad stratę rodziców? A kiedy, jak ona i ja, nie ma się już matki...

Głos dziewczyny zadrżał, w oczach łzy zaświeciły.

Lichtenbach zbladł, lecz ciągle trzymał oczy spuszczone.

— Właśnie ta wspólność losu zbliżyła nas odrazu, a wspólność smutku stała się źródłem naszej przyjaźni. Zdawało się nam, że będąc mniej kochane niż inne, powinnyśmy się obydwie więcej kochać. Ona tak samo jak ja kochała ojca swojego. To był znakomity uczonec... Znałeś go, ojcze?

Trzeba było odpowiedzieć. Eliasza mówił głosem drgającym:

— Nie. Słyszałem tylko o nim.

— Był serdecznym przyjacielem pana Baradier i ojcem chrzestnym Marcelego. Opłakują jego stratę wszyscy...

Spuszczone powieki Lichtenbacha podniosły się nagle pytająco na córkę.

— Kto ci to wszystko opowiedział?

— Panna Baradier i Adela.

— Rozmawiałaś z panną Baradier?

— I z jej matką.

— I może z synem także?

Gorycz w głosie i zapytania Lichtenbacha zmieszaly Marję. Odpowiedziała też ze zdziwieniem.

— Ależ, ojcze, zapewniam cię, wszyscy byli tacy grzeczni dla mnie... Pan Marceli Baradier odprowadził aż do drzwi, pomógł wsiąść do karety... Czyż to nie jest naturalnem?

— Tak, tak, zupełnie naturalne. Lecz powtórz wszystko co tam mówili... Czy mówiono także o mnie?

— Ani razu twego nazwiska nawet nie wspomniano. Zadziwiło mnie to, gdyż rodzina Baradier musi znać ciebie... Mieszkaliście przedtem w jednym mieście...

— Tak, mieszkaliśmy w jednym mieście... i razem je opuściliśmy... Lecz nie jednemi drogami chodziliśmy... Muszę ci bowiem powiedzieć, że nie byliśmy w zgodzie... Pomiedzy moim ojcem i Graffami były ciągłe zatargi. A Graff jest szwagrem Baradiera...

— Wszystko takie dawne, że pewnie poszło w zapomnienie.

— Nie, moja córko, rzekł Elias z powagą, nie się nie zapomina.

— Czyż byłbyś źle usposobiony dla przyjaciół Adeli?

— Gdyby tak było, czy pozwoliłbym tobie jechać do nich?

— Więc to oni są nieżyczliwi? Tyś taki dobry, że z pewnością niesprawiedliwie. Jest jakieś nieporozumienie pomiędzy wami, nie znacie się dobrze...

— Przeciwnie, moje dziecko. Znamy się bardzo dobrze, i zawsze żyliśmy w niezgodzie. Jesteś już dorosła i powinnaś wiedzieć, co życie chowa dla ciebie. Otóż ze strony Baradiera i Graffa nie możesz spodziewać się żadnej życzliwości. Strzeż się, ile razy spotkasz się z nimi. Wolę dziś wszystko powiedzieć, ażebyś kiedyś nie wyrzucała mi, że kryłem przed tobą prawdę, że pozwoliłem ci wejść do domu, gdzie przyjęto pannę de Tremont. Twój dziad, Lichtenbach, dużo przez nich ucierpiał. Był to zacny człowiek, któremu ciężko szło z początku. Oni go upokarzali, dokuczali mu... Na mnie samego, biednego początkującego kupca, jakież oszczerstwa ciskali!... Lecz ja ich prześcignąłem i kazałem zapłacić drogo za dumę okazywaną staremu Lichtenbachowi. Wszystkie to działo się jeszcze w Lotaryngii, ciebie nie było na świecie. Widzisz, że to nie wczorajsze... Lecz taka dawna nienawiść zostawia w sercu fermenty... To co odnosi się do dzieciństwa, pozostaje wyryte w pamięci. Baradier i Graff przenieśli się do Paryża, ja także, trochę później... Życie nas rozłączyło... a jednak nigdy o sobie nie zapomnieliśmy. Baradier i Graff są dla Lichtenbachów wrogami dzie-

dziecznymi. Pamiętaj, moje dziecko, i w każdej okoliczności stosuj się do tego.

Marja patrzyła na ojca zaniepokojona.

— Czy chcesz żebym przejęła twoje nienawiści?

— Niech Bóg broni! Zanadto cię kocham, abym chciał mieć twój spokój, i zrobię wszystko żeby cię ustrzedz od cierpień. Otworzyłem ci tylko oczy, trzeba bowiem abyś umiała rozróżnić w danej chwili przyczyny niektórych wypadków i znaczenie słów pewnych... Zostaw mi staranie o twój spokój i szczęście.

— Czy nie będę mogła widywać Adeli?

— Dla czego? Jeżeli ty nie pojedziesz do niej, któż jej broni przyjechać do ciebie?

— Ja będę w klasztorze...

— Nie ciągle przecie...

Młoda dziewczyna spojrzała na ojca z wyrazem prośby w oczach.

— Ah! gdybyś zostawił mnie przy sobie!

Twarz Eliasza rozjaśnił wyraz radości.

— Cóż będziesz tu robiła? zapytał z czułością.

— Zajmę się domem. Twoje gospodarstwo prawdę powiedziawszy, potrzebuje starania. Kobieta nie pozwoli, aby ten wspaniały dom wyglądał zimny i opuszczony. Małym kosztem można urządzić doskonale mieszkanie, abyś miał wygodę i przyjemność. W dodatku, zajmiesz się już tylko twojami interesami i zobaczysz jak wszystko lepiej pójdzie... To nie jest zadaniem mężczyzny rządzić służbą... Czy nie będziesz zadowolony mając przy sobie czujne przywiązanie córki? Mam lat ośmnaście, nie wiedzą już czego mnie uczyć w klasztorze.

I to ja nie długo będę dawać lekcje uczennicom... Czy na to się urodziłam, aby być korepetytorką w Sacré-Coeur? Masz córkę nie dla innych a dla siebie. Dla czego się jej pozbawiasz?

Objęła go, ścisnęła, a dusza Eliasza rozgrzewała się od tych pieszczot. Ten człowiek twardy, gorzki, okrutny, pod spojrzeniem córki odnajdywał uczucia szlachetne. Westchnął:

— Czy dobrze zrobię, słuchając ciebie. Trzeba być samym, żeby iść przez życie silnie i ze spokojem.

— Czego się obawiasz? Słuchając cię, możnaby myśleć że jesteś w ciągłej wojnie z nieprzyjaciółmi, którzy na ciebie czyhają. Czyż życie tak pełne niebezpieczeństw?

Eliasz uśmiechnął się.

— Dla umysłów niewinnych nigdy niema nic groźnego. One nie widzą. Dla bystrych spostrzegaczy wszystko jest niebezpiecznem i niepokojacem. Lecz ty nie obawiaj się niczego. Przy mnie jesteś bezpieczna i skoro pragniesz zostać w domu, który jest twoim, zostań kochane dziecko. Obecność twoja będzie radością mojej starości.

Wyciągnął ręce, ona rzuciła się z okrzykiem wdzięczności i przytuliła do piersi ojcowskiej.

Lichtenbach, zawstydzony nieco swoim rozczeniem, otrząsnął się i rzekł:

— A więc postanowione. Poślę po twoje rzeczy do klasztoru, a ty urządzisz się zaraz od dziś...

— Oh! kochany ojcze, nie warto ich zabierać... Siostry rozporządzają niemi dla biednych... Są tam tylko

małe pamiątki osobiste, do których jestem przywiązana... Dasz mi pieniędzy, prawda? żebym mogła zostawić na jałmużny dobrym kobietom, które mnie wychowały.

— Ależ ty jesteś bogata, pieszczoto moja — rzekł Eliasz z uśmiechem. Majątek twojej matki jest twoim, a ja go pomnożyłem!... I zdam ci rachunki...

Marja przysunęła się, wspięła na palce do twarzy ojca i ucałowała czule, mówiąc:

— Oto jest pokwitowanie.

V

W gabinecie, obitym zieloną materją, zastawionym meblami z ciemnego dębu, z oknem wychodzącym na bulwar, piękny pan Mayeur, sędzia śledczy, siedział przed kominkiem, podczas kiedy jego pisarz ziewał przy stoliku, kończąc spisywać badanie jednego z agentów, mającego polecone śledztwo w sprawie w Vanves.

Pan Mayeur bardzo był znudzony.

Obdarzony zaufaniem sądu, wyznaczony do spraw sensacyjnych, miał zwyczaj robić wrażenie, nie zadając sobie dużo trudu.

Rezultaty otrzymywał świetne, jak gdyby czarodziejskim sposobem.

Zdawało się, że traf jest jego współpracownikiem. Wymieniano go jako najszcześliwszego z sędziów śledczych. Przyzwyczaił się też do swego szczęścia.

Kiedy oddano mu sprawę z Vanves, uśmiechnął się z zaufaniem w siebie, a pisarz jego zatarł ręce z politowaniem dla winnych.

— Jeszcze jedni biedacy, z którymi nie długo będzie się ciągnęło!

Otóż ciągnęło się... Od ośmiu dni pan Mayeur poruszał wszystkie sprężyny, wysyłał policjanta za policjantem, wzywał świadków... I nie dochodził do niczego. Obracał się, według jego wyrażenia — w gęstej mgie, i nie mógł z niej wyjść...

Co wieczór prokurator go wzywał i układając swoje papiery, pytał z miną przebiegłą:

— No cóż, Mayeur, gdzież tam jesteście?

A sędzia, przywykły do powodzenia, musiał odpowiadać:

— Panie prokuratorze, szukamy ciągle, nic jeszcze nie znalazłszy.

— Ah! do dyabła! Tydzień już upłynął od zamachu... Zmieniło się twoje szczęście. Zbrodnia świeża, łatwiejsza do odkrycia. W miarę jak czas upływa, wchodzi się na fałszywe ślady, instynkt słabnie... Ah! źle!... Spodziewałem się po tobie prędszego rezultatu! Zwykle lepsze miewasz natchnienia.

— Ależ, panie prokuratorze, w tej przeklętej sprawie niczego dojść nie można, żadnej poszlaki.

— Jakto, żadnej poszlaki? Masz trupa ofiary, dom w ruinie, i rękę uciętą, rękę zabójcy... Cóż robisz z tą ręką? Przecież to jest nic, po której wszystkiego dojść można!

— Obecnie ręka jest w aparacie zamrażającym, mruknął pan Mayeur, oto jaka z niej pociecha. Lecz trup, dom, ręka, wszystko coś pan wyliczył, to są dowody, nie nie dające... Można by powiedzieć, że duch

złośliwy przeszedł tamtędy, przyniósł śmierć i zniszczenie, zostawiwszy pustkę po za sobą... Doprawdy, oszaleć można.

— Powoli, Mayeur, dużo jest takich wypadków, rzekł prokurator z uśmiechem. Bądź tylko wytrwały. Ah! ciębie popsulo powodzenie... Lecz nie trać odwagi. Jedna chwila wystarczy czasem do odkrycia prawdy.

Najbardziej dręczyło Mayeura to, że zdawał sobie sprawę z przyjemności ukrytej, jaką sprawiało kolegom jego niepowodzenie. Czuł, że awans na radcę tak blizki przed tą obrzydliwą sprawą w Vanves, oddalał się widocznie. I siedząc w swoim gabinecie, tyłem do okna, z głową zwróconą do kominka, podczas kiedy jego pisarz psuł sobie szczęki poziewaniem, pan Mayeur, dla zaspokojenia sumienia, wypytywał głosem niedbłym jednego z agentów, wysłanego na poszukiwania, a który powracał zawsze z niczem:

— I ani w kamieniołamach, ani w ogrodach, ani na drodze do Paryża, żadnej wskazówki, żadnego śladu przejścia człowieka rannego?

— Nie, panie sędzio. Przetrząsnąłem wszystkie karczmy, do których chodzą kamieniarze i ogrodnicy z okolic Paryża. Od nikogo objaśnienia... Ohyba, że morderca zginął w katastrofie...

— Nie! Ponieważ jest ślad jego aż do trzystu kroków od posiadłości Tremonta, a tam, na skraju pola, ślad krwawy bardzo nawet widoczny, który naraz zginął... Czy w tem miejscu znalazł on współników, którzy na niego czekali? Czy go unieśli? I jak? Tu zawsze ciemność nie przenikniona.

— Sprawcy zbrodni to nie złoczyńcy z profesji, choć obrali generała z kosztowności jakie miał przy sobie... A więc nie w naszej klienteli trzeba ich szukać. Ztąd cała trudność pochodzi...

Sędzia skrzywił się z niezadowoleniem jakby dla pokazania, że wiedział o tem dobrze. Szarpał blond brodę, kręcił wąsy i wzdychał.

W końcu rzekł do agenta:

— Odejdź i przyślij mi służącego generała, Baudouina, którego znów wezwałem...

Agent wyszedł a za chwilę drzwi się otworzyły i ukazała się rezolutna i sprytna twarz ordynansa. Był on już w przyjaźni z pisarzem, który skinął mu głową uprzejmie.

Sędzia zły i ponury, zaczął:

— Panie Baudouin, usiądź, proszę. Trudziłem cię raz jeszcze, aby wyjaśnić niektóre szczegóły, niezrozumiałe dotąd...

— Panie sędzio, będę się trudził ile razy każesz, i bez żalu, skoro chodzi o mojego generała. Ah! gdybym mógł pomódz skutecznie w pańskim zadaniu, byłbym bardzo szczęśliwy!

Sędzia strzepnął krawat z miną niezadowoloną. W jaki sposób ten służący może rozjaśnić sprawę, której jemu, Mayeurowi, nie udało się rozwikłać?

Wreszcie tak był już nieszczęśliwy, iż musiał znosić politowanie świadków.

Pisarz wydawał się bardzo rad z upokorzenia swego naczelnika.

Doprawdy, oddawna już nużyła go strasznie zaro-

zumiałość sędziego! Małe upokorzenie uczyni go mniej pewnym siebie i lepiej będzie się obchodził ze swoim podwładnym, którego uważał zawsze za niedołęgę. Wściekaj się, kochanku, wściekaj! To nie popchnie naprzód śledztwa. I pisarz jeszcze raz ziewnął desperacko.

— Czy kobieta, którą widziałeś wysiadającą z karety przed bramą willi, w wieczór spełnionej zbrodni, była wysoka czy mała?

— Raczej wysoka. Lecz okrywał ją płaszcz szeroki, trudno mi zatem powiedzieć dokładnie. Wydała mi się smukła i zręczna, po sposobie wysiadania z karety.

— A jej towarzysz?

— Oh! jej towarzysz, tego widziałem dokładnie. Mężczyzna silnie zbudowany, z gęstą brodą, jasną płcią, powierzchowności grubiańskiej. Kapelusz filcowy szary i garnitur ciemny. Mówił akcentem cudzoziemskim, i...

— Przypuszczasz, że to ten sam, którego pan twój nazywał Hansem? przerwał sędzia.

— Nie mógł być kto inny. Generał nie przyjmował nikogo, z wyjątkiem przyjaciół: panów Baradier i Graffa... Ci co przyjeżdżali te kilkanaście razy, musieli być szczerwane lisy, kiedy mój pan nie pozwalał zostawać mi przy sobie.

— Czemu przypisujesz te ostrożności generała de Tremont, że cię zawsze z domu wyprawiał?

— Tej pewności jaką miał, że ja przewąchuję intrygi pani i jej akolity...

— Podług ciebie tedy, intryga kobieca jest podstawą całej sprawy?

— Na pozór, tak.

— A w rzeczywistości?

— Chciano skraść generałowi proceder fabrykacji nowych prochów...

— Kobieta zatem byłaby tylko pośredniczką?

— Pośredniczką, nie. Wiedziano doskonale, że generał nie zgodzi się nigdy na handel... Przynętą... tak. Nie widziałem kobiety, lecz ją czułem... Po każdej bytności zostawiała w gabinecie generała woń dziwnie słodką i upajającą... Oh! ten zapach poznałbym wszędzie!... A głos kobiety, tak samo pieszczotliwy i upajający, jak ich zapach!... Ah! biedny mój pan generał! Skoro miała przybyć, ta złodziejka, ledwie żył z niepokoju, czerwone plamy na twarz mu występowały. Czuć było, że nie może doczekać się chwili, kiedy będzie ją mieć przy sobie... Wiedziała o tem... Znała swoją władzę. Kiedy przyjechała ostatnim razem, i kiedy generał wyraził jej swoje szczęście, że ją widzi po tak długim oczekiwaniu i obawę, że nie dotrzyma może obietnicy, trzeba było słyszeć jak odpowiedziała: „Czy wątpiłeś o tem, generale?“ podczas kiedy porwał ją na ręce jak uwielbianą kochankę. Panie sędzio, ta kobieta zdolna była do wszystkiego: zawrócić głowę uczciwemu człowiekowi z gorącym sercem, jak mój pan, zadać mu trucizny spojrzeniem i uśmiechem, tak samo jak kazać go zabić z zimną krwią, dla powodu, którego nie znam... A ten mężczyzna, Hans, to był tylko agent wykonawczy... Wykształcony, ponieważ generał liczył się z jego zdaniem i mógł z nim rozwawiać o swoich wynalazkach, lecz nie był z tego samego sta-

nowiska towarzyskiego co jego współpracownika... On był osobistością pospolitą, ordynarną nawet. I trzeba było całego uroku kobiety, żeby go przyjął pan de Tremont, który był arystokratą.

— Nie miałeś nigdy sposobności dowiedzenia się, przez kucharkę, która zostawała w domu, co się działo po twojem odejściu?

— Zaczyna ta dziewczyna była bardzo ograniczoną. Po za obrębem kuchni, nie można było nic z niej wydobyć. Dla tego też pan de Tremont nie wystrzegał się jej... Jednak, kilka razy, widziała tę kobietę i mówiła, że była cudownie piękną... Młoda, blondynka, oczy pyszne, na zgubę jej duszy i zgubę duszy innych ludzi... Mówiła z generałem językiem cudzoziemskim. A generał umiał tylko po włosku i po angielsku...

— A czy kucharka w obejściu generała i tej kobiety nie spostrzegła wskazówek bliższego stosunku?...

— Ah! panie, generał kochał nieznajomą, jestem tego najpewniejszy!...

— Pan twój był bogaty?

— Nie, panie sędzio, bardzo skromne miał utrzymanie: około dwudziestu tysięcy franków renty. Lecz jego wynalazki warte były złota... Na te wynalazki kobieta polowała... I podczas kiedy ona była w pokoju generała, wspólnik szperał prawdopodobnie w papierach i plądrował w laboratorium...

— Nie znalazłeś nigdy żadnego papieru, na którym byłyby ślady stosunków generała z tą kobietą?

— Nigdy.

— Gdzie się podziewały depesze, zapowiadające generałowi przybycie jego gości?

— Generał sam je palił, widziałem. Ah! wszelkie ostrożności przedsiębrał ten uczciwy człowiek, żeby nie skompromitować swojej pięknej baronowej... Bóg jeden wie jak on ją uwielbiał! Drżał jak uczeń na myśl, że ją ujrzy!

— A jednak nie powierzył jej tajemnicy swoich wynalazków.

Twarz Baudouina spoważniała.

— Ah! bo on swoją tajemnicę chował dla Francji. Słyszałem jak mówił nieraz skoro mu się jakie doświadczenie udało: „Baudouin, mój zuchu, jak nasza artylerja będzie posiadała ten proch, nie będziemy się już nikogo obawiali“. Zaprawdę, generał kochał namiętnie tę kobietę, lecz jeszcze więcej kraj swój kochał. Pomiedzy nią i krajem nie byłby się wahał. Wreszcie, to jest napewno powód, dla którego zginął. Nie mogli otrzymać od niego tajemnicy dobrym sposobem, wtedy spróbowano zabrać mu ją gwałtem.

Pisarz już nie poziewał. Słuchał Baudouina z zajęciem, pisząc jego słowa. Redagował je ogólnikowo, gdyż po raz trzeci już jasnowłosy i elegancki pan Mayeur kazał powtarzać sobie te rzeczy ordynansowi generała, jak gdyby spodziewał się w słowach na nowo słyszanych, odkryć choć odrobinę prawdy.

A zawsze ta intryga miłosna, pokrywająca zbrodnicze usiłowania, których doniosłości nie udawało mu się pochwycić.

Sprawa polityki międzynarodowej? Szpiegostwo?

Lub poprostu zuchwałe przedsięwzięcie zdobycia produktu wielkiej wartości dla przemysłu? Lecz nad jakąkolwiek zatrzymał się hipotezą, wszędzie ciemność, nieświadomość szczegółów, tajemnica nieprzenikniona, na którą się wściekał, i która skompromitować mogła jego karierę.

— Tak, przestępcy dobrze się zabezpieczyli... Generał nie żyje, służąca nie żyje, a ciebie wysłano z domu... Człowiek z uciętą ręką znikł, jak gdyby w ziemię się zapadł. A nieznajoma kobieta śmieje się z naszych poszukiwań.

Baudouin pokręcił głową.

— Panie sędzio, dopóki będą próbować odnaleźć ją, ona się schowa... i nie nie odkryją. Gdyby sprawa do mnie należała, wiem co bym zrobił.

Pan Mayeur w swoim strapieniu, spojrział ciekawie na dzielnego ordynansa.

Wtedy, kiedy on nie wiedział co robić, jakiego fortelu użyć, on, sędzia śledczy, znany z obfitości pomysłów, jeden oto prosty świadek usiłował zrozumieć położenie i wskazywać jak można wyjść z niego. Gotów był spiorunować go pogardą i wyższością, i dać mu do zrozumienia, aby nie mieszał się do tego, co do niego nie należy.

Następnie zastanowił się, iż rada może się przydać i że zawsze będzie czas nią pogardzić.

Powiedział też tonem żartobliwym, ażeby zachować swoją powagę:

— A cóżbyś zrobił, proszę cię, panie Baudouin?

— Na moją ucziwość, panie sędzio, proszę pana

o przebaczenie. Może powiem głupstwo... Lecz gdybym dyrygował śledztwem, zamiast puszczać w ruch policję na wszystkie strony, zasięgać wiadomości od wojskowych i cywilnych, siedziałbym cicho. Rozpuściłbym pogłoskę, że zaprzestaje śledztwa i zająłbym się czem innym... Wie pan zapewne co się dzieje w śpichrzu gdzie są myszy, kiedy się wchodzi. Na pierwszy szmer wszystkie uciekają do nory... Jeżeli ten co wszedł nie rusza się z miejsca, po chwili myszy rozpoczynają swoje harce, jak było przedtem... Otóż myślę, że byłoby tak samo z tymi, których poszukujemy. Przepraszam jeżeli mieszam się w pańskie sprawy, lecz w tej okoliczności, o mało djabli mnie nie biorą, żeby znaleźć łotrów, którzy zabili mojego pana, i jeżelibym mógł przyczynić się do ich ujęcia, to będzie najpiękniejszy dzień w mojem życiu.

Pan Mayeur nie patrzył już z pogardą na sługę generała.

Uśmiechał się do niego przyjemnie.

Baudouin w jednej sekundzie podał mu sposób korzystnego wyjścia z tej przekłetej sprawy.

Skoro prokurator powie mu wieczorem, szyderczym tonem jak zwykle: „No cóż, kochany Mayeur, jakże tam stoi śledztwo? Ciagle nic i nic?“ Zamiast odpowiedzieć: „Nie rzeczywiście, panie prokuratorze“, przynajmniej się w ten sposób nietylko do niemożności wysledzenia, ale i do braku kombinacji w poszukiwaniach, on teraz odpowie: „Sprawa ta była źle prowadzona od początku, zamierzam podjąć ją „ab ovo.“ Mamy do czynienia z ludźmi nadzwyczaj zręcznymi. Postanawiam

działać inaczej zupełnie". Tym razem nie będzie wyglądał na niezdolnego, któremu powierzono rzecz za trudną na jego słabe zdolności. Zabezpieczał sobie odwrót i zyskiwał na czasie.

Zrobił się napowrót poważny i zarozumiały.

— Zawsze będzie dość czasu na przyjęcie takiego systemu. Lecz mam jeszcze do rozporządzenia dużo innych środków rozświecenia tej sprawy.

Pisarz jego, z piórem w ustach, nie robił sobie subjeckji i śmiał się otwarcie. Oh! Mayeur, ten, to szczęściarz... Kiedy już nie miał jednej dobrej myśli w głowie, kiedy przestępcy sztydzili z niego, a on nie o nich nie wiedział, on jeszcze wmawiał w drugich, że „rozświecili sprawę". Nie! To można umrzeć ze śmiechu! Mrugnął okiem do Baudouina i trącił głośno pulpitem.

Pan Mayeur, jak gdyby domyślił się skrytej niechęci swego podwładnego, rzekł do niego:

— Zobacz pan, proszę, czy pan pułkownik Vallenot przyjechał z ministerjum wojny.

Pisarz przeciągnął się, pokazał papierośnicę Baudouinowi z miną, która znaczyła: wypalę papieroska, i wyszedł.

Pan Mayeur podniósł się, zamknął za nim drzwi na klucz i wrócił do Baudouina:

— Chciałem, żebyśmy byli sami dla pomówienia o przedmiocie, który mnie zajmuje. Najmniejsza niedyskrecja w tak delikatnej sprawie, wszystko może zepsuć. Dafeś mi przed chwilą radę, być może bardzo dobrą. Lecz nie odkryłeś mi głębi twej myśli. Lepiej

— Jesteś poinformowany, niż dotąd mi się zdawało. Może to są tylko podejrzenia z twojej strony. Lecz wiesz więcej niż opowiadasz. Jednak pewny jestem, że jesteś zdecydowany pomagać sprawiedliwości w energicznych poszukiwaniach morderców twojego pana. Dla czego nie masz do mnie zaufania?... Ja gram grubą grę. Ułatwij mi wygranę. Słowem, idziemy do jednego celu. No, panie Baudouin, bądź szczery... Zdaje ci się, że masz sposób odkrycia winnych?

Baudouin podniósł głowę, spojrzał prosto w oczy sędziemu i zobaczył w nim gorącą chęć zabrania się skutecznie do dzieła. Pomyślał, że ma w nim rzeczywistego sprzymierzeńca, i że tajemnica urzędowa zabezpiecza jego dyskrecję.

Zdecydował się tedy.

— A więc tak, mam sposób, jak sądzę, ujęcia zbrodniarzy.

— A jaki?

— Przysięgnij pan najpierw, że to co powiem zostanie pomiędzy nami dwoma.

— Lecz... chciał protestować sędzia.

— To już jak się panu podoba, oświadczył Baudouin surowo. Ja w tej historii narażam głowę i oprócz mnie inni narażają życie... Milczę, jeżeli pan nie da słowa honoru, iż żywej duszy nie powtórzy tego, co mu powierzę.

— Nawet mojemu naczelnikowi?

— Nawet Panu Bogu! Nie, nikomu! Zgadza się pan? Da pan słowo?

— Daję słowo honoru... A więc?

— A więc! jak panu wskazałem, generał, co do poszukiwań swoich naukowych, ufał tylko jednemu młodemu człowiekowi, którego kochał jak własne dziecko, synowi pana Baradier... Mam powody wierzyć, że formuły pana de Tremont posiada pan Marceli. Jeżeli tedy lotry, których poszukujemy, mają jakiegokolwiek podejrzenia, że z tej strony możnaby spróbować napadu jaki nie udał się z generałem, to skoro upewnią się o rezultacie śledztwa w toku, zabiorą się znów do roboty... Wtedy rozpocznie się moje zadanie. Wejdę w służbę pana Marcelego, przez jego ojca, i na krok go nie odstąpię... Mam w dodatku kompana, pierwszy numer do rozplatywania podobnych intryg, tego do siebie namówię. I we dwóch zorganizujemy nadzór każdej chwili nad panem Marcelim. Jeżeli intrygi rozpoczną się na nowo, pozwolimy im się rozwinąć, gotowi ukazać się w danej chwili. Oto jest mój plan. Dla tego ośmieliłem się radzić panu udawanie, żeś tej sprawy zaniechał. Dla tego żądałem od pana słowa, że będziesz milczał. Teraz, rób pan co trzeba, żeby mi dopomódz, i bądź pewny, skoro chleb będzie w piecu, zawiadomię, abyś go pan wyjął upieczony.

Sędzia śledczy zastanowił się chwilę, potem rzekł:

— Wszystko to leży po za obrębem zwyczajów sądowniczych, lecz położenie jest wyjątkowe... Skutek przedewszystkiem... Jeżeli jak przeczuwam, mamy do czynienia ze zbrodniarzami zdecydowanymi, w takim razie to nie jest ich pierwsza próba, i być może, trafimy na całą bandę. Wykonaj zatem zamiar jaki mi przedłożyłeś, a za najmniejszą trudnością, przyjdź do

mnie, ażeby użył wszystkich sił w mojem rozporządzeniu, dla twojej pomocy. Pokaż mi tylko koniec nitki a ja trafię do kłębka.

— Dobrze, niech pan będzie spokojny. Jak przyjdzie czas, posłyszysz pan o mnie. Sza! pisarz powraca.

Pisarz dobijał się do drzwi zamkniętych.

Sędzia poszedł otworzyć.

W cieniu korytarza rysowała się wyniosła wojskowa postać pułkownika Vallenot po cywilnemu.

Pan Mayeur pośpieszył z powitaniem:

— Pułkowniku, proszę, racz wejść na chwilę.

Odwrócił się do Baudouina:

— Panie Baudouin, możesz odejść. Nie sędzę żebym prędko ciebie potrzebował. Na wypadek jednak gdybyś wyjechał, zostaw swój adres u pana Baradier.

Ordynans uklonił się sędziemu, salutował po wojskowemu pułkownika, i wyszedł.

Mayeur powrócił do pułkownika z uśmiechem na ustach: nie chciał manifestować zniechęcenia publicznie.

— Jak się ma pan minister wojny? Doniosłą mowę wypowiedział wczoraj w Izbie...

— Tak, i chcą go szykanować, lecz on potrafi się obronić. Mówi ostro... A to popłaca w parlamencie.

— Krótko i węzłowato, rzekł sędzia.

Zmienił wyraz twarzy i zapytał słodko:

— A jego poszukiwania doprowadziły do czegokolwiek?

Pułkownik odparł surowo:

— Prawie tak, jak pańskie.

Pan Mayeur uśmiechnął się lekko:

— Ah! ah! Więc nie postępujemy naprzód?

— Rzekłbym, że się cofamy, jeżelibym nie bał się pana obrazić.

— Kiedy to szczerą prawdą... na pozór, rzekł Mayeur porozumiewająco.

— Czyżbyś odkrył cośkolwiek? zapytał Vallenot zaintrygowany.

— Nie mogę nic mówić... lecz cierpliwości, będzie pan miał niespodziankę.

— Sacrebleu! Minister się ucieszy. Sprawa ta działa mu na nerwy i odbija się na personelu... Zły bezustannie. Niewiadomo z której strony z nim zacząć.

— Lecz wróćmy do pańskich poszukiwań zagranicą. Czy dały co nowego?

— Zdobyliśmy pewność, iż, jeżeli było usiłowanie wydostania formuł generała de Tremont, trójprzymierze nie należało do tego. Na tym punkcie wszystkie informacje zgadzają się... Jeżeli były naprawdę intrygi, to tylko na rachunek anglików... Wiadomo jaki nędzny jest i zacofany cały ich materiał artyleryjski. A że dla tych handlarzy łatwiej jest kupić niż zrobić wynalazek, można zatem przypuszczać, że to ich sprawa... Ma się rozumieć, nie aprobowałiby sposobów jakich użyto na ich usługi... Lecz oni zawsze tak robią... To są ludzie, dla których pozory są wszystkim. Można być łotrem w najwyższym stopniu, aby tylko wydawać się uczciwym. U nich to się nazywa umiejętnością życia, u nas, hypokryzją. Lecz przepraszam, odchodzę od przedmiotu.

— Nic w tem złego... Słowem, same przypuszczenia, żadnego pewnego dowodu.

— Żadnego. W Paryżu i w całej Francji są wędrownie kobiety, uczęszczające do miejsc kuracyjnych zimowych i letnich, znane z intryg międzynarodowych. Jedna z takich mogłaby być podejrzaną o odegranie roli baronowej z biednym generałem de Tremont, lecz, niektórych nie było w Paryżu, inne znów są pod ścisłym dozorem. Z tej strony zatem nie... Co do Hansa, raport policyjny z Lozany zaznacza przybycie do Genewy rannego, z ręką amputowaną. Człowiek ten jest badeńczykiem i stracił rękę w fabryce drutu w Besançon. Mógł zatem być jednocześnie w Jura i w Vannes. Rysopis jego zgadza się doskonale z danym przez służącego Baudouina. Trzebaby było chyba, chcąc aby ten Fichter był tym człowiekiem którego poszukujemy, żeby zdobył fałszywe świadectwa, albo żeby w drodze podstawiono jednego za drugiego? Wszystko to jest nieprawdopodobne. I, widzi pan, ciemniej, ciemniej niż kiedykolwiek.

— Tak, tak, tak, zanucił sędzia, z miną jak gdyby myślał o czem innem, pułkownik spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Tak spokojnie pan to przyjmuje! rzekł Vallenot.

— Nigdy nie trzeba się wzruszać; to do niczego nie prowadzi.

— Nie martwi to pana?

— Miałbym czego się martwić!

— Winszuję!

— Nie! nie! nie! mówił tym samym obojętnym tonem, który tak dziwił pułkownika. Bywa zawsze, że w chwili zwątpienia przychodzi dobra nowina.

— Macie szczęście, wy sadownicy. To nie tak jak w armii. Kiedy oczekuje się na Grouchy, wtedy Blücher przychodzi!

— Zobaczymy!

— Co pan myśli robić?

— Uśpię tę sprawę na jakiś czas.

— W innych słowach, odłoży ją pan ad acta.

— Tak, ad acta, prowizorycznie.

— Pańskie odkładanie znaczy porzucenie.

Sędzia spojrzał poważnie na Vallenot i ku wielkiemu zdziwieniu swego pisarza, rzekł z pokorą:

— Jeżeli nic nowego się nie zdarzy, to rzeczywiście jest porzuceniem.

— Mamże zawiadomić o tem ministra?

— Proszę pana. Jednocześnie upewnij go pan o całym mojem poświęceniu dla niego. Chciałem lepiej zrobić. Ale nie mogłem... Lecz podług mego zdania, jeszcze nie wszystko stracone... I zobaczymy później.

Pułkownik, trochę zmieszany niespodziewanem zakończeniem, zegnał się mówiąc:

— Piękne zlecenie dałeś mi, sędzio. Minister przyjmie mnie, jak psa przy grze w kręgle.

— Ba! pan jesteś ulubieńcem! Nie martwię się o pana. Ja pojadę do prokuratora rzeczypospolitej. On nie będzie zrzędził, przeciwnie... będzie drwił... Lecz mało mnie to obchodzi! Czekajmy końca!... Koniec wieńczy dzieło!...

Uścisnął rękę pułkownika, odprowadził go aż na korytarz i wrócił do swojego biura.

Podpisał różne papiery przedstawione przez pisarza, który trawiony ciekawością, zapytał:

— Więc naprawdę, proszę pana, koniec z tą sprawą?

— Nie trzeba upierać się przy niemożliwości, rzekł Mayeur niedbale. Nie można budować domu bez rusztowania... Otóż w aktach tej sprawy niema nic, co by służyło do prowadzenia śledztwa. Ja nie jestem dość biegły, aby zmyślać to, czego nie wiem. Dość już jest ciężko wyciągnąć prawdę z dowodów pewnych...

Pisarz skrzywił usta z politowaniem. Dopóki sędzia okazywał spokój zaufaniem w siebie, pisarz krytykował go gwałtownie. Teraz, kiedy był skromny i prosty, miał dla niego pogardę.

— Biedny człowiek! myślał, stanowczo, ma tylko fantazję jak mu się powodzi, a przy pierwszej trudności traci głowę.

— Proszę cię, włóż akta do mojej teki. Zejdę do sali sądowej, rzekł sędzia, potem możesz odejść, piąta godzina. Do widzenia.

W tym czasie pułkownik Vallenot jechał fiakrem do ministerjum wojny. Kiedy wchodził do przedpokoju swego szefa, spotkał się z Baudouinem, który wychodził z gabinetu ministra.

Zatrzymał go w przejściu:

— Byłeś u generała?

— Tak, mój pułkowniku.

— Zły jest, co?

— Broń Boże, mój pułkowniku. Jeżeli pan chce się z nim widzieć, to trzeba się spieszyć!...

— Jakto, wychodzi?

— Słyszałem jak mówił, że zajrzy do Izby...

— Miałeś do niego prośbę, Baudouin?

— Nie, mój pułkownik. Chciałem mówić z nim o sprawie mojego generała...

— Ah! z jakiego punktu widzenia?

— Z takiego, że ten niedołęga sędzia nie postępuje w niczem, i że zdaje mi się, iż gotów jest puścić sprawę w odwłokę...

— Powiedziałeś to ministrowi?

— Przed pięciu minutami.

— A jak to przyjął?

— Zaczął pogwizdywać, następnie zakończył: Zważywszy wszystko, to może jest najlepszem.

Pułkownik Vallenot popatrzył na Baudouina, dla przekonania się, czy z niego żartuje, potem wzruszył ramionami, jak ktoś, co nic nie rozumie, i oświadczył z miną niezadowoloną:

— Dobrze, dobrze! Jeżeli tak się rzeczy mają, nie mówmy o tem więcej! Ja także wolę, że tak jest...

Skłonił głową przyjaźnie dawnemu żołnierzowi.

— Dobranoc, Baudouin, jeżeli będziesz czego potrzebował, zwróć się do mnie. Kochaliśmy wszyscy pana de Tremont.

I poszedł, mówiąc pod wąsem:

— Zdaje się, że wszyscy tu głowy potracili!

Baudouin schodził na dół głównymi schodami. Wyszedł na ulicę, uścisnąwszy wpierw rękę odźwiernego, i skierował się ku małej café, gdzie z ojcowską miną, w porze absyntu, Laforet przypatrywał się zawsze grającym w bilard.

Agent był na zwykłym swoim miejscu. Palił fajeczkę i rozmawiał z rentierem z sąsiedztwa, który opowiadał mu swoje kłopoty małżeńskie:

— Tak, panie, żona zawsze po za domem i nigdy nie dość jej pieniędzy. Dla niej piwnice Banku francuskiego dopieroby wystarczyły... A skoro odważę się zrobić jaką uwagę, krzyczy tak, że wystrasza sąsiadów. Nie podobna utrzymać służącej, nie chce płacić a jak niezadowolona, bije! Stawałem już kilka razy w sądzie z powodu jej gwałtowności... Takie życie, to piekło!

— Rozwiedź się pan! wyrzekł krótko Laforet.

— Lecz to, co posiadamy, do niej należy!

— Więc znoś swój los!

— Już nie mogę!

— To rób to, co ona ze sługami, bij ją...

— Oh! nie, ona by mi oddała!

Przybycie Baudouina przerwało konsultację. Nieszczęśliwy rentier podniósł się i rzekł:

— Tyle mam spokoju, co tutaj!

— I to coś znaczy. No, żegnam kochanego pana... i jestem do usług, jeżeli mogę się na co przydać.

Baudouin usiadł. Laforet nachylił się do niego:

— Co się stało?

— Coś nowego. Potrzebuję ciebie. Lecz wyjdźmy ztąd.

Agent wstał, wziął laskę, ukłonił się bufetowej, jako zwykły gość i zabrał z sobą Baudouina.

— Gdzie pójdziemy?

— W takie miejsce, gdzie ani nam przeszkodzą, ani podsłuchają.

Poszli w stronę Sekwany, z bulwaru spuścili się

schodami nad wodę i usiedli w cieniu starych wiązów.

— Tu mamy pewność, że tylko ptaki i ryby usłyszą nasze zwierzenia, rzekł Laforet. Polecam ci to miejsce jak będziesz potrzebował rozmówić się z kim w tajemnicy. A teraz mów, co wiesz...

— Otóż, po trzech tygodniach poszukiwań bezowocnych, sędzia śledczy zmuszony jest przyznać, iż nie więcej wie, niż dnia pierwszego. Jasne jak dzień, że biedny człowiek pozostawiony własnym siłom, nie da sobie rady z tą sprawą. Wreszcie i dowcipniejszy tak samoby ugrzązł... Ma się przed sobą próżnię... przestępcy dali nura... Wszystko znikło. Chwytajże cienie, jeżeliś mądry! Sens moralny, że nasz sędzia przestanie zajmować się śledztwem i że ja mam swobodę udania się, gdzie mi się podoba, ponieważ nie będę zmuszony całymi dniami wystawać na korzytarzu pałacu Sprawiedliwości, sam na sam z woźnym. A zatem wyjeżdżam.

— Ah! A dokąd?

— Do syna mojego nowego pana, pana Baradier, który jest w fabryce pod Trojes, w Szampanii... Okolica nazywa się Ars, są tam źródła alkaliczne i stacja kąpielowa, gdzie co lato dużo chorych przebywa...

— Czy jedziesz do twojego pana, żeby się leczyć?

— Nie, żeby nad nim czuwać. Mówiłem z jego ojcem, odkąd należę do służby i dużo rzeczy się dowiedziałem. Mianowicie, że syn pana Baradier posiadał zaufanie generała de Tremont i że teraz, aby zdobyć sławne owe formuły, do niego się trzeba zwrócić. Sądzę, że pan Baradier dużoby dał za to, żeby jego syn nie miał być wstępu do laboratorium generała. Lecz

stało się... nie na to nie poradzi. A jedyna ważna rzecz obecnie, strzedz ze wszystkich sił młodego człowieka. Mnie to staranie powierzone zostało. Pan Baradier powiedział do mnie: Baudouin, mam tylko tego syna, i choć nie taki rozsądny jakby należało, kocham go, mój chłopcze. Nie chcę, żeby mu się co złego stało. Jak tylko będziesz wolny, pojedziesz do niego i nie odstąpisz ani na chwilę...

— Dla czego ten młody człowiek, bogaty, światowy, kochany w domu, zamyka się samotnie na głębokiej prowincji? Dlaczego nie siedzi w Paryżu z rodziną?

— Dla wielu powodów. Najpierwszy, że ojciec uważa, iż bezpieczniejszy jest w Ars, niż w Paryżu. Na wsi widać daleko. Nadzór łatwiejszy. W dodatku, z tego, co zrozumiałem, pan Marceli grubych szaleństw narobił, niedawno, dla kobiety bardzo pięknej, która go wyzyskiwała, jak to one potrafią bogatych chłopców, i za to, jakby kto powiedział, jest na pokucie... Ojciec zamknął mu kredyt i gdyby nie wuj Graff, nasz panicz byłby bez grosza. W końcu, młody Marceli ma fantazje. W tej chwili szuka zaciekle procederu chemicznego do farbowania wełny, i tak jak każdy szaleńiec, posiada on, jak mówił mój generał, nadzwyczajne zdolności naukowe, a ulubiona jego praca, wystarcza mu za wszelkie rozrywki.

— To widocznie oryginał.

— I najlepszy młody człowiek pod słońcem. Szlachetny, wesoły, wcale nie dumny... Ah! będzie ci się podobał, skoro go poznasz.

— Z pewnością.

— W jaki sposób?

— Jak tylko się dowiedziałem, że będę mógł się oddalić, pobiegłem do ministerjum zawiadomić naszego ministra. Wytlómaczyłem co chcę robić, i żądałem, w interesie powołzenia, żeby upoważnił ciebie do połączenia się ze mną w razie potrzeby...

— Muszę mieć urlop.

— Potrzebujesz pójść tylko do pułkownika Vallenot, on będzie miał polecenie. Dostaniesz bilet...

— Dobrze. A co będę potem robił?

— To co nam okoliczności wskażą. Ja, widzisz mój stary, ja mam przekonanie, że katastrofa której mój biedny generał stał się ofiarą, to tylko początek dramatu. Będą jeszcze bardzo poważne wypadki i musimy być gotowi do przeszkodzenia, aby nie dotknęły ważnych ludzi, na których są wymierzone. Tu w grę wchodzi grube interesy. Prawdopodobnie brzydkich rzeczy się dotkniemy, lecz potem można umyć ręce, prawda?... Głównie chodzi, żeby się udało... Ale ty musisz umieć zmienić sobie twarz?

Laforet uśmiechnął się.

— Bądź spokojny. W dniu, w którym oznaczysz mi schadzkę, stawię się jak zegarek, lecz nie ręczę czy mnie poznasz, jak zobaczysz...

— Tego właśnie trzeba. Ja trochę jestem głupi, jak idzie o komedję. Nie można liczyć na mnie do odegrania podwójnej roli, odegram tylko dobrze swoją, która będzie rolą psa wiernego.

— Zatem wszystko umówione?

— Zdaje się. Jak będę potrzebował, zaadresuję list do ciebie do ministerjum.

— Dobrze. Wracajmy...

— Do widzenia.

— Do widzenia.

Laforet poszedł w stronę ulicy św. Dominika, Baudouin przez most la Concorde, ulicę Richelieu i bulwary, powrócił na ulicę de Provence.

Panowie Baradier i Graff siedzieli w biurze, z głównym swoim kasjerem, który podawał im do podpisu kwity do ściągania należności.

W miarę podsuwania swoim naczelnikom papierów, pocziwy człowiek mówił:

— Czy panowie wiedzą, że „Towarzystwo materji wybuchowych zastosowanych do przemysłu“, którego pan Lichtenbach jest prezesem, chwieje się... Akcje spadły na łeb na giełdzie. Zdaje się, że kompania amerykańska podstawiła mu nogę.

— Tak, wiem o tem, rzekł Graff. Amerykanie wynaleźli produkt bardzo prosty, nie złożony, który w dodatku kosztuje o pięćdziesiąt procent mniej niż dynamit. Mają już znaczne zamówienia do Australii i południowej Afryki. To jest właśnie przyczyną spadku akcji towarzystwa Lichtenbach. Od roku było to do przewidzenia.

— Bądź spokojny, Bernardzie, rzekł Baradier do kasjera, Lichtenbacha to nie dotknie, akcjonariusze zapłacą. Musiał się dobrze zabezpieczyć na giełdzie, żeby nie stracić. Nie potrzebujesz już więcej naszych podpisów?

— Nie, proszę pana.

— A więc zamknij kasę, Bernardzie, i idź odpocząć; do widzenia.

— Dobranoc panom.

Baradier podniósł się i oparł plecami o kominek.

— Widzisz sam, rzekł do szwagra, dla ludzi ostrzeżonych tak jak my, dowód oczywisty, że jeżeli Tremont został zabity, to tak samo dla wydarcia mu tajemnicy zastosowanej do przemysłu, jak i tajemnicy prochu wojennego. Rozumiesz teraz jaki interes miał i miałby jeszcze Lichtenbach w posiadaniu formuły materiału wybuchowego, kosztującego taniej niż produkt amerykański, którego wynalazek rujnuje towarzystwo francuskie, a który miałby taki sam skutek w stokroć mniejszej objętości. Gdyż taka jest właśnie wartość wynalazku Tremonta, jak Marcelli mi wytłómaczył. Otóż, gdyby Lichtenbach posiadał jakimkolwiek sposobem, formułę nieznaną, potrzebowałby tylko ją przedstawić, wziąć patent i kazać wykupić przez podstawionych ludzi, za bardzo niską cenę, wszystkie akcje towarzystwa zbankrutowanego. Nazajutrz po takim szwindlu, sprzedałby towarzystwu prawo do nowego materiału wybuchowego, a miliony wpłynęłyby do jego kasy. Nie mówiąc już o przyszłości tego interesu.

— Tak, to byłby ładny czyn, godny Lichtenbacha. Mógłby oddać swoim akolitom zysk z prochu wojennego, gdyż niewieleby znaczył w porównaniu z zyskiem z produktu zastosowanego do przemysłu. Rządy mają zwyczaj źle wynagradzać filantropów, dających im możność działania zwycięzko przy rzezi ogólnej.

— Oh! wierzaj, Marceli utrzymuje, że wynalazek Tremonta straszny jest w skutkach. Jest to miazga, która według tego jak jest przygotowana, wybucha w sposób straszliwy, lub pali się nie do ugaszenia, w wodzie nawet.

— Ogień gregorjański?

— Coś podobnego, lecz tak jak armata dzisiejsza podobna jest do moździerza z XIV-go wieku. Torpille, napełnione tą masą, które zapaliłyby się za użyciem mechanizmu, dobrze stopniowanego, mogłyby objąć okręt w jednej chwili całym morzem płomieni.

— Ależ to byłoby zniweczenie wszelkiej przewagi na morzu...

— Ah! ah! zrozumiałeś nareszcie! Mój drogi, myślisz, że posiadacz takiej tajemnicy jest bezpieczny? Trzebaby, żeby takim krajem rządili aniołowie, ażeby wszelkich sprężyn nie użył dla zdobycia potwornej mocy zaprzepaszczenia wszystkich swoich nieprzyjaciół i pogwałcenia współzawodników. Oto, dla czego Tremont nie żyje, i dla czego ja straciłem sen i spokój, myśląc, że syn mój pracował z nim i może być podejrzwany, że zna to tajemnicze dzieło zniszczenia i potęgi.

— Każ mu podróżować. Wyślij go z kraju.

— Więcej jeszcze byłby narażony. Najmniej mu grozi pośród nas, pośród ludzi, którzy nas znają. Ah! pragnąłbym, żeby pozbył się tego ciężaru. Błagałem, niech idzie do ministra wojny, niech odda mu formuły generała Tremont. Zawiadomionoby we wszystkich dziennikach, że Marceli Baradier złożył w komitecie techni-

cznym notaty odnośne do wynalazków generała de Tremont. Uwolniłby się, i nie byłby na śmierć narażony... Wiesz co odpowiedział?...

— Nie...

— Ze spokojem i wesołą pewnością siebie, rzekł do mnie: kochany ojcze, proch generała potrzebuje jeszcze niejakiego udoskonalenia... Wiem co on chciał zrobić... wyjaśnił mi to... Poprowadzę też dalej jego doświadczenia i, skoro „rzecz stanie się doskonałą“ podam formuły do rządu, podług wyraźnej woli Tremonta, a z drugiej strony, założę towarzystwo wyrobu produktów wybuchowych dla przemysłu, żeby z bogacić córkę mistrza mojego.

— Dzielny chłopak! wykrzyknął Graff ze wzruszeniem. Wie jednak na co się naraża!

— Ochryplem, wykazując mu wszystko co go czeka. Lecz to jest przeklęty lotaryńczyk: żelazna głowa! Na wszystkie argumenty znalazł odpowiedź. Ja tylko jeden, mówił, mogę tę sprawę do skutku przyprowadzić. Jeżeli złożę notaty generała w komitecie technicznym, znajdzie się taki dowcipny, który przyswoi sobie wynalazek i chwałą się okryje. Jeżeli jeszcze nie popsuje wynalazku głupimi dodatkami, to co w gruncie rzeczy jest najprawdopodobniejszym. Co do produktu zastosowanego do przemysłu, jeżeli pisnę słówko, wpierw nim się na wszystkie strony zabezpieczę, ukradną mi go w mgnieniu oka i córka generała będzie odarta z majątku. Dla tych wszystkich powodów i niektórych innych, z których jeden, że mnie to bawi, nie wyrzeknę się doprowadzenia do końca raz przedsięwziętego dzieła.

— Ależ życie narażasz!

— Alboż ono takie drogocenne? Krzyczysz mi ciągle w uszy, że jestem zbrodniarz, że cię rujnuję i przyjdzie do tego, że wstyd ci przyniosę. A więc uwolnisz się od syna występnego i niewdzięcznego!

Graff aż w dłonie klasnął:

— Widzisz, widzisz! To skutek surowości dla dziecka! Nie masz nigdy dobrego słowa dla niego. Jakże chcesz, żeby cię potem słuchał?

— Ah! daj spokój! krzyknął Baradier blady z udęczenia. Dosyć mam zmartwienia!... Nie zechcesz mnie zrobić odpowiedzialnym w dodatku! Kocham Marcelę, tak samo jak ty go kochasz. Tylko ja go nie pieszczę, nie psuję, nie peham w niego pieniędzy. Gdybyś tylko ty miał pieczę nad jego moralnością i dobrem prowadzeniem, dalekobyśmy zaszli! Ty zawsze zachęcałeś jego złe skłonności! Wszystko złe, to twoja wina!...

— Tak! Ja go podburzałem! Ja dawałem złe przykłady! zawołał Graff... Ja byłem jego złym duchem, wszyscy o tem wiedzą. Zaprawdę, Baradier, czyś ty przypadkiem nie zwarjował?

Baradier chodził wzburzony, w końcu zbliżył się do szwagra, położył mu rękę na ramieniu i rzekł głosem drżącym:

— Prawda, tracę głowę. Przebacz... Niepokój mną wstrząsa... Tylko tego chłopca mamy, Graff. Pomyśl cobyśmy robili, gdyby przeznaczenie chciało...

— Cicho! Można w złą godzinę wymówić. Nie trzeba nawet przypuszczać, że tak być może. Pomimo wszyst-

kiego, nie mogę mieć za złe Marcelemu, że robi to, co uważa za swój obowiązek. Gdyby inaczej postępował, nie byłby ani Baradier, ani Graff. Postępuje jak dzielny i uczciwy chłopiec. Trzeba tylko nad nim czuwać i bronić go przeciwko jego własnej nieostrożności.

W tej samej chwili zapukano do drzwi dwukrotnie.

Baradier poszedł otworzyć, a zobaczywszy Baudouina, rzekł:

— Ah! w samą porę przychodzisz. Wejdz. A najpierw powiedz, jak stoją sprawy w sądzie?

— W sądzie, proszę pana, zero. Sędzia śledczy nie znalazł. Zbrodniarze znikli... Wszystko jedno szukać wiatru w polu.

— No, więc?

— Więc pan Mayeur w rozpacz, nie mogąc ująć przestępców, powstrzymuje śledztwo i sprawę odkłada ad acta.

— A to pomysł! Czy jego własny?

— Nie, proszę pana.

— Co za głupiec mu go poddał?

— To ja.

— Winszuję... Dobrześ się sprawił! Łotry, którzy zabili twojego pana, myśląc, że są bezpieczni, rozpoczynają swoje sztuki.

— Na to liczę.

— A Marceli? Ty głupcze! Mój syn? Co się z nim stanie? Czyś pomyślał?

— O nim tylko myślałem. Jestem już swobodny. Jeżeli pan pozwoli, wyjadę dziś wieczór, o północy będę w Ars. Wiadomość o odłożeniu sprawy za dwa

dni dopiero ukaże się w dziennikach. Ja już wtedy zorganizuję tam nadzór. I przysięgam panu, że nie stanie się panu Marcelemu, chyba, że mnie wprawdzie zabiją.

— Jakie to uspakajające! rzekł Baradier. Lecz co zrobić z takim szaleńcem jak mój syn? Gdziekolwiek będzie, wszędzie jest narażony. Przeklęty proch! Tremont potrzebował opowiadać mu o swoich wynalazkach! Jeżeli ten materiał wybuchowy jest tak samo niebezpieczny dla tych, przeciw którym będą się nim posługiwać, jak dla tych, którzy go zrobili, śliczna rzecz będzie podczas przyszłej wojny.

Baudouin z całą filozofią słuchał narzekań ojcowskich. Rozumiał ich słuszność. Lecz czy mógł więcej zrobić jak poświęcić się na obronę tego, który w danej chwili mógł być tak poważnie zagrożony.

Skoro pan Baradier wylał żółć swoją i usiadł zmartwiony, Graff zdecydował się przemówić.

— Zważywszy wszystko, rzekł, piwa się nawarzyło, trzeba je wypić, idzie tylko, żeby się niem nie otruć. Jesteśmy uprzedzeni, nie tak jak było z generałem. Z trochę przeczności, łatwo przyjdzie przeprowadzić dobrze sprawę. Wszystko w porę przychodzi kto umie czekać!

— Skończyłeś już swoje nonsensy? wrzasnął Baradier, doprowadzony do ostateczności optymizmem szwagra. Bez twego gadania, wystarczy dać rozkaz Baudouinowi, aby zawiadomił żandarmów, jeżeli zobaczy coś podejrzanego około mojego syna. Więcej ufam w siłę zbrojną, niż w twoje sentymenty!

— I to dla wypowiedzenia takich głupstw przerywasz mi, odparł Graff, lepiejbyś zrobił, żebyś milczał. Niech Marceli robi swoje. O ile prędzej skończy, o tyle prędzej będzie bezpieczny... Do tego czasu, Baudouin, tobie go powierzam.

— Bądź spokojny, panie Graff, odpowiadam za niego duszą i ciałem. I tylko sobie ufam. Sprowadzę sobie kamrata, który sam jeden wart dziesięciu! Więcej nie panu nie powiem. Spuść się pan na mnie!

— Tak, zacny chłopaku, spuszcza się na ciebie! zawołał Baradier.

— Więc dobrze wszystko! rzekł Baudouin, zacierając ręce. Co mam powiedzieć panu Marcelemu?

— Niech będzie rozsądny... I że kochają go bardzo, I niech o nas myśli!

— A masz pieniądze na drogę?

— Mam, dziękuję panu. Do widzenia zatem sługa panów!...

Uklonił się i wyszedł.

Ojciec i wuj zostali sami, milezący, poważni. zamysłeni.

W końcu Graff podniósł się i rzekł:

— Nie złego się nie stanie. Czuję to, jestem pewny. A wiesz, że nigdy się nie omyliłem. Ile razy spotkało nas niepowodzenie w interesach, ja naprzód to przewidziałem. Uspokój się, Baradier, wypłyniemy z tego bez szkody.

Ojciec stroskany odpowiedział:

— Niechaj cię niebo wysłucha! Lecz jak kobieta w grę wchodzi z Marcelim, nie jestem wtedy spokojny.

Ah! gdybyś to ty był, albo ja, nie byłoby niebezpieczeństwa. Ale ten młody szaleniec!

— Nie zawsze starsi są najrozsądniejsi, dowodem Tremont!

-- Wreszcie, Bogu to polecić!

Wyciągnął rękę do szwagra:

— W dodatku, nie kłóćmy się więcej!... Do niczego to nie prowadzi, a nam przykrość sprawia!

— Eh! Dokuczaj mi, ile chcesz, stare bydle! zawołał Graff wzruszony. Kpię z tego, jeżeli ci to ulgę przynosi! Lecz bądź o tyle dyskretny, żeby nie mówić żonie. Na nic się nie zda martwić biedną kobietę.

Wyszli z biura i w podwórzu spotkali Baudouina wesłego, lekkiego, z walizą w ręce, udającego się na kolej...

Koniec części pierwszej.

CZĘŚĆ DRUGA.

VI.

Ars, małe miasteczko, sześć tysięcy ludności, leży o cztery mile od Troyes, nad rzeką Barse, przytulone do wzgórz jeżących się staremi lasami Bossicant.

Kolej żelazna biegnie doliną, obsługując Vendoeuvre i jego kopalnie żelaza, Bar i jego łomy kamienne.

Na południe ciągną się winnice na pochyłościach wapnistych.

Obfite źródła Ars i zakłady kąpielowe leżą o jeden kilometr od miasta, na drodze do Lusigny.

Robiąc poszukiwania minerałów w ziemi, pan Reverend, inżynier naczelny, trafił niespodzianie na wody alkaliczne i żelazne, mogące rywalizować ze źródłami w Plombières i Aix.

Lecz Ars jest za blisko Paryża, ażeby źródła jego kuracyjne mogły wzbudzać w chorych zaufanie.

Zakład odwiedzany jest tylko przez średnią klasę, a nieliczne hotele nie nauczyły się jeszcze obdzierać gości.

Na pochyłości wzgórz, pod lasem Bossicant, kilka willi ukrytych pomiędzy drzewami czeka co lato na bogatych chorych.

Wille są skromne, ciche, a powietrze leśne i dalekie spacery wabia lubiących samotność.

Fabryka panów Baradier i Graff, przędzalnia i tkalnia, stoi nad rzeką Barse, której szybki bieg obraca maszyny dynamiczne, dostarczające siły i światła.

Dom mieszkalny oddzielony jest od warsztatów wielkiem podwórzem i pięknym ogrodem.

Droga do Vandoeuvre przechodzi przy kracie żelaznej zamykającej dziedziniec a z drugiej strony drogi wśród łąk, gdzie cały rok pasą się konie i krowy, biegnie kolej żelazna i przez Chaumont dochodzi do granicy niemieckiej.

Ars jest środowiskiem handlowem dość znacznem. W łomach kamiennych i kopalniach żelaza pracuje prawie cała ludność męzka.

Fabryka Baradiera i Graffa zatrudnia dwustu mężczyzn, sto kobiet i dużo dzieci.

Dyrektor zakładu, pan Cardez, jest lotaryńczykiem, przybyłym do Francyi razem ze swoimi naczelnikami, który ożenił się w okolicy, został wdowcem z dwoma dużemi chłopakami, zestarzał się, przywiązany do swoich obowiązków, doskonały dla robotników, lecz małomowny i utrzymujący w warsztatach karność prawie wojskową.

Synowie jego są: jeden w wojsku, drugi wicedyrektorem w fabrykach w Barre.

Ten zaorny człowiek nie wiele przedstawia środków towarzyskich, a Marceli od młodości przyzwyczaił się nazywać go bez uszanowania „niedźwiedź“.

Marceli i niedźwiedź nigdy się nie rozumieją.

Pomiędzy tym dobrym rachmistrzem i kapryśnym uczonym wielka jest różnica.

Marceli lubi Cardeza, choć z niego żartuje, Cardez szanuje syna swego pryncypała, lecz uważa się nad jego lekkomyślnością.

Ci dwaj ludzie mogliby żyć z sobą przez długie lata i najmniejsza wspólność pomiędzy nimi nie byłaby się wywiązała.

Cardez nie bardzo lubi jak Marceli przebywa w fabryce, obecność jego bowiem jest dla robotników powodem niepokojów.

Syn chlebowdawcy daje ucho skargom i reklamacjom personelu. Cierpi na tem karność warsztatowa. Przestaje panować porządek wojskowy. A Cardez bardziej niedźwiedziowaty niż kiedykolwiek, nie przestaje wymyślać na to co nazywa: „zachęcaniem złych instynktów robotnika“.

Poszukiwania i prace Marcelego nad wynalezieniem barw i sposobów farbowania wełny, dyrektor traktuje sceptycznie.

Nie uważa za potrzebne zmieniać tego co robi się od lat tylu i udaje się bardzo dobrze.

Przędza w stanie surowym, taka jaką fabryka wyrabia od lat wielu, a która sprzedaje się regularnie, wystarcza zupełnie do utrzymania tejże fabryki w ruchu. A wszystkie te nowe wynalazki drogo kosztujące, służą tylko, podług niego, do wnoszenia nieporządków w funkcjonowaniu interesu w pełni powodzenia. Laboratorium, stojące w końcu ogrodu nad wodą w odosobnionym pawilonie, jest przedmiotem drwin dyrektora, który nazywa je kafarnaum.

Odkąd Marceli zamieszkał w Ars, przeciw swemu zwyczajowi, zaledwie pokazał się w fabryce.

Zamknął się w kafarnaum, gdzie, mówił Cardez „gotował“ niewiedzieć jaką „zupkę chemiczną“. Jeżeli nie siedział zamknięty w kafarnaum, to Marceli brał fuzję, psa, i szedł w zarośla nadrzeczne na krańce lasu Bossicant.

Baradier i Graff posiadali tam trzysta hektarów nowin i zarośli bardzo malowniczych, obfitujących w zwierzynę i wzgórza, z których widok ciągnął się aż na Troyes, przez zachwycającą dolinę Barse.

Niektóre płaskowzgórza Bossicant przypominały Szkocję dzikością położenia, ogromnemi wrzosami i świeżością przejrzystego powietrza.

Na pół drogi, w zagłębieniu, które z Ars szło ku płaskowzgórzu, stała willa w formie szaletu, jak czerwona plama na tle zieleni.

Smutna była ta willa, cicha i prawie zawsze nie zamieszкана, z powodu odległości od miasta i bliskości lasu.

Jednego poranku, mijając domek samotny, Marceli spostrzegł z podziwieniem, że okiennice były otwarte i służąca zamiatała przed drzwiami.

Szedł polować na zające, dla otrząśnięcia się ze znużenia po kilkugodzinnych skomplikowanych wyrachowaniach, potrzebnych przy nowem jakimś poszukiwaniu.

Służąca ubrana elegancko, wydała mu się nietutejsza. Zapewne należała do jakiej chorej, która przyjechała leczyć się wodą i powietrzem.

Marceli wcale nie ciekawy, poszedł dalej.

Trzecia godzina była kiedy stanął na wzgórzu.

Przeszedł je niedbale. Większą chęć miał chodzić bez celu niż polować.

Jednak kilka naszczekiwań psa, doskonałego wyżła, przyzwyczajonego do tropienia zwierzyny, zwróciło jego uwagę.

Wsunął dwa naboje w fuzję, stanął na brzegu wzgórza i ujrzał w zaroślu, wśród traw żółtych, psa tropiącego zwierzynę.

Po chwili spostrzegł królika, który decydował się uciekać. Wymierzył, strzał padł i biedne zwierzątko potoczyło się jak piorunem rażone.

Pies był niedaleko przyskoczył, uchwycił królika za łopatki. puścił, ujął mocniej i przyniósł go swojemu panu.

Marceli odebrał psu tryumfującemu zwierzynę, włożył do torby przewieszanej przez ramię, spuścił kurki u fuzji i uważając, że dosyć się napracował, usiadł pod jodłą na piasku i marzył patrząc w dal na lasy, przesłonięte mgłą niebieską.

W ciszy szumiących drzew, słodka ocieężałość nim owładnęła, a myśl czynna, jak gdyby oddzielona od ciała, zaczęła bujać po świecie.

Widział oczami duszy dom przy ulicy Provence, gdzie jego ojciec i wuj Graff kłócili się tak często z jego powodu, i salon matki, w którym Amelia obok panny de Tremont czarno ubranej, zajęta była robotą.

Potem wywołał obraz ładnej kobiety, rudej, jadącej elegancką victorią, zaprzęzoną w parę dzielnych koni.

Widział jak uśmiechała się do niego. Dawła mu znak parasolką, żeby przyszedł do niej. Lecz on, smutny nie odpowiadał... Wtedy usłyszał głos tej, której żałował. Głos był drwiący i czuły jednocześnie: Jakto, mój Marcelku, już się skończyło? Już nie ujrzę cię więcej?... Twoja rodzina obciąła ci skrzydła... Wuj Graff nawet postanowił nie otwierać kasy? Co się z nami stanie, jeżeli synowie bogatych domów nie będą już mogli domagać swoim skłonnościami, i dla marnych kilkuset tysięcy franków mniej więcej, ściągać na siebie przekleństwo rodzicielskie!

A jednak życie przy mnie było słodkie i wesołe.

Nie wydawało się żebyś żałował czasu, który przy mnie straciłeś.

A ja, kochałam cię szalenie, ponieważ jesteś bardzo miłym chłopcem, i bardzo hojnym i wielkim szaleńcem!

Teraz lord Audlej jest moim panem i władcą. Życie moje idzie tak samo jak przy tobie, trochę świetniej może, bo mój anglik ma niezależny majątek.

Mam zawsze piękny pałacyk przy avenue Kleber, gdzieśmy takie miłe chwile spędzali. Żeś zrobił, żeś mnie opuścił... przy tobie byłabym rozsądna... Aleś ty daleko, ojciec obciął ci dochody, które były bardzo poważne... Żegnaj zatem, Marcelku. Niestety! kobiety potrzebują dużo pieniędzy, nawet kiedy kochają... Bo one nie mogą żyć powietrzem...

I ładna rudowłosa oddaliła się ze śmiechem i znikła na skrócie alei... Marceli już jej nie widział.

Pies leżący przy nim zaszczekał i przerwał marzenia. Marceli poruszył powiekami, jak ze snu obudzony.

Bliziutko, na ścieżce, zobaczył pieska teriera, dużego jak dwie pięści, który dreptał ku niemu na krótkich nóżkach z niebieską kokardką na czubku łebka.

Trochę dalej za nim, szła wolno kobieta czarno ubrana.

Nie miał czasu przypatrzeć się idącej.

Mały piesek ze wściekłym ujadaniem rzucił się na wyżyła z nieopatrzną odwagą szczura, atakującego tygrysa.

Słodki głos zawołał: Bob!

Napróżno. Pies Marcelego rzucił się także na swojego mikroskopijnego przeciwnika, i jednym uderzeniem łapy powalił na piasek.

— Bob! Oh! mój Boże! krzyknęła z niepokojem nieznajoma i podbiegła lekko.

Marceli słyszał bolesny okrzyk, zobaczył oczy cudowne, błyszczące wśród bladej twarzy, nie czekał dłużej, i skoczywszy do psa swojego, uniósł go za skórę na grzbiecie i w tył odrzucił.

Potem biorąc teriera jeszcze dyszącego, lecz nie uszkodzonego wcale, nawet ze świeżą kokardą na łebku, pokazał go pięknej pani, śmiejąc się:

— Niech pani będzie spokojna, dzikie zwierzę pani zdrowe jest i całe. Lecz czas już był! Niech pani nam przebaczy, proszę, i ma to na uwadze, że nie my byliśmy napastnikami.

Piękna pani wzięła pieska na ręce, uderzyła go lekko, mówiąc głosem nagany:

— Oh! che bestia! Una mosoe che uste ingorare uno lupo! (Mucha porywa się na lwa).

Marceli mógł teraz patrzeć do woli, podczas kiedy łajęła czule swojego teriera i olśniony został przedziwną urodą nieznajomej. Twarz prześlicznego owalu, w ramach złocistych włosów, oczy ciemne, omdlewające i słodkie, usta pełne i czerwone. Cała postać niewinna i nieśmiała, jak młodej dziewczyny. A jednak była w grubej żałobie, jak wdowa.

Zwróciła spojrzenie na Marcelego i ze spokojnym wdziękiem przemówiła:

— Panie, tysiączne dzięki, za twoją skuteczną interwencję, a cały mój żal, dla pańskiego biednego wyżyła, który był w swoim prawie a został ukarany za to, że się bronił.

— Nie można robić porównania, rzekł Marceli, pani ślicznego pieska z tym gończym, przywykłym do cierni i głogów. Ma on twardą skórę. Lecz byłbym w rozpacz, gdybym przerwał pani spacer. Może pani chodzić do woli po tym lesie. Uwiążę psa mojego.

Młoda kobieta skinęła głową na znak podziękowania.

— Jestem na pańskim gruncie, jeżeli dobrze rozumiem jego słowa. Proszę mi wybaczyć. Obca jestem i mieszkam w tej okolicy dopiero dwa dni z bratem moim... Nie mam nikogo, ktoby mnie objaśnił, co mam prawo robić...

— Tu, pani, wszystko, co się pani podoba. Mieszka pani zapewne w willi Cavée?...

— Tak, panie.

— Ten spacer jest pani najbliższy... Las mało uczęszczany. Proszę, niech pani go za swój uważa.

Odpowiedziała z małym pomieszaniem:

— Tysiączne dzięki...

Skłoniła główką na pożegnanie i krokiem wolnym a lekkim, który wykazywał całą zręczność prześlicznej postaci, odeszła.

Marceli stał nieruchomy i ścigał ją oczyma. Potem gwizdnął na psa, pogłaskał go, jakby przeproszał za złe obejście i zamyślony powrócił do fabryki.

Zjadł obiad, palił cygara w ogrodzie do godziny dziewiątej, położył się i spał, nie śniąc o ładnej rudowłosej, która go tak drogo kosztowała, a której jednak czasem żałował.

Nazajutrz nie wychodził.

Pracował w laboratorium, kiedy drzwi nagle się otworzyły i Baudouin się ukazał.

— Ah! jesteś? rzekł młody człowiek. Ojciec mój cię przysłał?

— Tak, proszę pana, cała rodzina poleciła mi dla pana wyrazi najczulszego przywiązania. A w dodatku, zostanie przy panu.

— Po co?

— Żeby panu służyć.

— Ah! dobrze, mój dzielny Baudouin, zainstaluj się... Słowo daję, twoja obecność nie będzie tu zanadto, żeby wszystko szło przyzwoicie. Mieszkańcy Szampanii dobrzy ludzie, ale nie bardzo można z nimi trafić do ładu.

— Urządzimy tu panu wszystko.

Pokręcił się po laboratorium, oglądając z uwagą przedmioty znajdujące się na stole, alembiki z długimi szyjami, tygle stojące na piecyku i t. p.

— To w tym pokoju pan pracuje? Kto tu sprząta?

— Nikt. Nie chcę, żeby wchodzono.

— Widać to... Ja panu poczysszczę narzędzia. Umiem ja z tem się obchodzić. Czy pan się zajmuje sprawami generała?

— Odkąd tu przybyłem, nie... Co innego mam w głowie... Lecz wezmę się i do tamtego. Kontent jestem z ciebie, pomożesz mi, jeżeli będę potrzebował pomocnika... Zobacz, Baudouin, oto kolory zielone, różowe i niebieskie, które ustaliłem ostatecznie i które dadzą welnie kolor niezmienny.

Mówiąc to obracał motki barwy silnej i pięknej, poddając je światłu.

— To biedny generał naprowadził mnie na ten pomysł. Ah! gdyby się był zadowolił wynalazkami zastosowaniami do przemysłu, mielibyśmy go jeszcze żyjącym, zdrowym i robiącym majątek. Lecz on pogardzał wynalazkami korzystnymi. Myślał tylko o kraju, chciał tylko dla niego pracować.

— Cóż dziwnego, panie Marceli, tak długo służył krajowi... że tylko o nim myślał.

— No, kochany Baudouin, idź rozgość się, zaczniesz służbę od dzisiejszego wieczora.

Marceli został w laboratorium, lecz nie nie robił, nie mógł, coś go wewnątrz odrywało od zajęcia.

Usiadł w szerokim skórzanym fotelu, który przeważał wesoło „fotelem alchemika“ i przy otwartym oknie, żeby słońce wpadało, marzył ze wzrokiem utkwionym w dolinę, jak gdyby na tle zieleni szukał wykwintnej sylwetki nieznanego pani w żałobie. Lecz odległość

duża, las Bossicant tajemniczy, nie zatem nie zobaczył, choć patrzył do godziny piątej po południu.

Potem zszedł do ogrodu, chodził wzdłuż i wszerz pomiędzy klombami róż, zatrzymał się nad rzeką i zajął się bardzo poważnie patrzeniem na szczupaka, który pod przejrzystą wodą polował na drobną rybkę.

Dzwon u bramy przerwał mu to zajęcie i naraz ujrzał zbliżającego się ku sobie, pod eskortą odźwiernego, wysokiego młodzieńca, elegancko ubranego, o bardzo pięknej twarzy, z niebieskimi oczyma, z wąsem zakręconym nad uśmiechniętymi wargami.

Zbliżający się zdjął kapelusz, uklonił się z szacunkiem i odezwał akcentem włoskim:

— Czy z panem Marcelim Baradier mam przyjemność mówić?

— Tak, panie, rzekł Marceli, patrząc na obcego z zajęciem. Co mi sprowadza zaszczyt pańskich odwiedzin?

Młody człowiek skośnem spojrzeniem upewnił się, że odźwierny odchodzi, następnie ze swobodą, nie pozabawioną wyniosłości, rzekł:

— Pozwól pan, ponieważ nie mam nikogo, ktoby mnie przedstawił, abym to sam zrobił. Jestem hrabia Cezary Agostini, z książąt de Briviesca. Mieszkam z siostrą w szalecie Cavée i przychodzę podziękować za grzeczność z jaką ułatwiłeś jej wczorajszy spacer...

— Panie, rzekł Marceli, to bardzo naturalne. Traf sprowadził mnie na drogę pana siostry... Obca jest w tym kraju... Wydawała się smutna i szukała samotności... O ile to zależało odemnie, starałem się jej dogodzić...

Hrabia Cezary skłonił się z gracją. Piękna jego twarz spochmurniała i głosem żalonym podjął:

— Siostra moja smutna jest rzeczywiście: miała wielkie zmartwienie... Wyczerpała się doglądaniem męża dużo od siebie starszego, a którego niedawno straciła... Dla polepszenia zdrowia przybyła w tę dolinę szukać ciszy i spokoju... Zachwalono nam bardzo źródło w Ars. Lecz siostra moja przedewszystkiem potrzebuje powietrza, po zamknięciu przez długie miesiące przy chorym...

Piękny włos kiwał głową, mówiąc:

— Oh! to bardzo bolesne!... Bardzo bolesne!

— A pan z Włoch przybył z siostrą? zapytał Marceli.

— Nie! rzekł Cezary. Pani Vignola mieszkała w Paryżu, gdzie ja do niej przyjechałem... Powrócimy do Neapolu, i stale tam zamieszkamy. Lecz dopiero na jesieni... Ah! to bardzo bolesne! Bardzo bolesne!

Marceli widział, że hrabia Cezary nie pragnął się pożegnać, a że zajmowało go to co opowiadał, zaprowadził tedy gościa do altany z ogrodowymi meblami, gdzie nie dochodziły promienie słońca.

— Niech pan siada, bardzo proszę...

Włoch wybrał fotel, rozsiadł się swobodnie, wyjął z kieszeni złotą cyzelowaną papierośnicę i podał ją Marcelemu.

— Można służyć papierosem?

— Z przyjemnością...

Zaczęli palić, a tytuł zdawał się robić Cezarego jeszcze rozmowniejszym.

— Willa, w której mieszka siostra moja, jest bardzo ustronna. Czy ta okolica bezpieczna?...

— Zupełnie. Siostra pana nie potrzebuje niczego się obawiać.

— Tem lepiej. Nie mogę długo być z nią razem... Interesy powołują mnie do Paryża, a myśl pozostawienia jej samą, z panną służącą i dziewczyną do posługi, których nieznam, niepokoi mnie, przyznam się panu. Czy w Ars nie bywa nigdy więcej gości?

— W tej porze roku, nigdy. Sezon kuracyjny rozpoczyna się dopiero w czerwcu, a teraz kwiecień... Za dwa miesiące hotele się napelniają a po drogach uwiązają się będą wszystkie powozy okoliczne... To jest pora, w której ja wyjadę...

— Nie cały rok pan tu mieszka?

— Nie, przybywam od czasu do czasu... Stale mieszkam w Paryżu... Do Ars przyjeżdżam za interesami...

— Posiada pan znakomity zakład przemysłowy...

— Jedną z większych fabryk w tym departamencie... Dziad mój ją założył... Jest ona kolebką naszej rodziny i źródłem naszego majątku... To też ojciec mój, który jest bankierem, nie chciał nigdy pozbyć się tej fabryki i w dalszym ciągu nią się zajmuje, choć daleko większe kapitały zaangażowane są w innych przedsięwzięciach...

— Widzę, że panu powierzył zarząd fabryką...

— O nie... dyrektor, reprezentuje mojego ojca... Ja jestem tutaj niczem, tylko synem właściciela... Nie mieszkam się pod żadnym względem do zarządu tkalni... Mam laboratorium, a ponieważ jestem trochę chemikiem, robię doświadczenia... Lecz wszyscy w okolicy

powiedzą panu, że jestem chemikiem-amatorem, i że wydaję więcej pieniędzy na chemikalia niż moje, tak zwane wynalazki, przyniosą kiedykolwiek dochodu.

Mówiąc to śmiał się wesoło, a piękny włos mu pomagał.

Potem zaczął swym śpiewnym głosem:

— Ah! synowie bogatych rodziców zawsze są fałszywie oceniani. Niezmiernie jest trudno, będąc bogatym, żeby zamilowanie w pracy brano na serjo. Z tego że się nie potrzebuje pieniędzy, ludzie wnioskuja, iż niezdolnym się jest do ich zarobienia... A jednak, dla czego człowiek bogaty nie mógłby być genialnym?

— Oh! panie, a co by się wtedy stało z biedakami?

— Lecz, ciągnął hrabia Cezary z gestem pełnym wdzięku, pan sam lekko się wyraża o swojej pracy, chociaż może ona być bardzo zajmująca?...

— Prawie tak samo zajmującą jak doświadczenia farbiarza... Każę moczyć wełnę w kadziach z farbą, i poszukuję sposobu utrwalenia koloru tak, aby był niezmienny, aby materiały, które będą sprzedawać w przyszłości, nie zmieniały barwy nigdy, ani na wietrze, ani na deszczu, ani na słońcu... Obicia dzisiejsze na meblach, lub na ścianach, niech słońce paruje, już po nich... Materiały dawne, trwałe są jednak... Trwają dotąd. Nasi ojcowie poznali sposoby farbowania, przewyższające nasze... a jednak chemia nowoczesna przedstawia tak wielkie środki... Oto, nad czem pracuję... Widzi pan, że to nie nadzwyczajnego...

— Ma się rozumieć, nie jest to kamień filozoficzny!

Lecz każde odkrycie ma swoją wartość... Otrzymał pan rezultaty zadawalniające?

Marceli ukłonił się drwiąco.

— Umiem cenić pańską grzeczność... Chcesz pan trafić w moją czułą strunę... Wynalazcy skłonni są zawsze do mówienia o swoich pracach, tak myślisz, i muszę odplacić temu chłopcu za uprzejmość jego dla mojej siostry... Złapałbyś się pan napewno, gdybym wziął na serjo pańską ciekawość i gdybym zaczął pokazywać próby moich kolorów?

Zamgliło się spojrzenie włocho, spuścił głowę i głosem smutnym mówił:

— Przykro mi naprawdę, że pan nie wierzy w szczerść słów moich... Wszystko coś pan mówił zajęło mnie szczerze... Nie jestem tak lekkomyślny jak pańscy ziomkowie, a ponieważ pan nie przypuszcza żebym z zadowoleniem obejrzał jego pracę, proszę zatem o łaskę ich zobaczenia... Chyba, że pan żartował, czego mogłem nie zrozumieć z powodu, iż mi uciekają niektóre zwroty pańskiego języka, w takim razie proszę o przebaczenie.

— Ależ nie! Mówiłem zupełnie serjo, rzekł Marceli wesóło. I nie przestaję wierzyć, że pan będzie ukarany za ciekawość... A ponieważ pan okazuje żywą chęć... więc proszę za mną... Otworzę moje laboratorium...

— Bardzo dziękuję! zawołał Cezary. Obawiałem się żeby przykrości panu nie zrobić...

— Czem? Byłbyś pan myślał o rzeczach cudownych jeżeliby nie pokazał mojego ubóstwa... Tylko strzeż się, żeby się nie powalać... Nie wszystko tu jest wzorowo czyste...

Otworzył drzwi pawilonu i wprowadził hrabiego do pierwszego pokoju wyłożonego drzewem, poprzedzającego laboratorium, który służył za gabinet do pracy.

Krew uderzyła do głowy Cezaremu.

Obejrzał się szybko dokoła.

Na biurku w stylu Ludwika XIV przypartem do ściany, rozrzucone były papiery pokryte liczbami.

W szufladzie niedomkniętej pudełka form i kolorów rozmaitych, z etykietami.

Na stole masywnym słoje ze szkła matowego z napisami: kwas siarczany, nitro-benzyna, kwas pikrynowy. I cała serja chloranów. Włoch rzekł, wskazując stół:

— Temi produktami chemicznymi chyba nie do barw się pan posługuje?...

— Nie, rzekł Marcelli dwuznacznie. To dla innej rzeczy...

A że gość jego zbliżał się z ręką wyciągniętą do jednego ze słoików:

— Nie dotykaj pan, to niebezpieczne... gdybyś wypadkiem wylał co się tam zawiera, moglibyśmy, pan i ja, bardzo ucierpieć.. Chodź pan raczej tędy...

Otworzył drzwi laboratorium.

Umieścił włocha w fotelu alchemika przy oknie i rzekł:

— Tu możesz pan palić, jeżeli masz ochotę, bez niebezpieczeństwa... Nic się nie zapali ani wybuchnie.

— Ah! podczas kiedy w sąsiednim pokoju? zapytał włoch niedbale.

— W sąsiednim pokoju, jeżeli pan rzucisz zapalną

nieostrożnie, możesz wysadzić w powietrze całą fabrykę... i nas z nią razem...

— Diavolo! Nie będę palił, nawet tutaj, kochany panie, nie mam ochoty wyjść od pana przez dach.

Patrzył cierpliwie jak Marceli pokazywał swoje piękne próby wełny farbowanej. Słuchał, na pozór uważnie, lecz inteligencja jego pobudzona, oczy przenikliwe pod na pół przymkniętymi powiekami, zajmowały się tą „inną rzeczą“ o której Marceli tak krótko wspomniał.

Lecz nie w laboratorium nie zdawało się odnosić do tej tajemniczej roboty, która wymagała produktów tak strasznych.

— Trzeba, rzekł włoch, żeby pan dał mi tej pięknej wełny w takich bogatych i harmonijnych kolorach. Zaniosę siostrze mojej, która haftuje jak czarodziejka... Zrobi co wspaniałego i będzie mieć zajęcie w samotności, a pan w ten sposób zobaczy efekt swoich barw artystycznie użytych.

— Sam je panu przyniosę, jeżeli mnie do tego upoważnisz, oświadczył Marceli.

— Ależ jak się panu podoba... Jesteśmy zawsze w domu koło piątej godziny. Tylko pośpiesz się pan, jeżeli chcesz mnie jeszcze zastać, gdyż wyjadę niezadługo.

— No, więc jutro, jeżeli pan pozwoli?...

— Dobrze! Jutro!

Włoch podniósł się. Obszedł laboratorium i zbliżył się do okna z widokiem na rzekę.

— Ah! Mieszkasz pan nad wodą... Możesz pan bawić się rybołóstwem nie schodząc nawet do ogrodu... Nie obawiasz się, żeby kto wszedł tędy? Dość byłoby

łódki i kilku maruderów, aby dostać się do tego pawilonu.

— Komu, u diabła, przyszłaby podobna myśl do głowy? zawołał Marceli. I coby tu zabrali? Nie nie ma, wszyscy o tem wiedzą... Wreszcie ludzie tutejsi bardzo są uczciwi...

— Lecz w fabryce, czy nie ma obcych robotników?

— Bardzo mało. Kilku belgów... lub luksemburczyków... O ile możemy najmniej zatrudniamy obcych, gdyż trudni są do prowadzenia.

— Nie mieszka pan w tym odosobnionym pawilonie? I nie nocuje nigdy?

— Nie! Nie ma tu mieszkania... Strych po nad temi dolnemi pokojami, i to wszystko... Ja mieszkam w domu naprzeciwko dyrektora. Mały jest, lecz bardzo wygodny. Wuj mój, Graff, przebywał w nim długo...

— Szczęśliwyś pan, bo masz rodzinę, rzekł Cezary z gestem melancholijnym. Siostra moja i ja, jesteśmy sami... Nieporozumienia pieniężne poróżniły nas z rodziną Briviesca... Pan Vignola nie miał także rodziny. Musimy być wszystkiem jedno dla drugiego...

— Siostra pana jest młoda i bardzo ładna. Może jeszcze wyjść za mąż.

— Nie myśli o tem wcale... Po tylu smutkach w pożyciu z panem Vignola, wzdycha tylko do ciszy i spokoju... Oh! ona dużo przecierpiała! Nieszczęśliwy Vignola, niedołężny, zniszczony chorobą, szalenie był zazdrosny. Nie pozwolił żonie na godzinę odejść od siebie. Ciągle chciał ją mieć przed oczyma... Umierając zostawił jej wielki majątek... Słaba kompensata za wszyst-

kie tortury jakie przeniesła z jego powodu! Wreszcie umarł! Panie, świeć nad jego duszą!

— Siostra pana niema dzieci?

— Nie, panie, i to jej największe zmartwienie.

Obraz młodej kobiety w czerni, przechadzającej się w lesie, smutnej i melancholijnej, stanął przed oczyma Marcelego. Znadto ładna, żeby nie miała się pocieszyć po stracie starego męża! W jakim wieku ona być mogła? Dwadzieścia pięć lat najwyżej i żadnej znajomości życia, oprócz boleści i smutku.

Cezary podniósł się i pożegnał swoim śpiewnym głosem.

Marceli odprowadził go przez ogród aż do bramy żelaznej i tam z uśmiechem serdeczym dodał:

— Do jutra, zatem panie; moje uszanowanie oświadcz pan swojej siostrze.

Włoch odszedł, Marceli skierował się do fabryki, kiedy ujrzał idącego ku sobie pana Cardez, czerwieńszego jeszcze niż zazwyczaj i z czołem zmarszczonem.

— Ah! panie Marceli, rzekł, szedłem do pana... Mam trudności i prawdziwie rad jestem z obecności pana w fabryce, żebyś pan sobie z tego zdał sprawę i objaśnił panów Baradier i Graff.

— Cóż się tam stało?

— Farbiarze i rozczesywacze wełny grożą bezrobociem.

— Z kąd pochodzi ich niezadowolenie?

— A wie pan, rzekł Cardez, patrząc ponuro na Marcelego, jaka jest właściwa przyczyna niezadowolenia farbiarzy?

— Prawdziwa przyczyna! Manifestacje ich są więc tylko pretekstem?

— Tak. Ci robotnicy, których los zajmuje pana, nie są szczerzy. Nigdy nie pokażą głębi swoich myśli... Otóż farbiarze na tajemnych naradach mówili przeciw pana wynalazkom i te nowe sposoby farbowania spowodowały niezadowolenie.

— Ach! głupcy!

Chmurna twarz Cardeza okryła się wyrazem tryumfu.

— A nie mówiłem! Jest to proceder, którego jeszcze nie znają i utrzymują, że szukając go, miałeś pan na celu uproszczenie pracy ręcznej, i co zatem idzie, możliwość obejścia się bez robotników... Więc podburzają do bezrobocia, aby otrzymać ustępstwa w pracy i podwyższenie zarobku...

— Złych mają doradców. Zrozumieliby, gdyby im kto dobrze wytłómaczył. Zobaczyliby wtedy, że zamiast im szkodzić, ulepszenia poczynione przezemnie w fabrykacji, są na ich korzyść...

— Nigdy nie uwierzą.

— A jak im dowiodę?

— Przywódcy dowiodą im przeciwnie.

— Kto ich podburza?

— Belgowie!

— Wypędź ich pan!

— Ach to byłaby wielka nieostrożność! Lepiej daleko użyć cierpliwości układów i starać się przyjsć do porozumienia... To są Walończycy, a skoro wypiją kieliszek wódki zanadto, wszystkiego można się od nich obawiać... Dobrzy robotnicy, ale gwałtowni jak diabły...

Teraz, jeżeli pan chce zwołać ich i przemówić, zobacz pan co się da z nimi zrobić...

Mówił to drwiąco. Marceli rozumiał dobrze, że dyrektor silny doświadczeniem, myślał w duchu:

— Idź no, zetknij się z tymi gburami, młodzik, a nauczysz się ich poznawać. Praw im piękne mowy dla wytłómaczenia, iż korzystniej dla nich pracować dobrze i spokojnie. Spróbuj otrzymać aprobatę. Potem przyjdiesz i opowiesz mi, coś otrzymał.

Marceli nie chciał dłużej dyskutować z dyrektorem. Uważał za potrzebne nie osłabiać władzy tegoż w chwili krytycznej. Postanowił raczej pomagać mu, aby unikać przewidywanych trudności.

— Możesz być pewny, panie Cardez, iż wszystko co będę mógł zrobić, by ci dopomódz, potrzebujesz mi tylko wskazać. Być może, iż nie jednakowe mamy poglądy na sposoby uregulowania kwestji robotniczej. Lecz nie wtedy, gdy ogień w domu, czas jest dyskutować nad systemem narzędzi, które z nich będą pewniejsze do ugaszenia pożaru. Najlepiej posługiwać się tymi, które są pod ręką. Rób pan więc to, co uważasz za stosowne. Czy zawiadomiłeś mojego ojca?

— Nie, zaprawdę. Nie mam zwyczaju zaprzatać głowy tym panom opowiadaniem trudności prowadzenia fabryki. Jeżeli położenie przybierze groźniejsze rozmiary, dosyć czasu wtedy...

— Bardzo dobrze! Czekajmy zatem...

W tym samym czasie hrabia Cezary Agostini powrócił do wili i minawszy ogródek, wchodził do małego saloniku na parterze, w którym młoda kobieta w

żałobie, leżąc na szezlongu, czytała z roztargnieniem jakąś powieść.

Słońce zachodzące wpadało oknami i złociło swym blaskiem twarz pięknej pani.

Nie była to już melancholijna i nieśmiała wdowa, spotkana w lesie. Włosy podniesione nad czołem, nadawały delikatnemu profilowi zwykłą dumę i wyniosłość. Spojrzenie było żywe i śmiałe. Usta purpurowe śmiały się rozkosznie.

Na szmer kroków Cezarego młoda kobieta odrzuciła książkę, zerwała się żywo z szezlongu i głosem wesołym zapytała:

— No, cóż, caro mio, powróciłeś? Zadowolony jesteś z poselstwa?

— Jak tylko można... Widziałem twojego gołąbka... Sam w sieć leci.. Nie będziesz miała zasługi podskuć takiego ptaszka, Sophio!

Ona śmiać się zaczęła:

— Nie dbam o zasługę, powodzenie mi wystarczy. Obejdę się bez sławy. Więc zastałeś grunt dobrze przygotowany?

— Zdaje się, że z powodu braku rozrywek w okolicy, twoje ukazanie się w lesie zrobiło na Marcelim wrażenie.

— Przyjdzie zatem?

— Nie później jak jutro... Zawiadomiłem go, że wyjeżdżam. Będziesz miała wolne pole do twoich manewrów... Poprowadź mi ten interes gładko.. Należy ci się przecie rewanz...

— Eh! mój drogi, pierwszy raz się nie udało przez

głupi upór Hansa. Gdyby pozwolił mi był działać według mego zdania, generał byłby mi ofiarował swoje formuły na srebrnej tacy i na klęczkach... Hans chciał wszystko przyspieszyć, a stary Tremont, choć bardzo zakochany, zaczął podejrzewać. Brzydka awantura, w której nasz przyjaciel stracił rękę, a my o mało wszyscy nie zostaliśmy skompromitowani! A co jest najgłupsze, to, że generał powiedział do Hansa, pokazując mu kuferek stalowy... Piękny kuferek od Fiche'ta, z jednym z tych godnych podziwiania zamków tak skomplikowanych, które do niczego nie służą: „Patrz no, mój kochany, niepodobieństwo otworzyć bez mojego pozwolenia... Tam są ważne tajemnice... kto podniesie wieko, znajdzie wszystkie moje formuły... Lecz jest sposób uniesienia wieka... Można przytem życie postradać...” Prawdę mówił stary Tremont! Ze swojego kuferka uczynił bombę... Trzeba było umieć się z nim obchodzić... Hans myślał, że potrafi... Lecz nie dowierzał sobie! Przez ostrożność wyszedł na peron przed domem i tu mordował się z otworzeniem... Ah! caro mio, kiedy wybuch nastąpił, ziemia zadrżała... Byłam już w powozie, wracałam do Paryża... Wstrząśnienie było tak silne, że okna w portjerach karety zadzwieczyły... Ja pomyślałam: otóż mój Hans wszystko zniszczył... Nie sądziłam; że miałam rację... Dom został w gruzach... I niepodobna pojąć, w jaki sposób Hans, któremu udało się otworzyć zamek przy kuferku, i który, leżąc na ziemi o dwadzieścia metrów po za drzewem, pociągał wieko sznurem, obawiając się nie

bez racji jakiego szatańskiego pomysłu, nie został w kawałki poszarpany...

— Lecz skoro zamek przy kuferku był otwarty, w jaki sposób eksplozja nastąpiła?

— Wtedy jak wieko się uniosło, dopiero wszystko wybuchnęło. Czy kuferek się przewrócił? Był jednak bardzo ciężki... Czy był specjalny sposób ułatwiania go przy otwieraniu? Czy był tam system zegarowy? Wszystko to przypuszczenia. To tylko pewne, że w jednej sekundzie kuferek, formuły, prochy, dom, ręka Hansa i nasze nadzieje, wszystko przepadło! Trzeba było takiej energii, jaką posiadał nasz przyjaciel, żeby nie zostać pochwyconym przez ludzi ze wszech stron napływających... I wierz, mi, że dopóki nie miałam pewności, iż nikt go już nie znajdzie, nie byłam spokojna...

— Ah! tyś mądra kobieta, Sophio, prawdziwie odważna i zręczna... Teraz chodzi o naprawienie pierwszej porażki i o wyprowadzenie w pole tego niemądrego panicza.

— Spuść się na mnie... Chłopiec ten wydał mi się ładny...

— Przystojny. Tylko się nie zakochaj przynajmniej! Sophia zaczęła śmiać się głośno:

— Mam co innego do roboty... A w dodatku, Cezary, czyż tak łatwo znaleźć dla ciebie rywala?

Piękny włos pokreślił głową:

— Dziwna jesteś, Sophio. Czyż właśnie nie to, co trudne, nęci cię najwięcej?

— Scena zazdrości, Cezary, pomiędzy nami? rzekła Sophia z ironiczną wymówką. Za dobrze znamy nasze

wady i zalety. Czyż ja będę zazdrosna jak ty ożenisz się z córką arcybogatego Lichtenbacha? Będziesz miał jednak żonę, będziesz z nią żył... Lecz co mnie to obchodzi, jeżeli serce twoje będzie do mnie należało? A ty, czy się nachmurzysz, jeżeli będę zmuszona dać coś z siebie, żeby młody Marcelli wydał mi wszystko co do niego należy, a głównie to co nie należy? Moja piękność, kochanku, jest kapitałem, od którego trzeba ciągnąć jaknajwiększe procenty. Najważniejsze, żebyś ty dostał dywidendę. Na resztę zamknij oczy i pozostaw mi swobodę. Wreszcie, na nieby nie posłużyło postępować inaczej... Wiesz dobrze, że zawsze robiłam to tylko, co mi się podobało, nawet z daleko potężniejszymi niż ty osobnikami!

— No! no! Sophia, nie unoś się. Gdybym cię nie powstrzymał, byłabyś mi zaczęła grozić! Ah! straszna jesteś kobieta... silną masz wolę!

— Tak. W tej chwili jest moją wolą wsadzić młodego Baradier do kieszeni.

— Biedak! Za łatwo ci to przyjdzie!

— Żałuj mnie teraz, bardzo proszę!

Zaczęli się śmiać oboje, potem młoda kobieta zapytała:

— Zwiedziłeś mieszkanie?

— Tak. Bez najmniejszej trudności otrzymałem wstęp do laboratorium.

— Co tam godnego uwagi widziałeś?

— Nie mało pajęczyny, dużo buteleczek potłuczonych i kadzie z różnemi farbami, w których mokła wełna,

— A nie, co by podobne było do prochów, których szukamy?

— Nic wcale. Powinienem jednak powiedzieć, że w pierwszym pokoju w pawilonie, nasz młodzieniec uprzedził mnie miłosiernie, iż, jeżeli dotknę jednego ze słoików na stole, może wyniknąć katastrofa... Tam więc manipuluje swoje produkty, lub je przechowuje... W pokoju sąsiednim niema nic podejrzanego. Powiedział: tu możesz pan palić, jeżeli chcesz, bez niebezpieczeństwa...

— Dobrze o tem wiedzieć.

— Myślisz iść do niego?

— Nie myślę o niczem i myślę o wszystkim. Czy można wiedzieć jakich się sposobów użyje. Mądrość zależy na przygotowaniu kilku, ażeby nie być zaskoczonym niespodzianiem. Zobowiązałam się dostarczyć formuły generała de Tremont. To jest dla mnie jednocześnie kwestją pieniężną i kwestją miłości własnej. Ja nie przypuszczam nieudania się przedsięwzięcia. Nasi przyjaciele zagraniczni uważaliby mnie za kobietę bez wartości, gdyby mi się nie udało, a wiesz co dla mnie znaczy ich poparcie. Dopóki będzie trwał wpływ jakim rozporządzam, baron Grodsko będzie się trzymał na stronie i mną się nie zajmował. Niech jutro przestane być protegowaną, a Bóg jeden wie jakie będę musiała mu zdawać rachunki!...

Cezary spojrzał ze zdziwieniem na młodą kobietę.

— Ah! jesteś prawie wzruszona!... Więc się tak obawiasz tamtego?

Sophia spoważniała.

— Nikogo w świecie się nie obawiam, wiesz o tem dobrze, lecz Grodsko, to straszny człowiek, przedewszystkiem jak nie jest pijany...

— Dodajmy zaraz, iż jest nim zawsze. Czy dla tego, że pić lubi?

— Nie! dla tego żeby zapomnieć.

— Zapomnieć, czego? Ciebie?

— Być może

— Kochał cię namiennie?

— Tak jak wszyscy...

— Jak dawno go nie widziałaś?

— Kilka lat.

— Czy zawsze siedzi w Monte Carlo?

— W zimie. W lecie mieszka w Wiedniu.

— I czy w Monte-Carlo, czy w Wiedniu, pije zawsze?

— I gra. Lecz ma sposób picia, który pozostawia mu tyle przytomności, że grać może...

— I wygrywa?

— Często. Ale cóż to dla niego znaczy?

— Taki bogaty, że wygrana mu obojętna? Szczęśliwy człowiek!

— Grodsko jest posiadaczem całego powiatu w Morawii... Ma wsie, lasy i góry... Lasy dostarczają najpiękniejszego drzewa w Europie... W górach są kopalnie, z których wydobywają cynę i miedź... Ze wsi swoich zaś, gdyby zwołał samą młodzież, na wypadek wojny dostarczyłby dwa pułki...

— I tyś porzuciła takiego nababa?

— Dla chłopca, który miał tylko ładną buzię, tak, mój kochany...

— A cóż na to powiedział Grodsko?

— Nie nie powiedział. Puścił się w pogoń za nami, dogonił chłopca i zabił go...

— A ty?...

— Ja przedostałam się za granicę i tam czekałam na mojego kochanka...

— A to Grodsko przybył?

— Tak, Grodsko przybył.

— I nastąpiła?

— Rozmowa, w toku której ośmielił się podnieść rękę na mnie, a ja wepchnęłam mu nóż w ramię, siedziałam bowiem przy śniadaniu...

— Wykwintne stosunki! I po wszystkim?

— Nie. Związał mnie i w swoim powozie odwiózł do Wiednia... Ztamtąd udało mi się umknąć, dzięki wpływom, którym nie oprzeć się nie może... Drogo mnie kosztowało zdobycie wolności... Lecz od tego dnia nie potrzebuję niczego się obawiać i mogę bujać po świecie, gdzie mnie tylko fantazja poniesie...

— Któż jest tą osobą wpływową?

Sophia popatrzyła drwiąco na pięknego włocha, stuknęła w palce jak w kastaniety i odpowiedziała:

— Gdyby ciebie się zapytano, powiedziałbyś, że nie wiesz!...

— Nie ufasz mi, Sophio?

— Ja nikomu nie ufam, zaledwie sobie... Bądź mi wdzięczny za szczerość. Mogłabym ci opowiadać historje, że to był minister policji, który mi dał klucz wolności, lub jaki książę, lub ambasador państwa zagranicznego... lub coś podobnego... Wiedz tylko, że

zaciągnęłam obowiązki względem tych, którzy mi służyli i że teraz ja im służę...

— Dobry interes zrobili! Taki jak ty sprzymierzeniec! Czy jest druga na świecie kobieta, któraby ciebie była warta? Ty masz geniusz zepsucia, i nie wierzę żeby było sumienie, zdolne oprzeć się tobie. Co tylko przedsięweźmiesz, jeżeli chodzi żeby uwieść i oczarować, to wszystko ci się powiedzie. Ah! twoja władza jest bardzo wielka i bardzo straszna!

Sophia uśmiechnęła się gorzko, podniosła głowę, a twarz przybrała wyraz groźny.

— Cała moja władza znajduje się w mojej pogardzie dla ludzkości. Podług mnie ludzie zdolni są do wszystkiego. Jedyna kwestja, znaleźć sposób kazania im działać. Widziałam najodważniejszych jak drżeli w obliczu śmierci, z żalu, że nie będą mogli już używać. Najsurowsi na punkcie honoru, w walce z potrzebą, gotowi byli do ustępstw. A żeby zrobić z mężczyzny uczciwego, złodzieja, wystarczy uśmiech kobiety. A żeby pociągnąć najłagodniejszego do krwi przelewu, trzeba było pobudzić w nim zazdrość. Ten nędzny rodzaj męzki, zaludniający ziemię, działa bezwiednie, nie czując nawet wpływów, które nim rządzą. Poruszają się jak manekiny, które za sznurek pociąga ręka śmiała i dokonywają podług jej woli czynów wzniosłych lub podłych. Wznoszą się w górę ku podziwowi ogólnemu, lub tarzają się w krwi i błocie. I czego było do tego trzeba? Wpływu dobrego lub przewrotnego, sznurka pociągniętego w dobrą lub złą stronę. A mężczyzna, agent nieodpowiedzialny przeznaczenia, uważany jest

jak bohater lub rozbójnik, i oprowadzany w tryumfie lub ciśnięty w błoto.

— A cnota, Sophio, miłość dobrego?

— To wypadkowe, mój drogi. Nie rób z tego reguły ogólnej... Większość jest cnotliwą, bo nie ma okazji zostać zbrodniczą. Dusza ludzka, Cezary, jest gruntem przygotowanym pod siew... Otóż ja, ja jestem siewcą, i sieję ziarno zepsucia... Młody Marceli Baradier będzie mojem polem doświadczalnym!

— Można mu powinszować!

— Gdyby się był zadowolnił rolą fabrykanta materiałów wełnianych lub rolą bankiera, nie spotkałoby go nic z tego, co się dla niego przygotowuje... Byłby żył spokojnie i szczęśliwie... Ale zachciało mu się chemii i to wszystko popsuło.

Słońce zapadło za wzgórze. Ciemność zaległa salonik. Sophia i Cezary już się prawie nie widzieli. Zdało się, że głosy ich nawet stały się ponure. Młoda kobieta podniosła się:

— No! rzekła, przestańmy filozofować... Czegoż to wszystko dowodzi? To są tylko słowa. A szczęście nie tym sprzyja którzy w słowach się rozpraszają, lecz tym, którzy potrafią działać...

VII.

Od dwóch tygodni jak przebywał w fabryce, Baudouin z wielkiem zdziwieniem patrzył na stopniową zmianę zachodzącą w jego młodym panu.

Marceli przeszedł z zupełnego spokoju do nadzwyczajnego podniecenia.

On, który większość czasu używał na zajęcia w pawilonie lub na marzenia bez celu, zaczął nagle wychodzić zaraz po śniadaniu, ażeby wracać dopiero późno w nocy.

Laboratorium zostało zaniedbane, fabryka zdana na Cardeza, bez żadnej kontroli.

A faktem najwięcej znaczącym, było ubranie Marcelgo, które zmieniło się równie jak jego zwyczaje.

Poszły w kąć skromne wiejskie kostiumy: kapelusz miękki i grube trzewiki. Elegancja skromna, wyrafinowana, a przytem wygląd zupełnie różny od poprzedniego: oczy jasne, usta wilgotne, nawet głos dźwięczniejszy.

Baudouin myślał: w tem kryje się kobieta.

Miał on doświadczenie nabyte przy generale de Tremont. Znał to naprężenie nerwów, ożywienie wewnętrzne przebijające w każdym ruchu.

Wiedział co znaczy ciche pogwizdywanie wesole i lekki krok, i poruszenia gorączkowe, i coś w postawie zwycięskiego. W tem kryje się kobieta! Niepodobna było wątpić.

Baudouin w głowę zachodził.

W tym głuchym kącie, gdzie u diabła, pan jego mógł znaleźć okazję, żeby się tak rozplómić? Rozpoczął śledztwo dyskretne...

Poznał się z właścicielem „Złotego Lwa“, najprzedszego hotelu w Ars, dawnym kucharzem, który służył także w wojsku i z przyjemnością nosił w niedzielę, w butonierce wstążeczkę żółtą z niebieskiem, pamiątkę z Tonkinu.

Baudouin rozmawiał z nim przy kieliszku gorzkiej i słuchał opowiadań różnych historii okolicznych.

Pytał także: czy są obcy w mieście? W jego hotelu czy przybył kto nowy? Czy można widzieć ładne kobiety spacerujące po ulicach?

Właściciel hotelu na te wszystkie pytania odpowiadał kategorycznie. Nikt z tych co mieszkali u niego, ani u jego konkurentów, ani w Ars, nie mógł być podejrzanym, nawet przez bujną imaginację, aby stał się powodem podniecenia Marcelego. „Złoty Lew“ miał u siebie cztery liczne rodziny i dwa młode małżeństwa. Lecz żadna z kobiet należąca do tych rodzin, nie posiadała ani figury, ani twarzy zdolnej zawrócić głowę.

Na spacerach miejskich nie widziano ani jednej tak dystygowanej spódniczki, żeby aż syn Baradiera i Graffa, chciał za nią gonić. Pozostało poszukiwanie w okolicy.

— W willi Cavée, mówił oberżysta, jest młody pan i młoda dama. Lecz oboje w grubej żałobie, nie bywają wcale w mieście i żyją kompletnie odosobnieni. Zamawiali trzy razy powóz na spacer w okolice miasta. Młoda dama nie pokazała się nigdy w Ars i nie umiałbym powiedzieć czy jest ładna lub brzydka. Stangret mój, który ich woził, mówi, że są bardzo smutni. Sądzi, że to brat i siostra... W każdym razie, nie są francuzami.

Baudouin niczego więcej się nie dowiedział. Lecz to było wystarczające. Obiecał sobie śledzić dyskretnie swojego pana, aby przekonać się o celu jego wycieczek.

Żałoba i smutek młodej kobiety nie wydały mu się

słuszną racją, aby pan jego nie mógł się zakochać. Przeciwnie. Instynktownie nie ufał tym ludziom, którzy podawali się za brata i siostrę i którzy byli cudzoziemcami.

Nazajutrz przyjaciel jego z pod „Złotego Lwa“, powiedział:

— Mam coś nowego o tych ludziach z willi. Młody pan wyjechał dziś rano. Zażądał powozu i kazał się odwieźć na stację kolei. Pojechał do Paryża, rzeczy oddawał na bagaż stangret.

Młoda pani została sama.

Baudouin zauważył, że tego dnia pan jego powrócił później niż zwykle, a na kurtce, którą zdjął z siebie, znalazł żdźbła mchu, jak gdyby Marceli na spacerze siadał w lesie.

Nazajutrz około godziny drugiej po południu młody człowiek znów wyszedł.

Baudouin, który urządził się tak, żeby go śledzić, wyszedł wpierw i czekał na dole Cavée, ażeby upewnić się czy w tę stronę chodzi.

Siedząc w altance przed karczmą, tuż pod miastem, nie spuszczał z oczu drogi z Ars, która pięła się w górę do lasu Bossicant.

Po półgodzinnem oczekiwaniu ujrzał Marcelego, zdążającego szybkim krokiem, z laską pod pachą, ubranego w szary garnitur, w rękawiczkach, w ładnym słomianym kapeluszu, z twarzą ożywioną i wzrokiem błyszczącym.

— Tuś mi, przyjacielu, pomyślał Baudouin, idziesz

do twojej pięknej pani! Nie spieszyłbyś się tak, gdyby szło tylko o herboryzowanie w dolinie.

Pozwolił młodemu człowiekowi wyprzedzić się, potem, ostrożnie poszedł za nim.

Rzeczywiście, Marceli szedł do willi.

Odkąd został przedstawiony pani Vignola, życie jego uległo kompletnemu przewrotowi.

Nie myślał już ani o chemii, ani o fabryce, ani o swojej rodzinie. Nic dla niego nie istniało, oprócz zachwycającej włoszki. Gdyby wuj Graff mógł widzieć swego siostrzeńca, powiedziałby: „Masz tobie, ten głupiec znów oszalał!“ Bo on znał dobrze ten stan gorączkowy, który czynił Marcelego niezdolnym do myślenia o czem innem, jak tylko o tej, którą sobie głowę zawrócił, a zdolnym tylko do wszelkich możebnych szaleństw, żeby ją osiąść.

Lecz znakiem szczególnym miłości u tego młodego zapaleńca była ścisłość wyrozumowana z jaką postępował w takim razie.

Inżynierem był i matematykiem, nawet w miłości. Niczego nie zaniedbywał, z wszystkiego korzystał do posuwania podkopów, a staranie się jego o wzajemność kobiety, wyglądało jak prawdziwe obleganie fortecy. „Co najlepsze jest u niego“, mówił także wuj Graff „to, że za każdym razem jak kocha nową kobietę, zapomina o wszystkich poprzedzających, uważa ostatnią za najpiękniejszą na całym świecie, i przysięga że nigdy nie kochał, tylko tę jedną.“

Pół dnia wystarczyło pani Vignola, pół dnia spę-

dzanego z Marcelim w obecności brata, aby zawładnąć całą myślą młodego człowieka.

Taka była zachwycająca, taka skromna, wstydliwa a taka uwodzicielka, że Cezary, który jednak wiedział do czego jest zdolna ta znakomita aktorka, osłupiał prawie z podziwu.

Sztuka uwodzenia posunięta do takiej doskonałości, stawiała się geniuszem. I, jak prawdziwy dyletant, piękny włosz śledził fazy manewrów swojej siostry.

Dwie godziny, które Marceli przebył w willi przemknęły z szybkością marzenia.

I zakochany młodziniec musiał odejść, kiedy zdało mu się, że tylko co przyszedł.

Prawda, że pani Vignola na prośbę brata, usiadła do fortepianu i głosem poważnym, przejmującym, pełnym wyrazu, śpiewała pieśni dalmackie, jak prawdziwa artystka.

Marceli, sam bardzo muzykalny, akompaniował pięknej pani, potem ofiarował się przynieść nuty, które miał w Ars, na urozmaicenie samotnych wieczorów.

Na jego prośbę Cezary opóźnił wyjazd i po południu dnia następnego spędzili razem w lesie Bossicant, na błądzenie po ścieżkach ustronnych, oddychaniu świeżem powietrzem na płaskowzgórzu, siedzeniu na polankach i rozmowie poufalej.

Wieczorem Cezary z uśmiechem wskazał Marcelemu mu ożywioną i zaróżowioną twarz swojej siostry:

— Patrz pan jak rozrywka dobrze jej zrobiła. Zmieniła się do niepoznania. Ah! żeby ona mogła tak samo

co dzień zapominać o swoich zmartwieniach, zdrowieby jej powróciło bardzo prędko a z niem siły i wesołość.

— Niech pan nie odjeżdża! odpowiedział Marcelli.

— Eh! to nie ja tak na nią wpływam, rzekł nierozważnie piękny włoch.

Poprawił się, zdawał się żałować, iż tak szczerze mówił.

— Obcy ludzie, widzi pan, wpływają łatwiej, niż zwykle otoczenie na szczęśliwą zmianę usposobienia tych, którzy cierpią...

— Ależ siostra pana nie jest cierpiącą! Spójrzyj jak idzie przed nami krokiem silnym i zręcznym...

— Tak, w tej chwili nerwy ją podtrzymują. Wieczorem znów zapadnie w melancholię, w prostrację. Nie będę mógł z niej słowa wyciągnąć...

— Gdyby pan mnie upoważnił do odwiedzania siostry i gdyby ona pozwoliła, z największą przyjemnością dotrzymywałbym jej towarzystwa...

Włoch uściśnął ręce Marcelego z wybuchem wdzięczności:

— Dziękuję panu za taką dobroć! Lecz to byłoby za wiele wymagać... Biedna Aneta wyczerpałaby prędko twoją cierpliwość! To jest dziecko zepsute... Nie znasz jej pan jeszcze...

Nie mogli dalej mówić swobodnie, pani Vignola obróciła się i patrzyła na nich pytająco:

— Co tam panowie we dwóch spiskujecie?

— Hrabia Cezary zdaje na mnie władzę swoją nad panią, podczas jego nieobecności, rzekł Marcelli wesoło. Czyni mnie odpowiedzialnym za stan pani umysłu. Od

jutra ja odpowiadam za zły lub dobry jej humor. Lecz musi pani poddać się mojej tyranii...

Zatrzymała się, twarz jej oblokła się w powagę i głosem swoim przenikającym do duszy i trochę niskim, rzekła:

— Tak, on ma rację. Nie trzeba mnie opuszczać. Kiedy sama jestem, umysł mój pracuje boleśnie, czarne myśli mnie opadają... Bądź mi pan przyjacielem... Cezary powróci prędko i podejmiemy napowrót nasze wycieczki do lasu... Aż do tego czasu przychodź pan do willi... Będiesz zawsze przyjęty z wdzięcznością...

Hrabia Agostini wyjechał, a Marceli, ponieważ zaprosiła go piękna Aneta, chodził codzień do Cavée.

I teraz w miarę zbliżania się pośpieszał. Chód jego stał się tak szybki, że czoło się czerwieniło. Chciałby mieć skrzydła, aby być prędzej przy tej, która na niego czekała.

Jednak dochodząc do willi, zwolnił naraz kroku.

Usłyszał zdaleka głos pani Vignola rozchodzący się w ciszy ogrodu.

Śpiewała sama w salonie, przy otwartych oknach, a melodia namiętna, którą cieniowała z artyzmem i uczuciem zadziwiającem, wprawiała w dreszcz Marcelgo. Była to cantilena cygańska, kompozytora Marackezy, wielkiego artysty węgierskiego, zmarłego ze zmartwienia w pełni geniuszu i sławy. Lecz oto śpiew ustał, jakby łkaniem przerwany.

Marcelemu wydało się, że serce kobiety śpiewającej pękło pod naciskiem bólu tajemnego.

Nie mógł zapanować nad sobą, wpadł do ogrodu, a potem bez oznajmienia, do salonu.

Pani Vignola siedziała jeszcze przy fortepianie. Piękną głowę wsparła na ręce i gorzko płakała.

Na ten widok Marceli krzyknął boleśnie, młoda kobieta zerwała się, wstrząsnęła, zdawała się wstydzić, że Marceli zszedł ją w takim stanie, a podając mu rękę, rzekła:

— Przepraszam pana... Nie powinnam nigdy śpiewać, jak jestem sama... Śpiew źle na mnie działa, przypomina chwile bolesne.

— Boże mój! Co to takiego?... Powiedz pani zaufaj mi ..

— Nie, nie! Niech pan nie pyta...

Zamknęła fortepian i zmuszając się do uśmiechu, rzekła:

— Nie mówmy o mnie... Mówmy o panu.

Popatrzyła na Marcelego i tonem słodkiej wymówki dodała:

— Jak panu gorąco! Za szybko biegleś... A to wzgórze takie strome!... Ja teraz będę się gniewać, jeżeli nie będziesz rozsądniejszy... W salonie zimno, może panu zaszkodzić... Chodźmy do ogrodu.

Poszedł za nią postusznie.

Chodzili po małych uliczkach między kwiatami, potem usiedli pod bzem kwitnącym i w cieniu pełnym zapachu, rozmawiali o wszystkim, wyjąwszy o tem, co mieli na myśli.

Baudouin nie stracił z oczu swego młodego pana. Skoro Marceli wszedł do willi, sługa zbliżył się ostrożnie.

Ponieważ śpiew pani Vignola ustał od chwili ukazania się Marcelego, Baudouin zatem nie mógł słyszeć.

Strzegł się przejść przed drzwiami. Zawrócił na ścieżkę idącą pod murowanym parkanem, który od strony lasu opierał się o wzgórek dość wyniosły, zarosły drzewami.

Wdrapał się na ten wzgórek, schował pomiędzy krzaki i widział ztamtąd część ogrodu.

Bzy, pod któremi rozmawiali Aneta i Marceli, rosły u stóp wzgórza, które Baudouin wybrał na obserwatorium.

O trzydzieści metrów odległości, młody człowiek i piękna wdowa siedzieli do niego tyłem.

Baudouin myślał:

— Kto może być ta djabelska kobieta? Cała czarno ubrana. Wygląda młodo, postawę ma bardzo ładną. Można powiedzieć, że pan Marceli ma dobry nos... W tym zapadłym kącie, kiedy jeszcze nie zaczął się sezon gości kąpielowych, naraz ukazuje się spódniczka na horyzoncie i zaraz mój młody pan udaje się na wyprawę, i oto jest już przyjacielem domu... A niema jeszcze tygodnia, jak się to zaczęło. Ah! ten czasu nie traci! Ale czy mu nie ułatwiono przystępu, czy nie skrócono kroków przedwstępnych? Po co ona tu przyjechała, ta młoda cudzoziemka i jaki ma w tem interes zaznajamiać się odrazu z panem Marcelim? O czem oni mówią? Napewno nie o interesach! A więc o miłości? A o czemże byłaby mowa pomiędzy pięknym chłopcem i ładną kobietą? Lecz miłość, to jak przy-

nęta na końcu wędki. Ryba nie widzi haczyka, ukryty dobrze pod przynętą i dopiero poczuje go w danej chwili.

Podeczas kiedy on monologował, młodzi rozmawiali w dalszym ciągu. Siedzieli spokojnie blisko siebie i nawet dźwięk ich głosu nie dochodził Baudouina.

Po godzinie podnieśli się i młoda kobieta obróciła się w stronę Baudouina. Przypatrywał jej się z podziwem, gdyż nigdy tak pięknej twarzy nie widział. Lecz musiał przyznać, że pierwszy raz w życiu ją widzi. Wreszcie jak mógł szukać podobieństwa? „Tamtą“ kobietę, tę z Vannes, widział raz tylko w mroku nocnym i nie w ten sposób, żeby poznać. Nie miał innych wskazówek, jak jej perfumy ulubione, takie charakterystyczne, i głos, który dźwięczał w uszach.

Myślał: gdybym mógł słyszeć tę mówiącą. Po trzech słowach potrafiłbym poznać.

Poruszył się z ukontentowaniem za swoim krzakiem.

Młoda para bowiem zwróciła się w ulicę, idącą pod murem, o dziesięć kroków od kryjówki Baudouina.

Szli krokiem miarowym, mówili nie domyślając się, że ktoś ich podsłuchuje. A dawny żołnierz, jak myśliwy na czatach, który widzi zbliżającą się zdobyczą upragnioną, z sercem bijącym, ze wzrokiem trochę zamięmionym, nadstawiał uszu z całą uwagą, do jakiej był zdolny. Słyszał Marcelego, który w dalszym ciągu mówił:

— Teraz, kiedy pani wolna, czy powróciłaby pani do dawnych zamiarów?

A kobieta głosem pieśczonego, z akcentem włoskim:

— Po co? Teraz jestem stara. Mam lat dwadzieścia

siedm... Moje życie skończone. Powodzenie artystyczne nie miałyby dla mnie żadnej wartości... Śpiewać w teatrze, publicznie wystawiać się na ciekawe spojrzenia? Oh! nie! Nie myślę już o tem.

— A jednak czekałyby panią oklaski, hołdy.

— Dla kogo? Komuby to radość przyniosło?

Przeszli, a Baudouin szukając w pamięci, przypominając różne chwile, musiał przyznać przed sobą, że kobieta w żałobie nie miała takiego głosu ani takiej wymowy jak tamta... ta, która śmierć z sobą przyniosła.

Widział jak oboje weszli do domu, potem fortepian się odezwał i głos czysty, namiętny, przejmujący głos młodej kobiety rozległ się w cichym lesie.

Baudouin zszedł wtedy ze wzgórza i tą samą ścieżką przez Cavée wrócił do Ars zamyślony.

Przechodząc koło biura poczt i telegrafów, wszedł, wziął kawałek papieru i napisał taką depezę:

„Laforet, ministerjum wojny, ulica Świętego Dominika. Paryż. Przyjeżdżaj. Ars pod Trojes. Fabryka. Baudouin“.

Zapłacił, był przy odejściu telegramu i z niejaką ulgą powrócił do domu swojego pana.

O siódmej wrócił Marceli.

Jadł obiad nie mówiąc ani słowa, po obiedzie udał się do laboratorjum, a Baudouin słyszał, że późno w noc chodził jeszcze po swoim kafarnaum.

W tym czasie pani Vignola siedząc w saloniku z papierosem w pięknych ustach, kładła kabałę pod nadzorem swojej panny służącej. Powiernica, raczej niż sługa,

była to mała brunetka, sucha i opalona, którą Sophia od lat dziesięciu miała przy sobie.

Nazywała się Milona, lecz wołano na nią Milo. Urodziła się w Karpatach, w bandzie cygańskiej, matka osierociła ją jak miała lat dwanaście.

Sophia, w przejeździe przez Tryest, spotkała dziewczynkę w nędzy, wykupiła od cyganów i zatrzymała przy sobie.

Milo przywiązała się do swojej pani, pomagała jej przy zemście, służyła w intrygach, i oprócz strasznej tajemnicy, której Sophia nikomu nie zwierzała, wiedziała wszystkie okoliczności z życia swojej pani.

Sophia puściła kłęb niebieskiego dymu i wpatrzyła się w karty przed sobą.

— Król kier, dziewiątka pik i walet trefl, rzekła Milo poważnie, wskazując karty końcem palca. Potem dama trefl, walet kier i siódemka pik... Odpowiedź ciągle jednakowa. Nie spełni się.

Sophia podniosła piękne zuchwałe oczy na swoją powiernicę i głosem naturalnym, który nie był tym jakim mówiła z akcentem włoskim:

— Musi jednak się udać. Musi, słyszysz, Milo?

— Czy pani każe zrobić próbę z wodą?

— Tak. Dawnośmy już jej nie robiły.

Milona wzięła kubek kryształowy, w którym stały kwiaty. Cisnęła bukiet pod nogi, zdmuchnęła świece w kandelabrze, oprócz jednej.

Postawiła na stole kubek w ten sposób żeby był oświecony z tyłu.

Następnie wyjęła z włosów długą złotą szpilkę, utkwiła ją w kubku i zaczęły się tworzyć odbłyски kolorowe, krople srebrne występowały za poruszeniem szpilki złotej. Milona śpiewała:

„Woda jest tylko smutkiem i tajemnicą, światło jest pewnością i prawdą. Światło, wejdź w wodę i wydrzyj jej tajemnicę.. Obracaj się igło, świeć promieniu, wodo rozstap się...”

— Patrz, Milo, patrz! zawołała Sophia ze wzruszeniem. Woda robi się czerwoną, w załamkach jest niby krew...

Milo nie przestawała śpiewać:

„Krew, to jest siła życia. Krew z mózgu, to zwycięstwo. Krew z serca, miłość. Obracaj się igło! Burz się krwi... daj zwycięstwo miłości!”

Sophia, klęcząc przy stole, w półmroku, badała z niepokojem kubek kryształowy, w którym woda obracała się, poruszana szpilką złotą, przy świetle świecy.

— Patrz! Patrz jeszcze! krzyknęła, woda robi się zielona! Błyszczą jak szmaragd...

„Szmaragd ma kolor nadziei, a nadzieja jest radością życia. Obracaj się igło, wodo bądź modra jak oczy syreny, za którą na śmierć się dąży!”

Milo wyjęła złotą szpilkę. Woda przestała się obracać, przybrała najpierw kolor siny, potem zrobiła się ciemna.

— Milo! krzyknęła Sophia, odchodząc od przytomności, woda czarna! To znak żaloby! Kto więc umrze?

Milo bez odpowiedzi pozapalała z powrotem świecę w kandelabrze, wzięła kubek kryształowy i przez okno

wylała wodę, która służyła do czarów, potem plunęła ze złością w ciemność nocną.

— Zgin ty, który jej będziesz przeszkadzał! rzekła z okrucieństwem. Przeznaczenie zapowiada miłość, szczęście i śmierć. Ma pani prawo cisnąć swoje przedsięwzięcie. Karty mówią, że się nie uda. Woda śmierć przepowiada! Lecz dla kogo? Tego nie możemy wiedzieć. Czas jeszcze, zatrzymaj się pani...

Sophia chodziła milcząc po salonie, potem stanęła przed zamyśloną Milo:

— Czy wierzysz w te przepowiednie?

— Tak.

— Czy widziałaś żeby się sprawdzały?

— Tak.

— Starzec, od którego cię kupiłam w Tryeście, i który nauczył cię czytać w kartach, wodzie i ogniu, czy wierzył w swoją sztukę?

— Tak.

— Czy on widział i czy ty sama widziałaś takich, którzy otrzymawszy złowrogą przepowiednię wyrzekli się swego przedsięwzięcia?

— Jeżeli przedsięwzięcie było trudne i wielkiej wagi, nigdy!

— To znaczy, że istoty śmiałe i odważne nie chciały słuchać przestróg i próbowały zwalczyć przeznaczenie.

— Tak właśnie.

Sophia zapaliła papierosa.

— Na cóż się zda wyższość umysłu, śmiałość i wielka odwaga, jeżeli się postępuje z tchórzostwem zwykłych śmiertelników? To tylko zajmujące jest, Milo,

co jest trudne. raczej niepodobne! Czyż powinno się żyć jak mieszczanin, jeżeli się posiada duszę władcy? Nie! Za jaką bądź cenę, bez względu na to, co może nastąpić, trzeba iść za wrodzoną skłonnością, pokazać wolę swoją. Ty mnie znasz, Milo, wiesz, że jak co postanowię, przed niczem się nie zatrzymam. Jak mogłaś powiedzieć do mnie: cofnij się pani, jeszcze czas?

— A pani, rzekła Milona poważnie, kiedy jesteś taka stała w postanowieniach, dla czego radzisz się kart, i pytasz wody o jej tajemnice?

Sophia się uśmiechnęła.

— Prawdę powiedziałaś. Lecz widzisz mała, ludzie są zawsze ludźmi, to jest istotami, do których ma przystęp strach i przesady. Czyż nie widzisz doktorów, którzy wiedzą jednak jak ich nauka jest niedokładna i bezsilna, przywołujących innych doktorów kiedy są chorzy? Ustępstwo dla słabości ludzkiej, Milo... Lecz nie mniej, myśli się zawsze swoje!

— A wszystkie te uprzedzające grzeczności, na cześć młodego człowieka, który przyszedł w tych dniach, a którego Agostini pani przyprowadził?

— Agostini, jak mówisz bez uszanowania, przyprowadził tego młodego człowieka, bo mu kazałam, żeby go przyprowadził. Czy nie wiesz, że słucha mnie bez spierania się?

— Oh! ten nie będzie się nigdy spierał. Lecz on może kiedykolwiek już nie posłuchać.

— Nie lubisz tego biednego Cezarego, rzekła Sophia wesoło.

— Fałszywy jest, nikiemny i tchórz. Jeżeli ten

będzie próbował zabić panią, to zada ci cios w plecy.

— On mnie kocha!

— A czy pani go kocha.

— Może. Lecz to nie jest pewne. Dlaczego mówisz że on jest tchórzem? Wiesz jednak jak znakomicie pojedynkował się w Palermo z margrabią Belverani...

— Bo wiedział, że jest silniejszy, zręczniejszy i że tamten uderzył go w twarz wobec pięćdziesięciu osób, w klubie, obwiniając, że oszukuje przy grze w karty... A to była prawda: oszukiwał!

— Nikt już tego nie powie, teraz, kiedy z tego powodu zabił człowieka! W dodatku dowodem, że nie oszukuje, jest, że ciągle przegrywa...

— Pani wie coś o tem!...

— Ah! cóżbym ja zrobiła z pieniędzmi, gdybym jemu ich nie dawała?

— Prawda! Pieniądze, to podła rzecz. Powinny służyć tylko do zadowolenia fantazji. Same przez siebie, nie więcej warte, niż kamyki na drodze. Młody człowiek, który obecnie przychodzi, czy on pani będzie dawał pieniądze, czy pani jemu?

— Sądzę, żeby nie przyjął, Milo, rzekła, śmiejąc się Sophia. Jesteś prawdziwie dziką dziewczyną... Pojmujesz tylko przedajność. Są uczciwi ludzie na świecie, moja mała. Takim nie można płacić, aby otrzymać od nich to, czego się pragnie... Takich trzeba uważać...

— A to dlatego pani śpiewa jak on przyjdzie? Pani mu rozum odbierze, oszaleje biedak, jak tylu innych. On jednak taki ładny, tak przyjemnie wygląda!

— Prawda, że zachwycający... Lecz to jest nieprzyjaciół, Milo, i gdyby on odkrył kto ja jestem i czego szukam, narażonabym została na największe niebezpieczeństwa...

— Więc Agostini przyprowadził go na to, żeby go zgubić?

— Coś nakształt tego.

— A on już panią kocha?

— Szalenie.

— Powiedział pani?

— Nie jeszcze. Lecz potrzebuję jedno słowo tylko wymówić, jeden gest uczynić, ażeby był u nóg moich.

— Ah! władza pani nad mężczyznami nieprzewyciężona... Lecz niech się pani strzeże, przyjdzie dzień, że sama wpadniesz w sidła... A to będzie straszne!...

— Wiesz, że kochałam... Miłość niema już dla mnie nic nowego.

— Kochała pani wyobraźnią, kochała zmysłami, nie kochała pani nigdy sercem.

— Zkąd ty możesz wiedzieć.

— Ponieważ wszyscy, których pani kochała, poginęli okrutnie, więc serce twoje nigdy nie było zajęte. Miłość szczerą i czystą nie jest nigdy katem... Osłania ukochanego i poświęca się... Lecz pani dotąd miała do czynienia tylko z awanturnikami i naprawdę należało ich tak traktować, jak on mieli zwyczaj traktować innych... W dniu, w którym pani pokaże drzwi Agostiniemu, ja przybiegnę, żeby mu je otworzyć... Zrobię to z największą radością!...

— Dzień ten jeszcze nie nadszedł.

— Tem gorzej.

Sophia poruszyła głową ze znużeniem, a Milona zrozumiała, że nie powinna dłużej gawędzić.

— Pozamykam wszystkie okiennice. Czy pani mnie potrzebuje?

— Nie. Możesz światło pogasić. Chcę pisać... Usłyszysz jak będę szła do siebie.

Usiadła przy stoliku, wzięła elegancką teczkę z baronowską koroną i na wonnym papierze zaczęła śmiałym, męzkim charakterem pisać, co następuje:

„Mój drogi Cezary!

„Odkąd mnie opuściłeś, korzystam z czasu i myślę, że z twojej strony nie byłeś bezczynny. Donieś mi jak idą twoje sprawy z Lichtenbachem. Tutaj wszystko oddycha najczystszą miłością. Nasz młody Marceli przybył dzisiaj przesiąknięty liryzmem i zastał mnie śpiewającą ze łkaniem w głosie... Milona z parkanu czatowała, dała mi znać, że Marceli się zbliża i... odegrałam mu wielką scenę rozpacz, z odurzającym powołaniem.

„Marceli szalał z boleści patrząc na łzy moje. Wiesz, że potrafię płakać na zawołanie i to w sposób nieskończenie powabny.

„Sądzę, iż byłby chciał z namiętnością wypić łzy moje. Lecz wystarczająco był odurzony. Trzeba zachować stopniowanie.

„Zaprowadziłam go do ogrodu, na ławkę pod bzy, dlatego, że na świeżem powietrzu demonstracje miłosne o wiele są trudniejsze, i tam wyciągałam go na

rozmowę. To prawdziwy dzieciak. Naiwny jest do nieskończoności, a skromny, że aż śmiech bierze.

„Naprawdę, nie wielka zasługa tryumf nad taką niewinnością.

„Baranek ten sam poda szyję na ofiarę... I będziemy mieli nasze formuły z dobrej woli, jeżeli się nie mylę.

„Odpoczywam wreszcie zachwycająco w tym zapadłym kraju i wcale się nie nudzę.

„Dawno już nie miałam czasu do rozmyślania, porwana mojem życiem awanturnikiem, poczyniłam nad sobą samą spostrzeżenia, które mnie prawdziwie zdziwiły.

„Obawiam się, że używanie, zadowolenie pragnień, przyjemności, dla których dotąd wszystko poświęcałam, są tylko jedną stroną życia i że jest druga, której się nie domyślałam, a która o wiele więcej ma powabu i o wiele jest piękniejsza.

„Słuchając dziś młodego Marcelego, mówiącego o ojcu, siostrze i matce z przywiązaniem i ciepłem serdecznym, uczułam trochę melancholii.

„Wszystko to są ludzie dobrzy i uczciwi... Szczęśliwi wspólnem przywiązaniem i gotowi do największych poświęceń jedni dla drugich.

„Nie ma nic prostszego, więcej prawego i jednostajnego nad ich życie. I nie podlega wątpliwości, że w takim życiu znajdują szczęście.

„To tylko ten baranek Marceli jest kłopotem rodziny. Ojciec jego perjurycznie grozi mu przekleństwem, ponieważ wdaje się za bardzo w bakarata i przegrywa lub robi szczyrby w kasie dla jakiejś piękności nadto wymagającej.

„I biedny chłopak najpierw choruje ze zmartwienia cały tydzień, potem jedzie do Ars, jak anachoreta na pustynię.

„Tu umartwia się, pracując w laboratorium, jedząc obiady zakazane i dysputując z dyrektorem fabryki, który jak się zdaje, nie jest zanadto przyjemny.

„Do tej to perjodycznej skruchy odnoszą się znakomite wynalazki farbowania wełny i inne fraszki, zastosowane do przemysłu, które, jak się zdaje, mają wartość i które tłumaczył mi trochę za długo na moją cierpliwość.

„Lecz wszystko jedno, ładny jest i ma w sobie ogień... Czy uwierzysz, iż pytał, ile mam lat? Biedny mały, starsza jestem od niego.

„Nie zdziwiłabym się, gdyby żywił nadzieję, że się ze mną ożeni. Cezary, śpiesz się z wyrobieniem aktu stanu cywilnego dla pani Vignola, nie wiadomo bowiem, co może nastąpić.

„Lecz nie, mój drogi, ja żartuję, nie gniewaj się za to, co opowiadam o tym biednym chłopcu. Wiedzę na nitce, której ani czuje, ani widzi, do niewolnictwa absolutnego.

„A skoro wyda mi swoją tajemnicę, jak dotąd robili wszyscy, do których się uczepiłam, wtedy zniknę.

„I odrzuciwszy welony krepowe pani Vignola, zostanę znów baronową Sophią, w której nie poznasz, mój miły, rozplakanej i jęczącej wdowy, zwracającej głowę Marcelemu.

„Widzisz zatem, że bez przerwy zajęta jestem naszymi interesami... Ty rób tak samo... Mała Lichten-

bach będzie arcy milionerką... Warto starać się o to, żeby mózdz jej powiedzieć: ja cię kocham.

„Tysiąc pocałunków, Cezary. Sempre t'amoro.

Sophia“.

Zapieczętowała list, stłumiła ziewnięcie, wzięła papierosa i zabierała się iść do siebie, kiedy trzykrotne lekkie stuknięcie z zewnątrz okiennicy, przeraziło ją i o dreszcz przypawiło.

Śluchała, stojąc z czołem zmarszczonem.

Po chwili stuknięcie powtórzyło się.

Otworzyła szufladę, uchwyciła rewolwer, poszła śmiało do okna, uchyliła je, i akcentem wybitnie włoskim zapytała:

— Kto tam?

Głos przytłumiony odpowiedział:

— To ja, Hans, nie obawiaj się, Sophio.

Zbladła trochę, schowała rewolwer do szufladki i nie odpowiedziawszy, wyszła z salonu.

Otworzyła bez szelestu drzwi od sieni.

Wszedł mężczyzna wysokiego wzrostu.

Nie zamieniwszy z nim słowa, wprowadziła go do salonu, potem drzwi zamknęła starannie.

Mężczyzna zrzucił kapelusz z głowy i w pełnem świetle ukazał zuchwałą i niemiłą twarz. Szerokie miał plecy i napozór siły atlety. Ruda broda zakrywała dół twarzy, w której świeciły oczy zielonawe.

Usiadł, popatrzył na Sophię poważnie i rzekł:

— Kto tu jest z tobą?

— Milona.

— A gdzie Agostini?

— Wyjechał do Paryża. A ty zkad jedziesz?

— Z Genewy. Lichtenbach przysłał mi twój adres.

— Którędyś wszedł?

— Przez parkan.

— Z twoją urwaną ręką?

— Nie mam już urwanej ręki.

Wyciągnął ją z groźnym uśmiechem, a ta ręka była kompletna, w rękawiczce nawet.

Mówił dalej:

— Szwajcarzy są znakomici mechanicy; zrobili mi sztuczną rękę, która porusza się jak prawdziwa. Ręka stalowa... uderzenie nią, Sophia, może zabić człowieka.

Westchnął:

— Wszystko jedno, tamta była lepsza, lecz ci, co mi ją urwali, drogo zapłacą za ciało i krew moją!

Twarz jego przybrała wyraz dziki, zgrzytał zębami mówiąc. Sophia odpowiedziała z powagą:

— Czyż sam sobie naprzód nie zapłaciłeś? Kiedy ciebie to spotkało, generał de Tremont nie żył. Może to on się zemścił?

— Niech diabli porwą! Stary uparciuch! Nie mógł powiedzieć kiedy tak ładnie żądałaś od niego tajemnicy tej kasetki... Nic z tego co nastąpiło, nie byłoby się stało!

— Hans, to ty chciałeś wszystko przyspieszyć! Ty popsuleś wszystkie moje kombinacje twoją brutalnością. Gdybyś był zostawił mi tydzień czasu, biedny szalenie oddałby mi swoją tajemnicę, swój honor i wszystko. Toja interwencja obudziła jego czujność, otrząsnął się z odrętwienia i wszystko zostało stracone!

— Na Boga! Nie rób mi wymówek! Ta pomyłka dość drogo mnie kosztowała! Lecz ty, jak daleko zaszłaś?

— Jeżeli pozwolisz działać podług mojej woli, będzie dobrze.

— Dobrze! Dobrze! Rób jak chcesz. Lecz ja z mojej strony przygotowuję małą dywersję, która nie będzie nadto, a przytem robi przyjemność Lichtenbachowi...

— O co chodzi?

— O popsucie szyków w fabryce...

— Cóż takiego przygotowujesz tym biednym Baradier i Graff?

— Od dwóch tygodni moi ludzie przewracają w głowach robotnikom. Taki zamęt sprawię w fabryce, iż to ich trochę zajmie... Zanadto mają oczy otwarte na to co my robimy... Nie wiem kto ich zawiadamia, tych psów, lecz zdają się czytać w całej grze Lichtenbacha jakby to była gazeta...

— Lichtenbach jest taki tchórz! Musiał znów jakieś głupstwo zrobić... Posłałam tam Cezarego, żeby go zdaleka pilnował, a jednocześnie starał się podobać jego córce... Lecz nie można dać odwagi temu, kto jej z natury nie posiada...

— Zdaje się, że akcje Towarzystwa materiałów wybuchowych spadły tak nisko, dzięki kampanii na zniżkę przedsięwziętej przez Lichtenbacha, i że wykupienie wszystkich mogło być zrobione w najlepszych warunkach... Gdy nagle, bez powodu, znalazła się partja na rynku Bankowym, która zaczęła je kupować na gwałt, i akcje podskoczyły ogromnie... Lichtenbach trzymał się mocno, lecz miał do czynienia z silniejszymi od

siebie. Upadek Towarzystwa został zatamowany, a Lichtenbach osobiście poniósł poważne straty przy likwidacji. A po zasięgnięciu wiadomości, pokazało się, że to Baradier i Graff uformowali syndykat, razem z dużą ilością należących do zagrożonego Towarzystwa, ażeby oprzeć się spadkowi akcyj. W świecie finansowym krążą pogłoski, że dzięki nowemu patentowi — słyszysz, Sophia? — pomyślność interesu zapewniona jest na przyszłość... Jest to wprost konkurencja wymierzona przeciw Lichtenbachowi, jest to rzucone nam wyzwanie... Wojna wypowiedziana, trzeba ją podtrzymywać i odnieść zwycięstwo. Oto dla czego przybywam... Gdyż robicie mi wszyscy wrażenie, jak gdybyście marudzili i kunktowali.

— Ah! Hans, bez gwałtów, prawda? rzekła Sophia stanowczo. Jesteśmy na dobrej drodze. Chodzi o to, żeby wszystkiego nie popsuć. Jedną już masz tylko rękę do stracenia, mój kochany, nie nadużywaj jej...

Twarz Hansa wykrzywiła się okrutnie.

— Wesola jesteś, Sophia, tobie dobrze! Mam już tylko jedną rękę, to prawda, ale pozostała lepsza, możesz wierzyć. Biada tym, których ona dosięgnie!

— Zamieszkasz tu zatem?

— Jeżeli pozwolisz.

— Będiesz mi bardzo przeszkadzał.

— Uspokój się; w nocy tylko będę wychodził. Ja jestem człowiekiem, który boi się dnia białego. Rób swoje interesy, a ja swoje. Proszę cię tylko o pokoik na poddaszu, gdziebym mógł pisać i spać w dzień.

Milona będzie jedynie wiedzieć o mojej obecności, a jej można zaufać.

— Tak. Żeby nie chciano mi szkodzić przynajmniej.

— A komu u diabła, mogłoby to przyjść do głowy?

W każdym razie nie mnie, dopóki idziemy ręka w rękę.

Zamienili spojrzenie. A w oczach ich malowało się wspomnienie dawnych wspólnych działań zbrodniczych.

Sophia pierwsza odwróciła się robiąc znak przyzwolenia:

— Chodź za mną.

Otworzyła drzwi i wyprowadziła tego, którego zdawało się, iż obawia się i nienawidzi jednocześnie.

Koniec tomu pierwszego.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

